

PIERS ANTHONY

SOS SZNUR

Tom I cyklu **Krąg Walki**

Przełożył Michał Jakuszewski



Rozdział 1

Dwóch wędrownych wojowników zbliżało się do gospody z przeciwnych stron. Ubrani byli zwyczajnie: w ciemne pantalony przewiązane w kolanach i w pasie oraz luźne białe kubraki rozpięte z przodu, sięgające bioder, z rękami wami do łokci. Na nogach mieli buty na grubych podszewkach. Potargane włosy z przodu były przycięte nad brwiami, po bokach nad uszami, z tyłu nie dotykały kołnierzy. Brody mieli krótkie i rzadkie.

Mężczyzna idący ze wschodu dźwigał prosty miecz w plastikowej pochwie przewieszanej przez szerokie plecy. Był młody i potężnie zbudowany, choć nie zbyt przystojny. Czarne włosy i brwi nadawały mu złowieszczy wygląd, sprzeczny z jego naturą. Miał muskularną sylwetkę i poruszał się pewnie jak wytrenowany atleta.

Ten, który szedł z zachodu, był niższy i szczuplejszy, lecz odznaczał się rów nie znakomitą formą fizyczną. Błękitne oczy i jasne włosy nadawały jego obliczu tak delikatny wygląd, że gdyby nie broda, mógłby niemal uchodzić za kobietę. W jego ruchach nie było jednak nic niewieściego. Pchał przed sobą jednokołowy zamykany wózek, z którego wystawał lśniący metalowy drąg długości kilku stóp.

Ciemnowłosy mężczyzna przybył pod okrągły budynek pierwszy, zczekał jednak uprzejmie na drugiego. Popatrzyli na siebie, zanim się odezwali. Z budynku wyszła młoda kobieta, wdzięcznie owinięta pojedynczym kawałkiem materii. Spojrzała na jednego wojownika, następnie na drugiego, zatrzymując wzrok na okazałych złotych bransoletach, które mieli na lewych nadgarstkach. Zachowała jednak milczenie.

Mężczyzna z mieczem spojrzał na nią, gdy tylko się zbliżyła, podziwiając jej długie lśniące loki o barwie nocnego nieba oraz zmysłową figurę, po czym przemówił do mężczyzny z wózkiem:

— Zechcesz dziś dzielić ze mną nocleg, przyjacielu? Nie szukam panowania nad ludźmi.

— Ja szukam panowania w Kręgu — odparł tamten — ale nocleg podzielę.

Uśmiechnęli się i uścisnęli sobie ręce. Blondyn spojrzał na dziewczynę.

— Nie potrzebuję kobiety.

Opuściła wzrok rozczarowana, ale natychmiast przeniosła oczy na mężczyznę z mieczem. Ten po chwili milczenia, której wymagały dobre maniery, oznajmił:

— Zechcesz więc może spędzić noc ze mną, piękna panno? Nie obiecuję niczego więcej.

Dziewczyna pokraśniała z zadowolenia.

— Chętnie spędzę noc z tobą, Mieczu, nie oczekując niczego więcej.

Uśmiechnął się, klepnął prawą dłońią bransoletę i ściągnął ją.

— Jestem Sol Miecz, filozof z zamiłowania. Czy umiesz gotować?

Gdy skinęła głową, wręczył jej bransoletę.

— Ugotujesz wieszczę również dla mojego przyjaciela i oczyścisz mu strój.

Drugi mężczyzna spoważniał.

— Czy dobrze usłyszałem twoje imię, mój panie? Ja jestem Sol.

Wyższy wojownik odwrócił się powoli, marszcząc brwi.

— Obawiam się, że dobrze. Noszę to imię od ostatniej wiosny, kiedy to zdołałem swój miecz. Ale może używasz innej broni? Nie ma potrzeby, żebyśmy wszczynali spór.

Dziewczyna przenosiła wzrok z jednego na drugiego.

— Z pewnością twoją bronią jest drąg, wojowniku — powiedziała z niepokojem, wskazując wózek.

— Ja jestem Sol — odrzekł tamten zdecydowanym tonem. — Drąg i Miecz. Nikt inny nie może używać mojego imienia.

Wojownik z mieczem wydawał się niezadowolony.

— A więc szukasz ze mną sporu? Wolałbym, żeby tak nie było.

— Spieram się tylko o imię. Wybierz sobie inne, a nie będzie powodu do walki.

— Zdobyłem je tym oto mieczem. Nie mogę z niego zrezygnować.

— Muszę więc odebrać ci je w Kręgu, mój panie.

— Proszę — sprzeciwiła się dziewczyna — zaczekajcie do rana. W środku jest telewizor i łazienka. Przygotuję pyszny posiłek.

— Czy pożyczylabyś bransoletę od mężczyzny, którego imię zostało zakwestionowane? — zapytał cicho wojownik z mieczem. — Musimy to załatwić teraz, ślicznotko. Będziesz mogła służyć zwycięzcy.

Przygryzła czerwoną wargę, zawstydzona, i oddała bransoletę.

— Czy więc pozwolicie mi być świadkiem?

Mężczyźni wymienili spojrzenia i wzruszyli ramionami.

— Proszę bardzo, dziewczyno, jeśli masz na to ochotę — powiedział blondyn i ruszył pierwszy wydeptaną boczną ścieżką, oznakowaną na czerwono.

W odległości stu jardów od gospody znajdował się Krąg o średnicy piętna stu stóp, ograniczony płaską plastikową krawędzią jasnożółtego koloru oraz ze wewnętrzną żwirową obwódką. Jego środek stanowiła gładka, pięknie przystrzyżona darni, zielony trawnik w kształcie doskonałego dysku. To był Krąg Walki — serce kultury tego świata.

Czarnowłosa mężczyzna zdjął pas i kubrak, odsłaniając tors olbrzyma. Po tężne mięśnie grały mu na karku, klatce piersiowej i brzuchu. Miał grubą szyję i talię. Wyciągnął miecz: długą lśniącą głownię z hartowanej stali z wytartą srebrną rękojeścią. Ciął nim kilka razy w powietrzu i wypróbował ostrze na pobliskim drzewku. Jeden zamach — i padło ucięte równo u podstawy.

Drugi otworzył wózek, by wyjąć z przegródki podobny oręż. Obok leżały szty lity, pałki, maczuga, metalowa kula morgenszternu oraz długi drąg.

— Opanowałeś wszystkie te rodzaje broni? — spytała zdumiona dziewczyna.

Wojownik skinął tylko głową.

Obaj mężczyźni podeszli do Kręgu i spojrzeli sobie w oczy, dotykając palcami nóg zewnętrznej krawędzi.

— Wyzywam cię do walki o imię — oznajmił blondyn — na miecze, drągi, pałki, morgenszterny, noże lub maczugi. Wybierz sobie inne imię, a walka będzie zbyteczna.

— Wolę pozostać bezimienny — odparł ciemnowłosa. — Zdobyłem swe imię mieczem i jeśli kiedykolwiek wezmę do ręki inną broń, to tylko po to, by o nie walczyć. Wybierz oręż, którym władasz najlepiej. Stanę przeciw tobie z mieczem w dłoni.

— Tak więc o imię i bron — rzekł blondyn, który zaczynał okazywać gniew.

— Zwycięzca bierze wszystko. Ponieważ jednak nie chcę ci wyrządzić krzywdy, będę z tobą walczyć drągiem.

— Zgoda! — Tym razem ciemnowłosa spojrział spode łba. — Pokonany utraci imię oraz cały oręż i nigdy już nie będzie rościł sobie praw do imienia ani do używania żadnej broni!

Dziewczyna słuchała, przerażona stawką przekraczającą granice rozsądku, nie odważyła się jednak protestować.

Wkroczyli do Kręgu Walki i rozpoczęli błyskawiczną wymianę ciosów. Dziewczyna obserwowała ich ze strachem, gdyż z reguły to drobniejsi mężczyźni używali lżejszej, ostrzejszej broni, potężniejszym pozostawiając ciężką maczugę i długi drąg. Obaj wojownicy byli jednak tak sprawni, że ich wzrost czy waga nie miały znaczenia. Starła się śledzić uderzenia i kontry, szybko jednak całkowicie straciła rozeznanie. Obie postacie okręcały się wokół osi i uderzały, wymierzały ciosy i uchylały się przed nimi. Metalowy miecz odbijał się od metalowego drąga, po czym parował jego uderzenia. Stopniowo zaczęła się orientować w sytuacji.

Miecz był masywną bronią. Choć trudno było zatrzymywać jego ciosy, rów nie trudno przychodziło wojownikowi zmieniać kierunek uderzeń, dzięki czemu przeciwnik miał z reguły czas na odparowanie ataku. Długim drągiem natomiast łatwiej się manewrowało, gdyż trzymało się go oburącz; zapewniało to pewniej szy uchwyt, ale skuteczny cios można było nim zadać jedynie w odsłonięty cel.

Miecz był przede wszystkim bronią ofensywną, drąg — defensywną. Raz po raz miecz kierował wściekle ciosy na kark, nogę czy tułów, lecz zawsze jakiś odcinek drąga go blokował.

Z początku wydawało się, że przeciwnicy pozabijają się nawzajem, po chwili li jednak stało się jasne, że liczą się z tym, iż ich ataki będą blokowane, i dążą nie tyle do krwawego zwycięstwa, co do przejęcia taktycznej inicjatywy. W pewnym momencie walka między dwoma nadzwyczaj utalentowanymi wojownikami utknęła jakby na martwym punkcie.

Nagle tempo się zmieniło. Blondyn przejął inicjatywę, szybkimi uderzeniami drąga spychając przeciwnika do defensywy i wytrącając go z równowagi za pomocą serii uderzeń kierowanych na ramiona, nogi i głowę. Wojownik z mieczem częściej uskakiwał przed uderzeniami, niż usiłował parować ciosy swą jedyną bronią. Najwyraźniej ciążyła mu ona coraz bardziej w miarę szaleńczej walki. Miecze nie nadawały się do długich pojedynków. Wojownik z drągiem zachował więcej sił i miał teraz przewagę. Wkrótce ręka dźwigająca miecz zmęczy się i zbyt wolno będzie osłaniać ciało.

Ale jeszcze nie teraz. Nawet niedoświadczony obserwator mógł odgadnąć, że ów potężnie zbudowany mężczyzna męczy się zbyt szybko. To był podstęp. Przeciwnik również coś podejrzewał, gdyż im bardziej ciemnowłosa zwalniał, tym on z kolei stawał się ostrożniejszy. Nie miał zamiaru dać się sprowokować do żadnego ryzykownego ataku.

Nagle wojownik z mieczem wykonał zdumiewający manewr. Gdy koniec drąga zbliżał się do jego boku w szerokim poziomym zamachu, nie odbił ciosu ani nie cofnął się, lecz padł na ziemię, przepuszczając drąg ponad sobą. Następnie przeto czył się na bok i ciał mieczem na odlew, zataczając straszliwy łuk skierowany na kostki. Przeciwnik podskoczył, zdumiony tym niezwykłym i niebezpiecznym atakiem, lecz gdy tylko jego stopy znalazły się nad ostrzem i zaczęły opadać, miecz przeciął ze świstem powietrze, zakreślając łuk w przeciwną stronę.

Wojownik z drągiem nie mógł ponownie wybić się w górę wystarczająco szybko, gdyż spadał właśnie na ziemię, nie dał się jednak tak łatwo złapać w pułapkę. Zachował równowagę i panowanie nad bronią, okazując cudowną harmonię ruchu. W chwili gdy miecz uderzył po raz drugi, wbił koniec drąga w darń pomiędzy swymi stopami. Krew pociekła, kiedy ostrze wbiło się w goleń, lecz metalowy drąg zatrzymał cios i uchronił wojownika od przecięcia ścięgna lub jeszcze gorzej losu. Ranny i częściowo okaleczony mężczyzna nadal był zdolny do walki.

Sztuczka się nie udała. Oznaczało to koniec wojownika z mieczem. Gdy spróbował wstać, drąg uniósł się i uderzył go w bok głowy tak silnie, że ten zatoczył się i wyleciał z Kręgu. Padł ogłuszony na żwir. Wciąż ścisnął miecz, lecz nie był już w stanie go użyć. Po chwili zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje, wydał krótki okrzyk rozpaczy i wypuścił broń. Przegrał.

Sol, obecnie jedyny posiadacz tego imienia, cisnął drąg na ziemię obok wózka i przekroczył plastikową krawędź. Chwytał pokonanego za ramię i pomógł mu się podnieść.

— Chodź, musimy coś zjeść — powiedział.

— Tak — odezwała się dziewczyna, wyrwana nagle z zadumy. — Opatrzę wasze rany.

Poprowadziła ich w stronę gospody. Teraz, gdy nie starała się wyrzucić na nich wrażenia, wydawała się ładniejsza.

Budynek miał kształt gładkiego cylindra o wysokości trzydziestu stóp i średnicy dziesięciu. Jego zewnętrzną ścianę stanowiła twarda plastikowa płyta, okręcona wokół z wysiłkiem — jak się zdawało — nie większym, niż był potrzebny do owinięcia paczki. Na szczycie znajdował się przezroczysty stożek, którego czubek przebito, by wypuścić na zewnątrz kolumnę komina. Z oddali można było ujrzeć skrytą pod stożkiem lśniąca maszynię, która chwytała i ujarzmiała światło słoneczne, zapewniając stały dopływ mocy do mechanizmów skrytych wewnątrz budynku.

Nie miał on okien, a jedyne drzwi wychodziły na południe. Składały się z trzech obracających się wokół osi szklistych płyt, które wpuściły przybyszów do środka pojedynczo, nie dopuszczając do zbyt dużego przepływu powietrza. W środku było chłodno i jasno. Wielkie pomieszczenie oświetlał rozproszony blask bijący z podłogi i sufitu.

Dziewczyna opuściła składane łóżka, schowane w zaokrąglonej ścianie. Gdy obaj mężczyźni zasiedli na plastikowych meblach, przeszła za półkę, na której leżała bron, ubrania i bransolety, by zaczerpnąć wody ze zlewu wbudowanego w centralny filar. Po chwili przyniosła miednicę z ciepłą wodą, wytarła gąbką krwawiącą nogę Soła i zabandażowała ją, po czym zajęła się siniakiem na głowie pokonanego. Mężczyźni pograżyli się w rozmowie. Teraz, gdy spór został już rozstrzygnięty, nie było między nimi żadnej urazy.

— W jaki sposób wpadłeś na ten trik z mieczem? — zapytał Sol, który wydał się nie zauważać zabiegów dziewczyny, choć ta wielce się o niego troszczyła.

— O mały włos byłbyś mnie dziękował niemu zwyciężył.

— Nie zadowolają mnie stare sposoby — odrzekł Bezimienny, podczas gdy dziewczyna zakładała opatrunek. — Zadaję pytania: „Dlaczego tak musi być?” i „W jaki sposób można by to ulepszyć?” albo „Czy w tym jest jakiś sens?” Stu diuję pisma starożytnych i czasami udaje mi się znaleźć w nich odpowiedzi, jeśli nie potrafię dojść do nich sam.

— Imponujesz mi. Nigdy dotąd nie spotkałem wojownika, który umiałby czytać. A przecież walczyłeś dobrze.

— Nie dość dobrze — odparł tamten bezbarwnym głosem. — Teraz muszę udać się na Górę.

— Przykro mi, że musiało do tego dojść — odparł szczerze Sol.

Bezimienny skinął lekko głową. Przez pewien czas nie odzywali się. Weszli kolejno pod prysznic wbudowany w centralny filar, wytarli się i zmienili ubrania, nie przejmując się obecnością dziewczyny.

Z zabandażowanymi ranami zasiedli wspólnie do kolacji. Gospodyni rozłożyła cicho stół wmontowany w północną ścianę, rozstawiła stołki, po czym wyjęła dania z pieca kuchennego i lodówki, również umieszczonej w filarze. Mężczyźni nie dopytywali się, skąd pochodzi pikantne białe mięso czy delikatne wino. Żywność uważano za rzecz naturalną, niegodną uwagi, podobnie jak samą gospodę.

— Jaki masz cel w życiu? — zapytał Bezimienny, gdy siedzieli nad lodami, a dziewczyna zmywała naczynia.

— Mam zamiar założyć Imperium.

— Własne plemię? Nie wątpię, że potrafisz tego dokonać.

— Imperium. Wiele plemion. Jestem dobrym wojownikiem. Lepszym w Kręgu niż ktokolwiek, kogo widziałem. Lepszym niż wodzowie plemion. Jestem gotów wziąć każdego, kogo pokonam w walce, ale nie spotkałem nikogo, kogo chciałbym zatrzymać, oprócz ciebie, lecz my nie walczyliśmy o panowanie. Gdy bym wiedział, że jesteś taki dobry, ustaliłbym inne warunki.

Rozmówca postanowił zignorować ten komplement, choć sprawił mu on przyjemność.

— Aby stworzyć plemię, potrzebujesz honorowych ludzi, biegłych w swych specjalnościach, którzy będą walczyć dla ciebie i zdobywać dla twojej grupy nowych członków. Muszą to być młodzi mężczyźni, tacy jak ty, którzy będą słuchać rad i korzystać z nich. Aby zbudować Imperium, potrzeba czegoś więcej.

— Więcej? Nie znalazłem nawet młodych ludzi, którzy byliby cos warci. Tylko nieudolnych amatorów i słabowitych staruszków.

— Wiem o tym. Na wschodzie widziałem niewielu dobrych wojowników. Gdybyś spotkał jakichś na zachodzie, z pewnością nie podróżowałbyś sam. Ni gdy dotąd nie przegrałem walki. — Umilkł na chwilę, przypomniał sobie, że już nie jest wojownikiem. Aby ukryć narastający żal, zaczął mówić dalej. — Czy nie zauważyłeś, jacy starzy są wodzowie i jacy ostrożni? Nie będą walczyć z nikim, o ile nie są pewni zwycięstwa, a dobrze potrafią to ocenić. Wszyscy najlepsi

wojownicy są ich poddanymi.

— Tak — zgodził się zaniepokojony Sol. — Ci dobrzy nie chcą walczyć o pa nowanie, tylko dla sportu. To mnie gniewa.

— Dlaczego mieliby to robić? Czemu wódz o ustalonej pozycji miałby na rażać dzieło swego życia, mogąc zyskać w zamian tylko twoje usługi? Musisz najpierw zdobyć plemię, równie dobre jak jego. Dopiero wtedy wódz zechce się spotkać z tobą w Kręgu.

— Jak mogę zdobyć porządne plemię, kiedy prawdziwi wojownicy nie chcą ze mną walczyć? — zapytał Sol, którego ponownie ogarnęło podniecenie. — Czy w twoich ksiązkach jest odpowiedź na to pytanie?

— Ja nigdy nie walczyłem o panowanie. Gdybym jednak miał zbudować plemię, a zwłaszcza Imperium, najpierw znalazłbym obiecujących młodzieńców i uczynił ich swoimi poddanymi, choćby nawet nie byli jeszcze dobrzy w Kręgu. Później zabrałbym ich w jakieś ustronne miejsce, nauczył wszystkiego, co sam wiem o walce, i kazał im ćwiczyć — walczyć pomiędzy sobą i ze mną — aż sta liby się naprawdę dobrzy. Wtedy miałbym znakomite plemię i mógłbym z nim wyruszyć na spotkanie i podbój następnych.

— A jeśli inni wodzowie nadal nie chcieliby wstąpić do Kręgu? — Sol z coraz większym zainte-resowaniem zagłębiał się w dyskusji.

— Znalazłbym jakiś sposób, by ich do tego skłonić. To wymagałoby odpo wiedniej taktyki. Szansę musiałyby się wydawać równe albo nawet nieco bardziej korzystne dla nich. Pokazałbym im ludzi, których pragnęliby zdobyć, i targował się z nimi, aż wstydziłiby się nie stanąć ze mną do walki.

— Nie umiem się dobrze targować — odrzekł Sol.

— Mógłbyś mieć paru obrotnych poddanych, którzy czyniliby to za ciebie, tak samo jak innych, którzy by za ciebie walczyli. Wódz nie musi robić wszystkiego osobiście. Wyznacza innym zadania, a sam tylko wszystkim rządzi.

Sol zamyślił się.

— Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Jedni walczą za pomocą broni, a inni umysłem. — Zastanawiał się jeszcze przez chwilę. — Ile czasu zajęłoby wyszko lenie takiego plemienia, gdybym już zdobył ludzi?

— To zależy. Od tego, jak dobrym jesteś nauczycielem, ile już umięją ci, z któ rymi musisz pracować, i jak szybko czynią postępy.

— A gdybyś ty to robił z ludźmi, których spotkałeś podczas swoich wędró wek?

— Rok.

— Rok! — Sol był zrozpaczony.

— Nic nie zastąpi porządnego przygotowania. Przeciętne plemię można by zapewne stworzyć w kilka miesięcy, ale nie wspólnotę, z którą udałoby się zdobyć Imperium. Takie plemię musiałyby być gotowe na każdą możliwość, a to wymaga czasu. Czasu, uporczywego wysiłku i cierpliwości.

— Brak mi cierpliwości.

Dziewczyna zakończyła pracę i wróciła, by słuchać rozmowy. W gospodzie nie było osobnych pomieszczeń, przeszła jednak za filar do kabiny prysznic i tam się przebrała. Miała teraz na sobie kuszącą suknię, która podkreślała ponętny ro wek między piersiami oraz smukłą talię.

Sol wciąż pogrążony był w zamyśleniu. Wydawało się, że nie zauważa dziewczyny, choć ta przysunęła swój stólek blisko niego.

— Gdzie można by znaleźć odpowiednie miejsce na takie szkolenie? Takie, w którym nikt nie będzie szpiegował ani przeszkadzał?

— W Złym Kraju.

— W Złym Kraju? Tam nikt nie chodzi!

— No właśnie. Nikt cię tam nie zauważy ani nie będzie podejrzewał, co robisz. Czy możesz sobie wyobrazić lepszą sytuację?

— Ale to śmierć! — krzyknęła dziewczyna zapominając się.

— Niekoniecznie. Dowiedziałem się, że duchy-zabójcy, zwane Rentgenami, które pozostały po Wybuchu, ustępują. Stare książki nazywają je „promieniowa niem”, a ono z czasem zanika. Rentgen to podobno osoba, czy jednostka promieniowania, nie wiem dokładnie. Najwięcej Rentgenów jest w środku Złego Kraju. Można to poznać po roślinach i zwierzętach, czy dana okolica w oznakowanym terenie stała się już bezpieczna. Musiałbyś być bardzo ostrożny i nie zapuszczać się zbyt głęboko, ale na rubieżach...

— Nie chcę, żebyś szedł na Górę — przerwał mu Sol. — Potrzebuję takiego człowieka jak ty.

— Bez imienia i bez broni? — roześmiał się ów gorzko. — Idź swoją drogą, stwórz swoje Imperium, Solu, Mistrzu Wszystkich Broni. Snułem tylko przypuszczenia.

Sol nie ustępował.

— Zgódź się służyć mi przez rok, a oddam ci część imienia. To twojego umyśłu potrzebuję, gdyż jest lepszy niż mój.

— Mojego umyśłu?

Ciemnowłosa mężczyzna był jednak zaintrygowany. Mówił o Górze, lecz w rzeczywistości nie chciał umierać. Było jeszcze tyle ciekawych spraw do zgłębienia, książek do przestudiowania, myśli do rozważenia. Używał swej broni w Kręgu, gdyż był to uznany zwyczaj mężczyzny, lecz mimo swej niegdyśejszej waleczności i potężnej budowy miał duszę uczonego i eksperymentatora.

Sol obserwował go.

— Proponuję... Sos.

— Sos... Bez Broni — powiedział tamten w zamyśleniu. Nie podobało mu się brzmienie tego imienia, lecz była to rozsądna propozycja bliska temu, które nosił poprzednio.

— Czego byś ode mnie żądał w zamian za imię?

— Prowadzenia ćwiczeń, organizacji obozu, budowy Imperium — wszystkie go tego, co opisałeś. Chcę, żebyś robił to dla mnie. Żebyś był moim wojownikiem umyśłu. Moim doradcą.

— Sos Doradca.

Zaczynało mu się to podobać. Ponadto imię brzmiało teraz lepiej.

— Ludzie nie będą mnie słuchać. Potrzebna by mi była pełnia władzy. W przeciwnym razie nic z tego nie wyjdzie. Jeśli mi się sprzeciwią, a ja nie będę miał broni...

— Kto się sprzeciwi, zginie — odparł Sol z absolutną pewnością. — Z mojej ręki.

— Powiadasz, przez rok... I będę mógł zachować imię?

— Tak.

Pomyślał o wyzwaniu, jakie przed nim stawało, szanse sprawdzenia swych teorii w praktyce.

— Zgadzą się.

Wyciągnęli ręce nad stołem i uścisnęli je sobie z powagą.

— Od jutra rozpoczynamy budowę Imperium — oznajmił Sol.

Dziewczyna spojrzała na nich.

— Chciałabym pójść z wami — powiedziała.

Sol uśmiechnął się, nie patrząc na nią.

— Ona chce twoją bransoletę z powrotem, Sos.

— Nie. — Była zakłopotana widząc, że jej aluzje chybiają celu. — Nie bez...

— Dziewczyno — przypomniał jej surowym tonem Sol — ja nie potrzebuję kobiety. Ten mężczyzna walczył dobrze. Siłą przewyższa wielu, którzy nadal dźwierzą broń, a poza tym jest uczonym, a ja nie. Nie okryjesz się wstydem nosząc jego godło.

Wysunęła wargę.

— Chciałabym pójść... sama.

Sol wzruszył ramionami.

— Jak sobie życzysz. Będiesz dla nas gotować i pracować, zanim nie znajdziesz sobie mężczyzny. Z tym że nie zawsze będziemy nocować w gospodzie. — Prze rwał na chwilę i zamyślił się. — Sosie,

mój doradco, czy to mądre?

Sos przyjrzał się kobiecie. Była teraz rozdrażniona, lecz nadal śliczna. Starał się omijać wzrokiem jej biust, nie chcąc, by ten widok zaważył na jego sądzie.

— Nie uważam tak. Jest znakomicie zbudowana i świetnie gotuje, ale jest uparta. Jeśli nie będzie miała swojego mężczyzny, mogą być z nią kłopoty.

Spojrzała na niego.

— Chcę mieć imię, tak samo jak ty! — warknęła. — Honorowe imię.

Sol walnął pięścią w stół, aż wygięła się winylowa powierzchnia.

— Gniewasz mnie, dziewczyno. Czy chcesz powiedzieć, że imię, które nada łem, nie jest honorowe?

— Jest, Mistrzu Wszystkich Broni — wycofała się szybko. — Ale nie ofiarowałeś go mnie.

— Bierz je więc! — rzucił w nią złotą bransoletą. — Ale ja nie potrzebuję kobiety.

Zbita z tropu, lecz zarazem nie posiadająca się z radości, podniosła ciężki przedmiot i ścisnęła go, by dopasować do swego nadgarstka. Sos przyglądał się temu zaniepokojony.

Rozdział 2

W dwa tygodnie później na północy natrafili na czerwone znaki ostrzegawcze. Listowie się nie zmieniło, wiedzieli jednak, że za złowieszczą granicą ujrzą niewiele zwierząt i nie spotkają żadnych ludzi. Nawet ci, którzy zdecydowali się umrzeć, woleli iść na Górę, gdzie mogli znaleźć szybki i honorowy koniec, pod czas gdy w Złym Kraju czekało ich podobno cierpienie i groza.

Sol zatrzymał się, zaniepokojony znakami.

— Jeśli ta okolica jest bezpieczna, dlaczego wciąż tu są? — zapytał.

Sola przytaknęła z zapalem, nie wstydząc się strachu.

— Dlatego, że Odmieńcy nie poprawiali swych map od pięćdziesięciu lat — odrzekł Sos. — Dawno już powinni byli powtórnie zbadać tę okolicę. Pewnego dnia zrobią to wreszcie i przesuną znaczniki o dziesięć czy piętnaście mil. Mówi łem ci już, że promieniowanie nie jest czymś trwałym, lecz powoli zanika.

Teraz, w obliczu niebezpieczeństwa, Sol nie był przekonany.

— Mówisz, że promieniowanie to coś, czego nie można zobaczyć, usłyszeć, poczuć węchem ani dotykem, a mimo to może cię zabić. Wiem, że studiowałeś książki, ale to po prostu wydaje mi się bez sensu.

— Może książki kłamią — wtrąciła się Sola siadając. Dni forsownego marszu wzmocniły mięśnie jej nóg, ale nie umniejszyły kobiecości. Była ładna i wiedziała o tym.

— Sam miałem wątpliwości — przyznał Sos. — Jest wiele rzeczy, których nie rozumiem, i wiele książek, których nigdy nie miałem okazji przeczytać. Jeden z tekstów mówi, że połowa ludzi umrze po wejściu w ich ciała czterystu pięć dziesięciu Rentgenów, podczas gdy komary mogą znieść ponad sto tysięcy, ale nie wiem, ile to jest jeden Rentgen ani jak go policzyć. Odmieńcy mają skrzynki, które będą tykać, gdy znajdą się w pobliżu promieniowania, i stąd znającego moc.

— Może jedno tyknięcie to jeden Rentgen? — zapytała dziewczyna upraszając czając zagadnienie. — Jeśli książki mówią prawdę.

— Myślę, że mówią. Jest w nich wiele rzeczy, które z początku wydają się bez sensu, ale nigdy nie wykryłem tam błędu. To promieniowanie, o ile dobrze zrozumiałem, znalazło się tu na skutek Wybuchu i jest podobne do światła fosforyzującego grzyba. Nie można w dzień zobaczyć takiego światła, ale wiadomo, że ono tam jest. Można schować grzyb w dłoniach, by osłonić go przed słońcem, i wtedy zielone...

— Światło grzyba — powiedział Sol z namaszczeniem.

— Wyobraź sobie, że jest trujące, że zachorujesz, jeśli dotknie twojej skóry. W nocy możesz go unikać, ale w dzień masz kłopoty. Nie widzisz go przecież ani nie czujesz... Takie właśnie są Rentgeny. Tam, gdzie się znajdują, wypełniają sobą wszystko: ziemię, drzewa, powietrze.

— Skąd więc mamy wiedzieć, czy zniknęły? — zapytała Sola. W jej głosie słychać było ostry ton, który Sos kładł na karb strachu i zmęczenia. Dziewczyna traciła stopniowo aurę słodkiej naiwności, jaką roztaczała pierwszego wieczoru w gospodzie.

— Stąd, że oddziałują one również na rośliny i zwierzęta. Można je spotkać na rubieżach, lecz w samym centrum wszystko jest martwe. Dopóki będą wyglądały normalnie, nic nam nie powinno grozić. Kilka mil za znakami teren powinien być już wolny od promieniowania. Jest to pewne ryzyko, ale w naszej sytuacji warto je podjąć.

— I nie ma gospód? — zapytała dziewczyna, tylko trochę uspokojona.

— Wątpię, by były. Odmieńcy nie lubią Rentgenów tak samo jak my. Nie ma powodu, by budowali je tutaj, zanim nie zbadają terenu. Będziemy musieli sami zaopatrywać się w żywność i spać pod gołym niebem.

— W takim razie lepiej weźmy ze sobą łuki i namioty — powiedział Sol.

Zostawili Solę, by pilnowała wózka z bronią, i zawrócili trzy mile do ostatniej gospody. Weszli do wnętrza budynku, zaopatrzonego w pompę ciepłą, i wybrali ze zbrojowni dwa mocne łuki i kołczany pełne strzał. Przywdziali podróżne ubrania: lekkie nylonowe getry, hełmy i plecaki. Aby zapoznać się ze sprzętem, oddali obaj po trzy szybkie strzały do tarczy ustawionej przy Kręgu Walki, po czym za rzucili łuki na plecy i wrócili na szlak.

Sola spała oparta o drzewo, z nieprzyzwoicie zadartą podróżną spódniczką. Sos odwrócił wzrok. Widok jej ciała wciąż działał na niego, mimo że poznał już jej nieprzyjemny charakter. Zawsze traktował kobiety obojętnie, nie wdając się w stałe związki. Nieustanna bliskość żony innego zaczęła działać nań w sposób, który mu się nie podobał.

Sol kopnął ją.

— To tak dbasz o moją broń, kobieto?

Zerwała się z ziemi, zawstydzona i rozgniewana.

— Tak samo jak ty o mnie! — krzyknęła, po czym przestraszona przygryzła wargę.

Sol zignorował ją.

— Znajdźmy szybko jakieś miejsce — powiedział spoglądając na najbliższy znak.

Sos wręczył kobiecie getry i hełm, które dla niej przyniósł. Sol o tym nie pomyślał. Sos zastanowił się, dlaczego ci dwoje wciąż byli razem, skoro najwyraźniej nie pasowali do siebie. Czy seks mógł znaczyć aż tak wiele?

Ponownie odwrócił od niej wzrok, obawiając się odpowiedzi na to pytanie.

Przekroczyli granicę i ruszyli powoli w głąb Złego Kraju. Sos zapanował nad nerwowym ukłuciem, które w tym momencie poczuł. Wiedział, że na pozostałych musiało ono podziałać znacznie silniej. To on był tym, który podobno wiedział, co robi. Musiał udowodnić, że się nie pomylił. Życie trojga ludzi zależało teraz od jego czujności.

Przed wszystkim jednak intrygowały go sprawy tamtych dwojga. Sol od po czątku twierdził, że nie potrzebuje kobiety. W pierwszej chwili wyglądało to na uprzejmość wobec drugiego mężczyzny, gdyż kobieta była tylko jedna. Później jednak dał dziewczynie bransoletę symbolizującą małżeństwo. Spali ze sobą już dwa tygodnie, a mimo to ona nie kryła niezadowolenia. Sos miał niedobre przeżycia.

Liście, podszybie lasu i pola wydawały się nie skażone, ale w miarę jak wędrowali, słyszeli coraz mniej odgłosów zwierząt. Widzieli ptaki i liczne latające owady, ale nie było jeleni, świstaków czy niedźwiedzi. Sos bezskutecznie szukał ich śladów. Mogło to oznaczać, że będą mieć kłopoty ze znalezieniem zwierzyny łownej. Obecność ptaków zdawała się jednak wskazywać, że teren jest — jak do tąd — bezpieczny. Sos nie znał ich odporności, ale zakładał, że jedno stworzenie ciepłokrwiste zdolne jest wytrzymać mniej więcej tyle promieniowania co drugie. Ptaki, które musiały pozostać w stałym miejscu przez okres wysiadywania jaj, z pewnością zachorowałyby, gdyby istniało takie niebezpieczeństwo.

Drzewa ustąpiły miejsca polanie, opadającej ku krętemu strumieniowi. Za trzymali się, aby napić się wody. Sos zawahał się, dopóki nie ujrzał w strumieniu małych rybek, uciekających szybko przed jego opuszczającą się dłonią. Człowiek mógł pić wodę, w której żyły ryby.

Dwa ptaki przemknęły nad polaną w bezgłośnym tańcu. Gnały to w górę, to w dół, większy za mniejszym. Jastrząb ścigał coś podobnego do wróbla. Już go dopadał. Ptaszek, najwyraźniej krańcowo wyczerpany, z największym wysiłkiem unikał wyciągniętych pazurów i potężnego dzioba. Mężczyźni przyglądali się te mu obojętnie.

Nagle wróbel poleciał prosto ku nim, jak gdyby szukał ich opieki. Jastrząb zawisł przez chwilę niepewnie w powietrzu, po czym pognął za ofiarą.

— Zatrzymaj go! — krzyknęła Sola poruszona tym, co uznała za błaganie o pomoc.

Sol spojrział na nią zaskoczony, po czym wyciągnął rękę, by powstrzymać jastrzębia.

Drapieżnik zboczył z kursu, podczas gdy wróbel wylądował na ziemi u stóp Soli i przysiadł tam,

niezdolny poderwać się do lotu ze strachu lub zmęczenia.

Sos podejrzewał, że ptak boi się ludzi nie mniej niż swego wroga. Jastrząb krążył opodal, aż wreszcie się zdecydował. Był głodny.

Sol sięgnął do wózka ruchem tak szybkim, że niemal niezauważalnym, i wy dobył z niego pałkę. Gdy drapieznik zniżył lot ze wzrokiem utkwionym w siedzącego na ziemi ptaka, Sol zamachnął się. Sos wiedział, że jastrząb był poza jego zasięgiem i leciał o wiele za szybko... nagle jednak wydał on z siebie pojedynczy ostry okrzyk. Pałka uderzyła drapieznika w locie, ciskając jego zmiażdżone ciało do rzeki.

Sos wytrzeszczył oczy. To było najszybsze i najdokładniejsze uderzenie, jakie kiedykolwiek widział, a przecież Soi zrobił to od niechcenia, rozgniewany na stworzenie, które nie posłuchało jego ostrzeżenia. Myślał dotąd, że tylko szczęście dało Solowi zwycięstwo w Kręgu, choć z pewnością był on zdolnym wojowikiem. Teraz zrozumiał, że szczęście nie miało tu nic do rzeczy. Sol po prostu bawił się z nim, dopóki nie został ranny, a potem zakończył szybko walkę.

Ptaszek skakał po ziemi, trzepocząc bezskutecznie skrzydłami. Sola cofnęła się, jakby na przekór dopiero teraz przestraszona, kiedy było już po wszystkim. Sos założył wyjętą z plecaka rękawicę, opuścił ostrożnie rękę, złapał za trzepoczące skrzydła i podniósł przestraszone stworzenie.

Okazało się, że nie był to wróbel, lecz jakiś podobny do niego ptak. Na brzozy wych skrzydłach miał żółte i pomarańczowe plamki, a dziób wielki i tępy.

— To na pewno mutant — powiedział Sos. — Nigdy przedtem takiego nie widziałem.

Sol wzruszył ramionami. Nie obchodziło go to. Wyłowił z wody ciało jastrzębia. Jeśli nie znajdzie nic lepszego, pożywi się jego mięsem.

Sos otworzył rękę. Uwolniony ptak leżał jednak na dłoni patrząc na niego, zbyt przestraszony, by się poruszyć.

— Lec, głupi — powiedział potrząsając nim delikatnie.

Małe pazurki odnalazły kciuk mężczyzny i zacisnęły się na nim.

Sos wyciągnął ostrożnie dłoń i upewniwszy się, że stworzenie nie jest niebezpieczne, pociągnął za skrzydło, by zobaczyć, czy nie jest złamane. Pióra rozkładały się równo. Sprawdził również drugie. Dotykał ptaka lekko, tak by mógł on w każdej chwili wyrwać się na wolność, gdyby postanowił odlecieć. Oba skrzydła były nie uszkodzone, o ile Sos potrafił to ocenić.

— Startuj — powtórzył machając dłonią w powietrzu.

Ptak przycupnął, chwilami tylko rozpościerając skrzydła, by zachować równowagę.

— Jak sobie chcesz — powiedział Sos. Przysunął rękawicę do paska na ramieniu i potrząsał dłonią tak długo, aż ptak przeniósł się na nylon. — Głupi — powtórzył z nutą sympatii w głosie.

Wznovili marsz. Mijali pola i chaszczki, przedzielone wysepkami drzew. Gdy nadszedł zmierzch, brzęk owadów stał się głośniejszy. Najwyraźniej słychać go było w pewnej odległości, nigdy jednak nie dobiegał z ziemi. Nie natknęli się na tropy żadnych większych zwierząt. W końcu rozbili obóz nad brzegiem strumienia i złowili w sieć kilka małych ryb. Sos rozpałił ogień, podczas gdy Sola z wprawą oczyściła i przygotowała ryby. Widać było, że zna się na tej robocie.

Przed nadejściem nocy otworzyli plecaki i wyciągnęli z nich dwa namioty z nylonowej siatki. Podczas gdy Sol się gimnastykował, Sos wykopał nad strumieniem dół na odpadki, Sola zaś zgromadziła stos suchych gałęzi do podtrzymania ognia, którego blask najwyraźniej dodawał jej otuchy.

Ptak cały czas pozostawał przy Sosie. Gdy ten musiał sięgnąć do plecaka, odfrunął z jego ramienia, nie odlatywał jednak daleko. Nic nie jadł.

— Długo tak nie pociągniesz, Głupi — upomniał go czułym głosem Sos. W ten sposób ptak otrzymał imię Głupi.

Gdy Sos wrócił do ogniska, ujrzał nagle przed sobą biały kształt, poruszający się cicho jak zjawą. Olbrzymia ćma zmierzchnica — stwierdził i postąpił w jej stronę.

Głupi zaskrzeczał i runął na nią. Doszło do krótkiej walki w powietrzu — w tym świetle owad wydawał się tej samej wielkości co ptak — po czym biel skurczyła się jak przekłuty balon i zniknęła w rozdziawionym ptasim dziobie. Sos zrozumiał: Głupi był nocnym ptakiem i źle czuł się w świetle dnia. Prawdopo dobie jastrząb zaskoczył go podczas snu i ścigał wciąż oszołomionego. Głupi pragnął tylko schronienia, w którym mógłby bezpiecznie przedrzemać dzień.

Rankiem zwinęli obóz i ruszyli w głąb zakazanych terenów. Na ziemi na dal nie dostrzegali śladów zwierząt. Sos zdał sobie sprawę, że nie przechodziły tamtędy żadne ssaki, gady, płazy ani owady. W powietrzu nie brakowało motyli, pszczoł, much, skrzydlatych chrząszczy czy wielkich ciem, ale sam grunt, w nor małych warunkach najbogatsze siedlisko życia, był czysty.

Czyżby skażenie utrzymywało się w ziemi dłużej niż gdzie indziej? Ale prze cież większość owadów przechodziła stadium larwy żyjącej pod ziemią lub w wo dzie. .. a rośliny były zdrowe. Przykucnął, aby pogrzebać patykiem w glebie.

Były tam larwy, dżdżownice i podziemne chrząszcze. Wyglądały normalnie. Życie istniało pod ziemią i ponad nią, ale co się stało z mieszkańcami powierzchni?

— Szukasz przyjaciela? — zapytała Sola zjadliwym tonem.

Nie próbował jej wytłumaczyć, co go zaniepokoiło. Sam nie był tego pewien.

Po południu znaleźli to, czego szukali: piękną otwartą dolinę, przez którą ongiś płynęła rzeka. Nad tym, co z niej pozostało, rosły drzewa. W górze strumienia dolina zwężała się w łątwą do strzeżenia rozpadlinę, z której wypływał wodospad. W dolnym biegu rzeka rozlewała się w porośnięte trzcinami mokradło, które nie łatwo byłoby przebyć pieszo czy na łodziach. Z obu stron do doliny wiodły zielone przełęczce leżące pośród okrągłych gór.

— Stu mężczyzn z rodzinami mogłoby tu obozować! — zawołał Sol. — Dwu stu! Trzystu!

Odkąd odkrył, że duchy Złego Kraju już im nie zagrażają, humor wyraźnie mu się poprawił.

— Wygląda nieźle — przyznał Sos. — Pod warunkiem, że nie kryje się tu żadne nieznane niebezpieczeństwo.

Czy rzeczywiście się nie kryło?

— Nie ma zwierzyny — stwierdził Sol poważnie. — Ale są ryby i ptaki. Bę dziemy mogli wysyłać ludzi po żywność. Widziałem też drzewa owocowe.

Sos zauważył, że Sol wziął sobie swój projekt do serca i zwracał uwagę na wszystko, co miałyby zapewnić mu sukces. Jednakże przedwczesny optymizm również mógł się okazać niebezpieczny.

— Ryby i owoce! — mruknęła Sola krzywiąc twarz. Wydawała się jednak zadowolona, że nie będą się już dalej zagłębiać w niebezpieczną strefę.

Sos również się z tego cieszył. Ciężka mu aura Złego Kraju. Wiedział, że Rentgeny to nie wszystko...

Głupi ponownie zaskrzeczał, gdy pojawiły się wielkie, białe nocne kształty. Ze względu na kolor wydawały się znacznie większe niż w rzeczywistości. Ptak pofrunął za nimi uszczęśliwiony. Najwyraźniej ogromne ćmy były jego jedynym pożywieniem. Głupi — Sos zdał sobie właśnie sprawę, iż jest to samiec — pożerał je bez umiaru. Czyżby zachowywał je w wolu na chude noce?

— Okropny wrzask — odezwała się Soła.

Sos zrozumiał, że ma na myśli ochryply okrzyk Głupiego. Nie znalazł na to żadnej odpowiedzi. Ta kobieta jednocześnie fascynowała go i doprowadzała do szału. Dla ptaka jednak jej opinia nie miała znaczenia.

Jedna z ciem przeleciała bezgłośnie tuż przed nosem Sola, kierując się ku ognisku. Ten błyskawicznym ruchem złapał ją w rękę, aby się jej przyjrzeć. Nagle zaklął użądłony i odrzucił ćmę od siebie. Głupi złapał ją natychmiast.

— Użądliła cię? — zapytał Sos. — Pokaż mi rękę.

Przyprowadził Sola do ognia i przyjrzał się ukłuciu.

U podstawy kciuka widoczny był pojedynczy ślad z czerwoną obwódką.

— Chyba nic groźnego — stwierdził Sos. — Po prostu obronne ukąszenie. Na twoim miejscu jednak rozciąłbym rękę i na wszelki wypadek wyssał jad, który może się tam znajdować. Nigdy nie słyszałem o ćmie z żądłem.

— Zranić własną prawą dłoń? — roześmiał się Soi. — Nawet o tym nie myśl, Doradco.

— Nie będziesz musiał walczyć przynajmniej przez tydzień. Wystarczy, żeby się zagoiło.

— Nie — to była cała odpowiedź.

Spali tak samo jak poprzedniej nocy: namioty ustawione obok siebie, w jednym ich dwoje, a w drugim Sos, który długo leżał w napięciu, nie mogąc zasnąć.

Nie był pewien, co go aż tak zaniepokoiło. Gdy w końcu zapadł w sen, śniły mu się potężne skrzydła i olbrzymie piersi, jedno i drugie w kolorze trupiej bieli. Nie wiedział, co przeraziło go bardziej.

Rankiem Sol nie obudził się. Ubrany leżał w namiocie. Trawiła go gorączka. Oczy miał na wpół otwarte, lecz wzrok utkwiony nieruchomo przed siebie. Od czasu do czasu poruszał powiekami. Oddech miał szybki i płytki, jak gdyby coś ścisnęło jego klatkę piersiową. Tak było w istocie, gdyż potężne mięśnie kończyn i tułowia były sztywne.

— Zabrał go duch-zabójca! — krzyknęła Sola. — Rentgeny!

Sos dokładnie obejrzał umęczone ciało. Nawet w chorobie jego potęga i siła robiły wrażenie. Sądził uprzednio, że Sol jest raczej sprawny w ruchach niż silny, lecz musiał przyznać, że się mylił. Zwykle poruszał się on tak płynnie, że muskulatura była niemal niewidoczna. Teraz jednak miał poważne kłopoty. Jakaś niszczyielska toksyna pustoszyła jego organizm.

— Nie — odparł Sos. — Rentgeny zabiłyby również i nas.

— Więc co to jest? — zapytała nerwowo.

— Nieszkodliwe uządlenie.

Ironia jednak nie wywarła na niej wrażenia. To on śnił o białych jak śmierć skrzydłach, a nie ona.

— Złap go za stopy. Mam zamiar spróbować ostudzić go w wodzie.

Żałował, że nie czytał więcej książek medycznych, choć i z tych, do których miał dostęp, rozumiał niewiele. Zwykle ciało człowieka wiedziało, co robi. Być może gorączka była na coś potrzebna — aby wypalić jad? Bał się jednak pozwolić jej na dalsze szaleństwo pośród tkanek mięśni i mózgu.

Sola usłuchała go. Razem zanieśli masywne ciało Sola nad rzekę.

— Ściągnij z niego ubranie — warknął Sos. — Może dostać przy tym dresz czy. Nie możemy pozwolić, by mokry strój go zadusił.

Zawahała się.

— Ja nigdy...

— Szybko! — krzyknął pobudzając ją do czynu. — Od tego zależy życie twojego męża.

Sos ściągnął mocną nylonową kurtkę, podczas gdy Sola poluzowała sznur u pasa i zsunęła pantalon.

— Och! — zawołała.

Chciał ją ponownie zganić. W takim momencie nie powinna być przeczulona na punkcie męskiej nagości. Nagle ujrzał to, na co patrzyła. Zrozumiał wreszcie, co było między nimi nie w porządku.

Skutek obrażeń, wada wrodzona czy mutacja — tego nie mógł ocenić. Sol nigdy nie będzie ojcem. Nic dziwnego, że chciał osiągnąć sukces w życiu. Nie dane mu było doczekać się synów, którzy poszliby w jego ślady.

— Mimo to nadal jest mężczyzną — stwierdził Sos. — Wiele kobiet zazdrościłoby ci jego bransolety. — Zawstydział się jednak, gdy sobie przypomniał, że po ich spotkaniu w Kręgu Sol bronił go w podobny sposób. — Nie mów nikomu.

— Nie — odparła z drżeniem. — Nikomu. — Dwie łzy spłynęły jej po policzkach. — Nigdy.

Wiedział, że myślała o tym, jak piękne dzieci mogłaby mieć z tym wojowniakiem, niezrównanym pod każdym względem prócz jednego.

Wciągnęli ciało do zimnej wody. Sos podtrzymywał głowę nad powierzchnią. Miał nadzieję, że nagłe oziębienie spowoduje dobroczynny skutek, ale w stanie pacjenta nie zaszła żadna zmiana. Sol miał przeżyć lub umrzeć niezależnie od ich wysiłków. Nie pozostawało im nic poza obserwacją.

Po kilku minutach Sos przetoczył Sola z powrotem na brzeg. Zaniepokojony tym zamieszaniem Głupi usiadł mu na głowie. Ptak nie lubił głębokiej wody.

Sos zbadał przyjaciela spojrzeniem.

— Będziemy musieli tu pozostać, dopóki jego stan się nie zmieni — powie dział, nie dodając jednak, w jakim kierunku może zajść ta zmiana. — Ma potężny organizm. Możliwe, że kryzys już minął. Nie możemy dopuścić do tego, by te ćmy użądliły nas. Prawdopodobnie umarlibyśmy, zanim noc by się skończyła. Najlepiej spać w dzień i stać na straży w nocy. Może wszyscy zmieścimy się w jednym namiocie i wypuścimy Głupiego, żeby latał na zewnątrz.

Jeszcze rękawice... Musimy je nosić przez całą noc.

— Tak — odparła głosem spokojnym i szczerym.

Wiedział, że czeka ich trudny okres. Nocą będą przerażonymi więźniami, zamknięci w zbyt ciasnej przestrzeni i niezdolni wyjść na zewnątrz. Będą się kryć przed zjawą o białych skrzydłach, starając się jednocześnie pielęgnować człowieka, który w każdej chwili może umrzeć.

Ciążyła im również świadomość, że Sol, nawet gdyby w pełni odzyskał zdrowie, nigdy nie zaspokoi swej kobiety o prowokujących kształtach, do której Sos będzie musiał się teraz przytulać przez całą noc.

Rozdział 3

— Spójrz! — krzyknęła Sola, wskazując na zbocze wzgórza po drugiej stronie doliny.

Było południe i stan Sola nie poprawił się. Próbowali go nakarmić, lecz je go gardło nie chciało nic przełknąć. Bali się, że wodą mógłby się zachłysnąć. Sos trzymał go w namiocie, osłoniętego przed słońcem i natarczywymi muchami. Niepewność i niemożliwość zrobienia czegoś bardziej skutecznego doprowadzały go do szału. Nie zwrócił uwagi na głupie zachowanie dziewczyny.

Ich kłopoty dopiero się jednak zaczynały.

— Sos, spójrz! — powtórzyła podchodząc do niego, by złapać go za ramię.

— Odejdź — warknął, spojrzał jednak we wskazanym kierunku.

Szary dywan rozpostarł się na pagórku i zaczął spływać majestatycznie na równinę, jak gdyby ktoś wylewał na okolicę gęsty olej z gigantycznego dzbana.

— Co to jest? — zapytała histerycznym tonem, który zaczynał go irytować.

Zauważył jednak, że przynajmniej liczyła się już z jego opinią. — Rentgeny?

Wyteżył oczy w daremnej próbie dostrzeżenia jakichś szczegółów. To z pewnością nie mógł być olej.

— Obawiam się, że to jest właśnie to, co wytepiło zwierzynę w tym rejonie.

Jego nieokreślone obawy urzeczywistniały się z nawiązką.

Podszedł do wózka Sola i wyciągnął z niego dwie smukłe pałki. Były to lekkie, wygładzone pręty o zaokrąglonych końcach. Miały dwie stopy długości i półtora cala szerokości. Zrobiono je z imitacji drewna i były bardzo twarde.

— Weź je, Sola. Będziemy musieli jakoś z tym walczyć, a to powinna być najodpowiedniejsza broń dla ciebie.

Przyjęła pałki, z oczami utkwionymi w nadciągającej fali, choć było widać, że nie miała zaufania

do tej broni.

Sos wyciągnął maczugę — nie dłuższą niż pałka i wykonaną z podobnego materiału, znacznie jednak cięższą. Na jednym końcu miała wygodną, karbowaną rączkę, na drugim zaś rozszerzała się w gładką łzę o średnicy ośmiu cali w najgrubszym miejscu. Maczuga ważyła sześć funtów, przy czym prawie cały jej ciężar skupiał się w jednym końcu. Tylko potężny mężczyzna mógł władać z łatwością podobną bronią, ale gdy nacierało się nią z całych sił, efekt był równie niszczący jak uderzenie młota kowalskiego. W porównaniu z innymi rodzajami broni maczuga była nieporęczna, lecz jeden solidny cios zwykle wystarczał, by zakończyć walkę, i wielu mężczyzn się jej bało.

Sos czuł się zażenowany, gdy brał ją do ręki, zarówno dlatego, że nie była to jego bron, jak i dlatego, że Kodeks Honorowy nie zezwalał mu już na używanie jej w Kręgu. Odegnął jednak od siebie te głupie myśli. Nie zamierzał wykorzystać maczugi w walce ani wkroczyć z nią do Kręgu. Potrzebował skutecznego sposobu obrony przeciw niezwykle niebezpieczeństwu i w tym sensie maczuga nie była bronią honorową w większym stopniu niż łuk. To była najlepsza rzecz, jaką miał pod ręką, by odeprzeć to, co się zbliżało.

— Gdy nadejdzie, uderzaj po brzegach — powiedział do Soli.

— Sos! To... to jest żywe!

— Tego właśnie się obawiałem. Małe zwierzęta, miliony sztuk. Ogoławając grunt i pożerają każde żyjące na nim stworzenie. Jak wędrowne mrówki.

— Mrówki! — wykrzyknęła patrząc na trzymane w ręku pałki.

— Podobne do nich, tylko gorsze.

Żywa fala dotarła na równinę i ruszyła przez nią potworną kaskadą. Niektóre z biegnących na czele zwierzątek były już tak blisko, że mogli rozróżnić pojedyncze ciała. Z tej odległości nie przypominały już jednolitego płynu.

— Myszy! — zawołała kobieta z ulgą. — Maleńkie myszy!

— Możliwe. Myszy należą do najmniejszych ssaków i rozmnażają się naj szybciej, ssaki zaś to najbardziej krwiożercze i wszechstronne kręgowce na Zie mi. Z czymkolwiek jednak mamy do czynienia, przypuszczam, że to zwierzęta mięsożerne.

— Myszy? Ale jak...

— Promieniowanie wpływa w jakiś sposób na młode i zmienia je w mutanty. Mutacje są prawie zawsze szkodliwe, ale nieliczne osobniki, u których nastąpiły zmiany korzystne, przeżywają i zdobywają przewagę, stając się silniejsze niż przedtem. Książki twierdzą, że nawet człowiek powstał w ten sposób.

— Ale myszy!

Straż przednia dotarła już do ich stóp. Sos czuł się idiotycznie, podnosząc maczugę przeciw takim przeciwnikom.

— Obawiam się, że to ryjówki. Pierwotnie były owadożerne. Jeśli promieniowanie zabiło wszystko prócz owadów, z pewnością wróciły tu pierwsze.

Przykucnął, złapał jedną sztukę przez rękawicę i podniósł w górę, by pokazać Soli. Nie chciała patrzeć, za to Głupi spojrział i nie spodobał mu się ten widok.

— Najmniejszy, ale najbardziej krwiożerczy ze wszystkich ssaków. Dwa cale długości, ostre zęby, śmiertcionośna toksyna — choć jedna ryjówka nie ma jej tyle, by zabić człowieka. To stworzenie atakuje wszystko, co żyje, i zjada dziennie dwa razy tyle mięsa, ile samo waży.

Sola podskakiwała to tu, to tam, próbując uniknąć atakujących karzełek. Nie odczuwała przed nimi głupiego strachu, jak niektóre kobiety, lecz z pewnością nie chciała ich mieć na ciele czy pod stopami.

— Spójrz! — krzyknęła. — One...

On też już to ujrzał. Tuzin zwierzątek dostało się do namiotu. Zaczęły obłazić Sola, węsząc w poszukiwaniu najlepszych miejsc do ukąszenia.

Sos rzucił się na nie waląc w ziemię maczugą, podczas gdy Sola uderzała pałkami, lecz horda dotarła już całą masą. Na każdą sztukę, którą utłukły niezdarne ciosy, przybywało dwadzieścia nowych, szczerząc miniaturowe zęby. Ciałka za bitych zwierząt były szybko rozrywane i pożerane.

Mali żołnierze prowadzili wojnę na wielką skalę.

— Nie możemy walczyć ze wszystkimi! — dyszał Sos. — Do wody!

Otworzyli namiot, wyciągnęli Sola za ręce i wrzucili do rzeki. Sos wszedł do wody po pierś, strącając z siebie zajadłe potworki. Zauważył, że z licznych zadrapań na jego ramionach ciekła krew. Miał nadzieję, że mylił się co do jadu, gdyż zarówno on, jak i Sola otrzymali już tyle ukąszeń, że z pewnością utraciliby przytomność, gdyby ich efekt się kumulował.

Małe, ziejące złością stadka zatrzymały się na brzegu i przez chwilę Sos myślał, że jego akcję uwieńczyło powodzenie. Nagle jednak co odważniejsze osobniki wskoczyły do wody i zaczęły płynąć, z oczami jak paciorki utkwionymi w celu. Następne podążały za nimi. Wkrótce powierzchnię rzeki pokryły kosmate ciałka.

— Musimy się od nich oddalić! — krzyknął Sos. — Płyniemy!

Głupi przefrunął na drugi brzeg i usiadł zaniepokojony na krzaku. Nie było już tajemnicą, dlaczego na powierzchni nie było życia!

— Ale namioty, zapasy...

Miała rację. Musieli odzyskać namiot. W przeciwnym razie po zachodzie słońca nic ich nie osłoni przed ćmami. Nieprzeliczona armia ryjówek mogła się ich nie obawiać, ale wszystkie większe stworzenia były zagrożone.

— Wróć po nasze rzeczy! — krzyknął Sos. Podtrzymując przedramieniem brodę Soła, płynął bokiem w stronę drugiego brzegu. Wyrzucił gdzieś maczugę, z której i tak nie było żadnego pożytku.

Prześcignęli zwierzęta i z wysiłkiem wyszli na brzeg. Sola pochyliła się nad chorym, by udzielić mu wszelkiej możliwej pomocy, Sos natomiast ponownie skoczył do wody, aby wykonać jedno z najbardziej nieprzyjemnych zadań w swoim życiu. Uderzał teraz mocniej oswobodzonymi z ciężaru rękami, lecz zbliżając się do przeciwległego brzegu, musiał się przebijać przez żywą warstwę drapieży ników. Jego twarz znajdowała się na poziomie ich ciała.

Wciągnął powietrze i zanurkował. Płynął pod wodą, jak długo mógł, zanim musiał się wynurzyć, by zaczerpnąć oddechu. Oparł się stopami o dno i odbił ukośnie do góry. Wyskoczył ponad powierzchnię, rozrzucając ryjówek we wszystkie strony, wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby i zanurkował ponownie.

Wypadł na brzeg chwiejnym krokiem, nadeptując na piszczące i broniące się zwierzątka, złapał najbliższy plecak i zerwał swój namiot. Gdyby tylko złożyli i schowali rzeczy... Przeszkodziła im w tym choroba Sola.

Stworzenia były wszędzie. Kręciły się na plecaku i w jego wnętrzu, a także w fałdach zwiniętego namiotu. Ich spiczaste, włochate pyszczki węszyły po jego twarzy, a ostre jak igły zęby zaatakowały, gdy przycisnął bagaż do piersi. Potrząsnął nim w biegu, lecz trzymały się mocno, drwiąc z jego wysiłków, a gdy tylko przystawał, skakały mu do oczu.

Rzucił się niezgrabnie do wody, lądując na żywej warstwie. Zaczął gwałtownie kopać nogami. Tym razem nie mógł się zanurzyć. Plecak był tak skonstruowany, że utrzymywał się na wodzie, między fałdami namiotu zgromadziło się dużo powietrza, obie zaś ręce miał obciążone pakunkami. Małe diabły wciąż tańczyły po jego bagażu i drapały pazurami wargi i nos, gdzie znajdowały punkt zaczepienia. Zaciśnął mocno powieki, nie przestając walić nogami, w nadziei że płynie we właściwym kierunku. Stworzonka łąziły mu po włosach, gryzły w uszy, próbowały się wcisnąć w małżowiny i nozdrza. Sos usłyszał ochryply okrzyk Głu piego i zrozumiał, że ptak wyleciał mu na spotkanie i poniósł dotkliwą klęskę. Mógł jednak przynajmniej uciec w górę. Sos wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby, usiłując nie dopuścić do tego, by napastnicy dostali się również do ust.

— Sos! Tutaj!

Wołała go Sola. Z wdzięcznością skierował się na oślep w tamtą stronę. Po chwili wypłynął z kluskowatej mazi i znalazł się w czystej wodzie. Znów je prześcignął!

Plecak i namiot nasiąkły i przestały się unosić na powierzchni. Dzięki temu mógł zanurzyć głowę i otworzyć pod wodą oczy, podczas gdy prąd zrywał z niego ryjówki.

Ujrzał przed sobą jej nogi. Wskazywały mu drogę. Nigdy nie widział nic równie pięknego.

Wkrótce leżał już na brzegu. Zrywała z niego stworzonka i wdeptywała je w błoto.

— Chodź! — krzyknęła mu prosto w ucho. — Są już w połowie drogi!

Nie, nie mógł odpocząć, choć był niewypowiedzianie zmęczony. Dźwignął się na nogi i otrząsnął niczym wielki kudłaty pies. Zadrapania na twarzy szczypały go, a mięśnie ramion nie chciały się rozluźnić. Znalazł jakoś ciało Sola, dźwignął je i zarzucił sobie na ramię, po czym powłókł się w górę po stromym stoku. Dyszał ze zmęczenia, choć niemal w ogóle się nie posuwał.

— Chodź! — krzyczała cienkim głosem raz po raz. — Chodź! Chodź! Chodź!

Widział ją przed sobą, dźwigającą plecak, do którego wepchnęli na siłę ma teriał namiotu. Woda z bagażu skapywała na jej mokre pośladki. Fantastyczne pośladki — pomyślał i spróbował skupić uwagę raczej na nich niż na bezlitosnym ciężarze na plecach. Nie udało mu się.

Odwrót — koszmar wysiłku i wyczerpania — ciągnął się w nieskończoność. Nogi Sosa poruszały się jak drętwe łodygi. Uderzały bezsensownie w ziemię, nie pokonując drogi. Gdy upadał, jej bezlitosne krzyki zmuszały go do podniesienia się i dalszego daremnego marszu, zanim znowu upadł. I znowu. Kosmate pyszczki o lśniących, zabarwionych krwią zębach śmigały w kierunku jego oczu, nozdrzy i języka. Ciepłe ciała chrzęściły, piszcząc w agonii pod jego wielkimi stopami, niczym masa torebek napełnionych krwią i chrząstkami. Gdziekolwiek spojrzał, widział ogromne, białe jak kość skrzydła, wirujące niczym płatki śniegu.

Było ciemno. Leżał drżąc z zimna na mokrym gruncie, tuż obok nieruchomego ciała przyjaciela. Przetoczył się na drugą stronę, zadając sobie pytanie, dlaczego śmierć jeszcze nie nadeszła. Nagle zatrzepotały skrzydła — brązowe w żółte cętki — i Głupi usiadł mu na głowie.

— Dzięki ci! — szepnął wiedząc, że ómy nie zbliżą się do niego tej nocy, i pogrążył się we śnie.

Rozdział 4

Obudziło go migotliwe światło padające na powieki. Sol leżał obok — jak się okazało — żywy. W niewyraźnym świetle płonącego na zewnątrz ogniska Sos mógł dostrzec siedzącą przy nich nagą Solę.

Nagle zdał sobie sprawę, że wszyscy są nadzy. Sol prawie nic nie miał na sobie, odkąd zanurzyli go w rzece, reszta ubrań zaś...

— Wiszą na sznurku przy ognisku — powiedziała. — Dygotałeś tak mocno, że musiały zdjąć z ciebie przemoczone łachy. Moje też były mokre.

— Dobrze zrobiłaś — odrzekł. Szybko poświecił wstydlivość Soli, gdy za istniała taka potrzeba. To samo musiało odnosić się do niego. Zastanowił się, jak dała radę zdjąć zeń ubranie. Z pewnością był zbyt ciężki, aby mogła go podnieść. Musiała się przy tym niezłe namordować.

— Myśle, że już wyschły — powiedziała. — Ale ómy...

Ujrzał ścianę namiotu, w którym byli zamknięci. Sola rozpałała ognisko w ta kim miejscu, że ciepło promieniowało przez lekką siatkę w wejściu, ogrzewając wnętrze, ale nie napełniając go dymem. Ułożyła obu mężczyzn twarzami na dół, z głowami w stronę ciepła, a sama uklękła między ich stopami w dalszym końcu namiotu, pochylając się tak, że skośna nylonowa ściana nie dotykała jej pleców. Z pewnością nie była to wygodna pozycja, lecz jej obnażone piersi prezentowały się

bardzo korzystnie.

Sos czynił sobie wyrzuty, że w tak nieodpowiednim momencie zainteresował się jej ciałem. Tak jednak było zawsze: nie potrafił na nią patrzeć, nie czując fizycznego pociągu. To był drugi koszmar z jego snu: że będzie pożądaną żoną swego towarzysza i w ten sposób okryje się hańbą. Sola zadziałała z nadzwyczajnym pośpiechem, wykazując się zdrowym rozsądkiem, a nawet odwagą, i przy pisaniu jej kokieterii uznał za obraźliwe. Była naga i pociągająca... ale nosiła bransoletę innego mężczyzny.

— Może przyniosę ubranie — zaproponował.

— Nie. Wszędzie jest pełno ciem. Znacznie więcej niż przedtem. Głupi się obżera, ale my nie możemy wystawić ręki.

— Już niedługo będę musiał dorzucić do ognia.

Na zewnątrz było zimno i jego stopy to czuły mimo ciepła panującego w zamkniętym namiocie. Widział, jak Sola drży. Siedziała dalej od ognia.

— Możemy położyć się razem — stwierdziła. — Będzie nam cieplej, jeśli potrafiś wytrzymać mój ciężar.

To też miało sens. Namiot nie był dość szeroki dla trojga; gdyby jednak Sola położyła się na obu mężczyznach, znalazłoby się i miejsce, i ciepło. Jedno i drugie było im pilnie potrzebne. Podchodziła do sprawy bardzo praktycznie. Czy mógł się zachować mniej rozsądnie?

Gdy się przesunęła, poczuł jedwabisty dotyk jej uda na swej stopie. Przyjemny dreszcz przebiegł po jego nodze.

— Myślę, że gorączka mu opada — powiedziała. — Jeśli damy radę utrzymać go w cieple przez noc, jutro może poczuć się lepiej.

— Może toksyna ryjówek zneutralizowała jad ćmy — odrzekł, z zadowoleniem zmieniając temat. — Gdzie jesteś my? Nie pamiętam, jak się tu znalazłem.

— Za przełęczą, po drugiej stronie rzeki. Nie sądzę, by mogły tu do nas dotrzeć. Nie dziś w nocy. Czy one wędrują nocą?

— Myślę, że nie, skoro robią to za dnia. Muszą kiedyś spać — przerwał. — Za rzeką? To znaczy, że posunęliśmy się znacznie w głąb Złego Kraju.

— Ale mówiłeś, że promieniowanie zniknęło.

— Mówiłem, że ustępuje. Nie wiem, jak szybko to się dzieje ani jak daleko się cofnęło. Może już jesteśmy w jego zasięgu.

— Nic nie czuję — odparła nerwowo.

— Nie można go poczuć.

Nie było sensu o tym dyskutować. Jeśli nawet znaleźli się na brzegu skażonej strefy, nie mogli nigdzie uciec.

— Skoro rośliny pozostały takie same, to na pewno jest w porządku. Promienie zabijają wszystko.

Wiedział jednak, że owady są sto razy odporniejsze od człowieka, a tu było więcej ciem niż gdziekolwiek...

Rozmowa się urwała. Sos rozumiał, w czym tkwi problem. Choć oboje zgodzi li się, że należy oszczędzać ciepło, i wiedzieli, co trzeba w tym celu zrobić, było jednak niezręcznie wystąpić z podobną inicjatywą. Nie mógł jej bezceremonialnie poprosić, by położyła swój obfity biust na jego nagim ciele, ona zaś nie mogła się na nim rozciągnąć, nie mając do tego jakiegos pretekstu. Choć rozum mówił im, że to najlepsze rozwiązanie, sytuacja pozostawała niezręczna tym bardziej, że perspektywa podobnego kontaktu — nawet w celach praktycznych — podniecała go i był pewien, że daje się to zauważyć. Być może ją również to pociągało, jako że oboje wiedzieli, iż Soi nigdy nie weźmie jej w objęcia.

— To był najodważniejszy czyn, jaki widziałam w życiu — odezwała się. —

Myślę o twoim wypadzie po namiot.

— Trzeba to było zrobić. Nie pamiętam zbyt wiele oprócz tego, że krzyczałaś do mnie: „Chodź! Chodź!” — Zdał sobie sprawę, że to brzmi jak wyrzut. — Miałaś rację, oczywiście. To mnie uratowało. Nie wiedziałem, co robię.

— Krzyknęłam tylko raz.

A więc to działo się w jego głowie, wraz z innymi urojeniami.

— Ale wskazałaś mi drogę ucieczki przed ryjówkami.

— Bałam się ich. Zrzuciłaś sobie Sola na plecy i pobiegłaś za mną, nie za trzymując się. Nie wiem, jak to zrobiłaś. Kiedy upadałaś, myślałam, że to koniec, ale wstawiałaś raz za razem.

— Książki nazywają to „siłą historyczną”.

— Tak, jesteś bardzo silny — zgodziła się nie rozumiejąc go. — Może nie tak zręczny jak on, ale znacznie silniejszy.

— Jednak to ty niosłaś bagaż — przypomniał jej. — I ty to wszystko ustawiłaś.

Przyjrzał się namiotowi. Wiedział, że musiała wystrugać kołki w miejsce tych, które utracili, gdy wyrwał namiot pośród atakujących ryjówek, a potem wbić je w ziemię za pomocą kamienia. Namiot nie stał równo i zapomniawszy go okopać, ale tyczki były wbite mocno, a płótno napięte. Mógł wytrzymać w trudnych warunkach. Przy odrobinie szczęścia i czujności mieli także zapewnioną ochronę przed ćmami. Umiejscowienie ogniska zaś dowodziło przebłysku geniuszu.

— Świetna robota. Potrafisz znacznie więcej, niż mi się zdawało.

— Dziękuję — odpowiedziała spuszczając wzrok. — Trzeba to było zrobić.

Znów zapanowała cisza. Ogień przygasał. Sos widział jedynie wystające fragmenty jej twarzy oraz zaokrąglone górne kontury piersi. Wszystko to było śliczne. Przyszedł czas, by się razem położyć, nadal jednak się ociągali.

— Gdy mieszkaliśmy z rodziną, czasem spaliliśmy pod namiotem — odezwała się. — Stąd wie-działam, że trzeba go ustawić na wzniesieniu, na wypadek deszczu.

A więc zdawała sobie sprawę z konieczności okopania namiotu.

— Czasem śpiewaliśmy piosenki przy ognisku ja i moi bracia, żeby się przekonać, jak długo damy radę po wstrzymać się od snu.

— My też — przypomniał sobie. — Ale teraz pamiętam już tylko jedną.

— Zaśpiewaj mi ją.

— Nie mogę — sprzeciwił się zawstydzony. — Strasznie fałszuję.

— Ja też. Co to za piosenka?

— „Greensleeves”.

— Nie znam jej. Zaśpiewaj.

— Nie mogę śpiewać leżąc na boku.

— To usiądź. Jest dosyć miejsca.

Przybrał z wysiłkiem pozycję siedzącą i spojrzał na Solę z drugiego końca namiotu. Nieruchome ciało Sola leżało na ukos pomiędzy nimi. Sos cieszył się, że jest ciemno.

— Nie jest odpowiednia — odparł.

— Piosenka ludowa? — Jej głos zabrzmiał, jakby to było coś śmiesznego.

Zaczerpnął oddechu i spróbował zaśpiewać. Nie mógł już znaleźć żadnych wykrętów.

*Ukochana, robisz mi krzywdę Brutalnie mnie
odtrącając, Choć kochałem ciebie tak długo, Twą
bliskością się napawając.*

— Ależ to piękne! — zawołała. — Ballada miłosna.

— Nie pamiętam innych zwrotek. Tylko refren.

— Śpiewaj.

*Greensleeves była szczęściem mym, Radością całą mą.
Greensleeves była sercem mym. Któż, jak nie moja
Greensleeves?*

— Czy mężczyzna naprawdę może tak kochać kobietę? — spytała w zadumie.— Po prostu myśleć o niej i napawać się jej bliskością?

— Czasami. To zależy od mężczyzny. Myślę, że i od kobiety.

— To musi być przyjemne — odrzekła smutno. — Nikt nigdy nie pożyczył mi bransolety, co najwyżej tylko dla towarzystwa. Oprócz...

Spostrzegł, że jej oczy powędrowały w stronę Soła, albo tak mu się zdawało. Przemówił, by uciąć krępującą myśl.

— Czego pragniesz w mężczyźnie?

— Głównie przywództwa. Mój ojciec był drugim w plemienu, ale nigdy nie został wodzem. Zresztą to było marne plemię. W końcu został zbyt ciężko ranny i odszedł do Odmieńców. Tak mnie to zawstydziło, że zdecydowałam się zacząć życie na własną rękę. Chcę mieć imię, które wszyscy będą podziwiał. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek innego.

— Możliwe, że już je masz. Sol jest znakomitym wojownikiem i pragnie założyć Imperium.

Ponownie wstrzymał się, by nie przypomnieć tego, czego to imię nie mogło jej zapewnić.

— Tak. — W jej głosie nie było słycać szczęścia.

— Jaką piosenkę ty znasz?

— „Dolinę Red River”. Zdaje mi się, że takie miejsce naprawdę istniało przed Wybuchem.

— Tak. Chyba w Teksasie.

Nie ponaglana zaczęła śpiewać. Jej głos, choć nie szkolony, brzmiał lepiej niż jego.

*Jeśli kochasz, usiądź tu przy mnie. Nie popieszaj, by
pożegnać się. Zapamiętaj dolinę Red River I dziewczynę,
co kochała cię.*

— W jaki sposób zostałeś uczonym? — zapytała, jakby chciała odegnąć in tymny nastrój wywołany piosenką.

— Na wschodzie Odmieńcy prowadzą szkołę — wyjaśnił. — Zawsze intere sowały mnie różne rzeczy. Zadawałem pytania, na które nikt nie potrafił odpowiedzieć. Na przykład: „Co spowodowało Wybuch?” W końcu moja rodzina oddała mnie Odmieńcom na służbę, pod warunkiem, że zgodzą się dać mi wykształce nie. Wynosiłem więc im pomyje i czyściłem sprzęt, a oni nauczyli mnie czytać i rachować.

— To musiało być okropne.

— To było wspaniałe. Miałem mocny krzyż, więc praca mi nie przeszkadzała. Kiedy zobaczyli, że naprawdę chcę się uczyć, przenieśli mnie na stałe do szkoły. Stare książki... są w nich niewiarygodne rzeczy. Była tam cała historia świata przed Wybuchem, sięgająca tysięcy lat wstecz. Istniały wtedy państwa i imperia znacznie większe niż jakiegokolwiek dzisiejsze plemiona. Było tyle ludzi, że brakowało jedzenia, by ich nakarmić. Budowali nawet statki latające na inne planety, które widzimy na niebie...

— Och — odparła nie zainteresowana. — To mity.

Przerwał opowieść. Prawie nikogo oprócz Odmieńców nie obchodziły daw ne czasy. Dla zwykłych ludzi świat zaczął się od Wybuchu. Dalej ich ciekawość nie sięgała. Na świecie żyły dwie grupy: wojownicy i Odmieńcy. Nic innego się nie liczyło. Pierwsi tworzyli rodziny i plemiona koczowników wędrujące z go spody do gospody i z obozu do obozu. Zdobywali sobie poważanie i

wychowy wali dzieci. Drudzy byli myślicielami i budowniczymi. Mówiono, że wywodzą się spośród wojowników, którzy nie osiągnęli powodzenia lub byli już za starzy. Używali potężnych maszyn z czasów przed Wybuchem, aby budować gospody i drogi wiodące przez lasy. Dostarczali wojownikom broni, ubrań i innych artykułów, choć twierdzili, że ich nie produkują. Nikt nie wiedział, skąd takie rzeczy się biorą, i nikogo to szczególnie nie interesowało. Ludzi zajmowały jedynie sprawy codzienne. Dopóki system działał, nikt nie zaprzętał sobie nim głowy. Ci, którzy poświęcali się badaniom przeszłości i innym podobnie bezużytecznym zajęciom, byli uważani za Odmieńców. Stąd wzięła się nazwa, którą obdarzono ludzi, praw dę mówiąc, bardzo podobnych do koczowników i całkiem zdrowych na umyśle. Sos szczerze ich szanował. W ich rękach leżała przeszłość i — jak podejrzewał — również przyszłość. Tylko oni coś tworzyli. Obecna sytuacja nie mogła trwać wiecznie. Jak wyraźnie wskazywała historia, z biegiem czasu cywilizacja zawsze zastępowała anarchię.

— Dlaczego nie zostałeś... — przerwała. Zgasło ostatnie światło ogniska i jedynie jej głos zdradzał, gdzie się znajduje. Zdał sobie sprawę, że siedząc dziewczyna traci jeszcze więcej ciepła. Nie skarżyła się jednak.

— Odmieńcem?

Często sam się nad tym zastanawiał. Życie koczownika miało jednak swój surowy urok i radosne momenty. Dobrze było ćwiczyć ciało i pokładać zaufa nie w honorze wojownika. W książkach znajdował cuda, ale we współczesnym świecie również ich nie brakowało. Pragnął jednego i drugiego.

— Wydaje mi się naturalne walczyć z mężczyzną, gdy mam na to ochotę, i tak samo kochać kobietę. Robić to, czego pragnę, kiedy tylko zechcę, i nie zależeć od niczego poza siłą swojej prawicy w Kręgu.

To wszystko nie było już jednak prawdą. Pozbawiono go praw w Kręgu, a ko bieta, której pragnął dać bransoletę, należała do innego mężczyzny. Własna głupa pota doprowadziła go do tej sytuacji.

— Chodźmy lepiej spać — odburknął i wrócił do pozycji leżącej.

Poczekwała, aż się ułoży wygodnie, po czym bez słowa wczłgała się na niego.

Legła twarzą w dół na plecach obu mężczyzn. Sos poczuł, jak jej głowa o mięk kich włosach oparła się na jego prawym barku. Łaskoczące loki opadły zmysło wo między jego ramię a korpus. Wiedział jednak, że stało się to przypadkowo. Kobiety nie zawsze zdawały sobie sprawę z podniecających właściwości długich włosów. Jej ciepła lewa pierś rozpląszczyła się mu na plecach, a gładkie, jędrne udo wypełniło zagłębienie tworzone przez jego kolano. Gdy oddychała, jej brzuch poruszał się napierając rytmicznie na jego pośladek. Sos zacisnął pięść w ciemności.

Rozdział 5

— Następnym razem, Doradco, jeśli mi powiesz, że mam rozbić sobie dłoń maczugą na miazgę, zrobię to z chęcią — powiedział Sol przyznając się, że zlekceważył uządlenie. Twarz miał bladą, wrócił już jednak do zdrowia. Zanim się obudził, założyli mu nowe spodenki, wyjęte z plecaka, nie tłumacząc, w jaki sposób stracił resztę ubrania. Nie pytał o to.

Sola znalazła na dzikiej jabłoni małe zielone owoce. Wspólnie spożyli ten nędzny posiłek. Sos opowiedział o ucieczce przed ryjówkami, pomijając niektóre szczegóły. Kobieta kiwała tylko potwierdzająco głową.

— A więc nie możemy pozostać w tej dolinie — stwierdził Sol. Reszta go nie obchodziła.

— Wprost przeciwnie. To świetne miejsce na szkolenie.

Sola spojrzała z ukosa.

— Z ryjówkami?

Sos zwrócił się z powagą w stronę Sola.

— Daj mi dwudziestu dobrych ludzi i jeden miesiąc, a zabezpieczę dolinę na cały rok.

Sol wzruszył ramionami.

— Zgoda.

— Jak mamy się stąd wydostać? — spytała Soła.

— Tą samą drogą, którą przyszliśmy. Te ryjówki gubi ich własna żarłoczność. Nie mogą przebywać zbyt długo w jednym miejscu, a w dolinie miały nie za wiele do jedzenia. Musiały się już przenieść na nowe żerowiska i wkrótce wymrą. Prawdopodobnie roją się tylko co trzecie lub czwarte pokolenie, choć to i tak pewnie kilka razy na rok.

— Skąd się wzięły? — zapytał Sol.

— To na pewno mutacja wywołana promieniowaniem.

Zaczął swój opis ewolucji, lecz Sol ziewnął tylko.

— W każdym razie — ciągnął — musiała w nich zajść jakaś zmiana, dzie ki której lepiej się przystosowały do tutejszych warunków. Zniszczyły tu niemal wszystkie formy życia naziemnego. Muszą zapuszczać się coraz dalej albo zginąć z głodu. To nie może trwać wiecznie.

— I potrafisz ochronić przed nimi dolinę?

— Tak, po przygotowaniach.

— Ruszajmy.

Dolina była już pusta. Po maleńkich ssakach nie pozostał żaden ślad, oprócz skłębionej trawy zdeptanej ich niezliczonymi stopami oraz brunatnej gleby wi docznej tam, gdzie ryły w poszukiwaniu tłustych larw. Najwyraźniej wspinały się na każdą łodygę, obalając ją na ziemię ciężarem swych ciał i żując na próbę. Niezwykła plaga!

Sol przyjrzał się spustoszeniom.

— Dwudziestu ludzi?

— I miesiąc.

Ruszyli w dalszą drogę.

Wydawało się, że podczas marszu Sol odzyskuje siły. Wyglądał niewiele go rzej niż przedtem. Pozostała dwójka wymieniała od czasu do czasu spojrzenia, potrząsając głowami. Sol mógł się starać robić dobre wrażenie, ale był bardzo bliski śmierci i musiał jeszcze odczuwać tego skutki.

Narzucili szybkie tempo, pragnąc opuścić Zły Kraj przed zmrokiem. Teraz, gdy wiedzieli już, dokąd idą, posuwali się znacznie szybciej i o zmierzchu zna leżli się blisko słupków wytyczających granicę królestwa Rentgenów. Głupi zo stał z Sosem, usadowiony na jego ramieniu. Dzięki obecności ptaka odważyli się wędrować poprzez mrok w stronę gospody.

Tam leżeli przez całą noc i dzień., rozkoszując się ciepłem, bezpiecznym snem oraz dostatkiem pożywienia. Sola spała przy swoim mężczyźnie, nie skarżąc się więcej. Sprawiała wrażenie, jakby ich wspólne przeżycia w Złym Kraju nic dla niej nie znaczyły. W pewnej chwili Sos usłyszał jednak, jak nuci „Greensleeves”. Zrozumiał wtedy, że w tym Kręgu zwycięzca nie został jeszcze wyłoniony. Mu siała dokonać wyboru pomiędzy przeciwstawnymi pragnieniami i gdy podejmie decyzję albo oddać Solowi bransoletę, albo ją zatrzymać.

Głupi najwyraźniej nie miał problemów z przestawieniem się na dietę złożo ną z mniejszych owadów. Białe émy można było spotkać tylko w Złym Kraju, ptak jednak postanowił związać swe losy z Imperium, nawet za cenę rezygnacji z ulubionego smakołyku.

Ponownie ruszyli w drogę. Po dwóch dniach napotkali samotnego wojownika z drągiem. Był młody i jasnowłosy jak Sol. Sprawiał wrażenie, jakby się nieustan nie uśmiechał.

— Jestem Sav Drąg — przedstawił się. — Poszukuję przygód. Kto zechce się ze mną zmierzyć w Kręgu?

— Walczę o panowanie — odparł Sol. — Zakładam własne plemię.

- Tak? Jaka jest twoja bron?
- Drog, jeśli sobie życzysz.
- Używasz więcej niż jednej?
- Wszystkich.
- Zgodzisz się walczyć ze mną maczugą?
- Tak.
- Jestem bardzo dobry przeciw maczudze.

Sol otworzył wózek i wyciągnął z niego wspomnianą broń. Sav spojrzał nań przyjaźnie.

— Z tym, że ja nie zakładam żadnego plemienia. Nie zrozum mnie źle, przyja cielu. Z chęcią dołączę się do twojego, jeśli mnie pokonasz, ale sam nie potrzebuję twoich usług. Czy masz mi do zaofiarowania cos innego, jeśli wygram?

Sol spojrzał na niego zakłopotany. Odwrócił się w stronę Sosa.

— On ma na myśli twoją kobietę — powiedział ten uważając, by jego głos brzmiał obojętnie. — Jeśli zgodzi się ona przyjąć jego bransoletę na kilka nocy...

— Jedna noc wystarczy — przerwał mu Sav. — Lubię ciągłe zmiany.

Sol zwrócił się ku niej niepewnie. Nie skłamał mówiąc, że potrafi się targować. Wszystko było w zgodzie ze zwyczajowymi warunkami, jednak w tej sytuacji czuł się bezradny.

— Jeśli pokonasz mego męża — powiedziała Sola do wojownika z drągiem — przyjmę twoją bransoletę na tyle nocy, ile zapragniesz.

Sos zrozumiał ją wtedy. Nie chciała być tylko obiektem pożądania. Jak każda piękna dziewczyna płaciła cenę za swą urodę.

— Jedna noc wystarczy — powtórzył Sav. — Bez obrazy, pani. Nigdy nie odwiedzam tego samego miejsca dwa razy.

Sos nie odrzekł nic więcej. Sav był rozbijającą szczery, a cokolwiek by mówić o Soli, z pewnością nie była dwulicowa. Poszła do najlepszego mężczyzny, gdyż pragnęła jego imienia. Jeśli będzie musiała rzucić na szalę samą siebie, by ułatwić rozstrzygnięcie sporu, zrobi to. Jak się Sos przekonał, w jej życiowej filozofii nie było zbyt wiele miejsca dla pokonanych.

A może pokładała w Solu takie zaufanie, że wiedziała, iż nic nie ryzykuje?

— A więc zgoda — powiedział Sol.

Wyruszyli całą grupą ku najbliższej gospodzie, odległej o kilka mil.

Gdy obaj mężczyźni podeszli do Kręgu, Sos odczuwał pewne wątpliwości. Sol był nadzwyczaj szybki, ale maczuga była przede wszystkim bronią siłową, nie nadającą się do finezyjnych zwrotów. Niedawna choroba musiała osłabić Sola i zmniejszyć jego wytrzymałość w walce, nawet jeśli podczas zwykłej wędrówki nie rzucało się to w oczy. Drog był bronią defensywną, dogodną w przedłużającym się pojedynku, podczas gdy maczuga szybko wyczerpywała siły wojownika. Sol postąpił głupio zgadzając się na bron, która dawała mu najmniejsze szanse.

Co go to zresztą obchodziło? Jeśli Sol zwycięży, plemię pozyska pierwszego prawdziwego członka, a jeśli przegra, Sola przyjmie inną bransoletę i stanie się Savą, a wkrótce potem zapewne znów będzie wolna. Sos nie był pewien, które rozwiązanie jemu przyniosłoby korzyść, jeśli w ogóle mógł na to liczyć. Najlepiej pozwolić, by Krąg zdecydował.

Nie! Zgodził się służyć Solowi w zamian za imię. Powinien był dopilnować, by jego szansę były jak największe, tymczasem pozostawił go własnemu losowi w chwili, gdy należało okazać czujność. Teraz mógł tylko mieć nadzieję, że jego błąd nie będzie kosztował Sola porażki.

Obaj mężczyźni weszli do Kręgu i natychmiast rozpoczęło się starcie. W Kręgu Walki nie było miejsca na uprzejmości, liczyło się tylko zwycięstwo.

Sav zamachnął się, oczekując gwałtownego ataku. Ten jednak nie nadszedł. Drog miał około sześciu i pół stopy długości i taką samą średnicę jak pałka, lecz końce ostro obcięte. Pod naciskiem

zginał się lekko, poza tym jednak nie różnił się niczym od sztywnej tyczki. Była to bron szczególnie łatwa w użyciu, rzadko jednak mogła zapewnić szybkie rozstrzygnięcie. Pozwalała łatwo blokować ciosy innych narzędzi walki, ale jej własne było równie łatwo zablokować.

Sol czterokrotnie zamachnął się ciężką maczugą, obserwując obronną postawę przeciwnika, po czym wzruszył ramionami i zadał mu na odlew potężny cios w pierś. Z łatwością ominął trzymany poziomo drąg.

Sav zrobił zdumioną minę, usiłując zaczerpnąć oddechu, który odebrało mu uderzenie. Sol oparł delikatnie maczugę na jego drąg i pchnął. Mężczyzna prze wrócił się do tyłu i wypadł z Kręgu.

Sos był zdumiony. Wyglądało to po prostu na pomyślnie uderzenie, wiedział jednak, że tak nie było. Sol po mistrzowsku zbadał odruchy przeciwnika, po czym zadał cios z taką precyzją i szybkością, że jakakolwiek obrona była niemożliwa. Z nieporęczną maczugą dokonał olbrzymiego wyczynu — i nie był to przypadek. Sol, który poza Kręgiem nie wyróżniał się niczym szczególnym, w jego obrębie był geniuszem. Sprawnie zdobył dla swej grupy nowego członka, nawet go nie raniąc.

Wyglądało na to, że Sol nie potrzebował rad co do warunków walki.

Sav przyjął porażkę filozoficznie.

— Głupio teraz wyglądam po całej mojej gadaninie, prawda? — stwierdził. To było wszystko. Nie popadł w przygnębienie ani nie czynił Soli dalszych awansów.

Prawa statystyki, o których Sos czytał, mówiły, że musi upłynąć parę tygodni, zanim natrafią na jakiegoś naprawdę dobrego wojownika. Niemniej jednak jesz cze tego wieczoru napotkali dwóch mężczyzn z mieczami — Tora i Tyla. Pierwszy miał śniadą cerę i nosił długą brodę, drugi był szczupły i gładko ogolony. Wojow nicy używający miecza, jak również sztyletu, często się golili. Stanowiło to nie oficjalny znak ich specjalności, sugerujący delikatnie, że biegle opanowali swoją bron. Sos raz tylko próbował ogolić się mieczem i paskudnie pokaleczył sobie przy tym twarz. Od tego czasu ograniczył się do nożyczek, nie dbając o długość zarostu. W gospodach były elektryczne golarki, ale niewielu mężczyzn zniżało się

do ich używania. Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego korzystanie z dostarcza nych przez Odmieńców maszynek uważano za hańbiące, gdy tymczasem można było jeść ich żywność. Tak już się przyjęło.

Obaj wojownicy byli żonaci, a Tor miał małą córeczkę. Byli przyjaciółmi, oka zało się jednak, że Tyl pełni rolę wodza. Obaj zgodzili się walczyć, Tor pierwszy, z zastrzeżeniem, że wszystko, co zdobędzie, zabierze Tyl. Taki zwyczaj panował w każdym plemieniu, niezależnie od jego wielkości.

Przeciwko Torowi Sol wystąpił z mieczem, prostym, płaskim, o długości dwu dziestu cali. Koniec miał ostry, lecz rzadko zadawano nim pchnięcia. Walki na miecze były z reguły szybkie i dramatyczne. Niestety, często zadawano w nich rany, a wypadki śmierci nie były rzadkością. Dlatego właśnie kilka tygodni temu Sol użył przeciw Sosowi drąga: był naprawdę pewien swych umiejętności i nie chciał narażać przeciwnika na poważną ranę.

— Żona i córka patrzą — szepnęła stojąca obok Sola. — Dlaczego wziął miecz?

Sos zrozumiał, że niepokoi się ona tym, że Tora i Tori będą świadkami walki dwóch mieczy.

— Dlatego, że Tyl również patrzy — odrzekł.

Tor był potężnym mężczyzną. Przypuścił gwałtowny atak. Sol początkowo ograniczał się do parowania ciosów. Nagle przeszedł do ofensywy. Tor znalazł się w trudnej sytuacji, choć dotąd sprawiał wrażenie, jakby w ogóle się nie wy siłał. Wkrótce w Kręgu nastąpiła przerwa, gdyż żaden z przeciwników nie chciał atakować.

— Poddaj się — rozkazał swemu człowiekowi Tyl.

Tor wyszedł z kręgu. Było po walce. Zakończyła się bez rozlewu krwi. Córka Tora gapiła się na to, nic nie rozumiejąc. Sola również była zbита z tropu, Sos jed nak dowiedział się dwóch ważnych rzeczy. Po pierwsze, ujrzał, że Tor był bardzo dobrym wojownikiem, który mógłby nawet pokonać

go w Kręgu. Po drugie, że Tyl był jeszcze lepszy. To rzadki przypadek — napotkać nagle dwóch tak dobrych wojowników po długim okresie posuchy. W ten sposób jednak działały prawa statystyki.

Sola sądziła, że walka dwóch mieczy nieuchronnie prowadzi do rozlewu krwi, w tym przypadku jednak było inaczej. Tor i Sol ocenili wzajemnie swoje możliwości. Żaden z nich nie starał się zadać raniącego ciosu. Tyl obserwował nie swojego człowieka, którego umiejętności znał, lecz Sola i ocenił jego wartość. Zobaczył to samo co Sos: że Sol ma wyraźnie lepszą technikę i niemal na pewno zwycięży. Tyl postąpił rozsądnie: poddał swojego człowieka przed końcem walki, rozumiejąc, że nie ma on szans. Być może dziewczynka była rozczarowana, jeśli sądziła, że jej ojciec jest niezwykły, lepiej jednak, że nie została odarta ze złudzeń w bardziej brutalny sposób.

— Rozumiem — stwierdziła Sola cichym głosem. — Ale przypuśćmy, że byliby mniej więcej równi?

Sos nic nie odpowiedział.

W każdym razie Sol wygrał bezboleśnie kolejną walkę i włączył do swych sze regów dobrego wojownika. Jedyne używając broni, którą Tyl dobrze znał, mógł go skłonić do podjęcia takiej decyzji.

Myśląc dotąd o planach założenia Imperium, Sos powtarzał sobie: „Poczekajmy, zobaczymy”. Wiedział, że potrzeba do tego o wiele więcej niż tylko szybkości i wszechstronności w Kręgu. Jego wątpliwości jednak prędko zaczęły się rozwiewać. Jeśli Sol potrafił walczyć w ten sposób, gdy był osłabiony, to kiedy odzyska siły, stanie się niepokonany. Dowiódł już, że nadzwyczaj sprawnie włada drą giem, maczugą i mieczem. Nigdy nie był bliski porażki. Wydawało się, że może bez ograniczeń powiększać plemię o wciąż nowych członków.

Tyl wstał i zaprezentował własną niespodziankę. Odłożył na bok miecz i wy ciągnął parę pałek. Opanował dwa rodzaje broni i zdecydował się nie walczyć z Solem tą, którą ów przed chwilą zademonstrował.

Sol uśmiechnął się tylko i wyciągnął własne pałki.

Zgodnie z tym, czego oczekiwał Sos znając sprawność nadgarstków Sola, walka zakończyła się szybkim rozstrzygnięciem. Cztery pałki poruszały się błyskawicznie, zataczały kręgi, uderzały, dźgały i blokowały ciosy, działając zarazem jak tępe miecze i lekkie drągi. Była to szczególna sztuka, gdyż trzeba było panować nad dwoma przyrządami jednocześnie i odbijać ciosy dwóch pałek przeciwnika. Wymagało to znakomitego zharmonizowania. Przyglądając się walce z zewnątrz, niemal nie sposób było powiedzieć, kto ma przewagę. Nagle jedna z pałek wyleciała z Kręgu i Tyl wycofał się, na poły rozbrojony i pokonany. Kostki jego lewej dłoni krwawiły w miejscu, gdzie skóra pękła pod ciosem Sola.

Ten jednak również miał ślady na ciele. Z rany nad okiem skapywała krew. Obaj przeciwnicy pokazali, co potrafią.

Sol miał teraz w swej grupie trzech mężczyzn, z czego dwóch nie było nowi ciuszami.

W dwa tygodnie później Sos dostał obiecanych dwudziestu ludzi. Poprowadził ich z powrotem w stronę Złego Kraju, podczas gdy Sol ruszył w dalszą drogę tylko w towarzystwie Soli.

Rozdział 6

— Rozbicie namioty wysoko na stoku, po jednym na dwóch mężczyzn albo rodzinę. Resztę plecaków zwałcie po drugiej stronie rzeki — rozkazał Sol, gdy przybyli do doliny. — Dwóch mężczyzn będzie pełnić straż — dzień i noc — krążąc po obwodzie. Reszta w dzień będzie pracować, a w nocy zamknie się w namiotach. Żadnych wyjątków. Nocą strażnicy przez cały czas będą szczelnie owinięci siatką, a także będą się wystrzegać spotkania z białymi ćmami. Codziennie wyznaczę czteroosobową grupę myśliwych i zespół tragarzy. Reszta będzie kopać fosę.

— Po co? — zapytał jeden z mężczyzn. — Jaki sens ma cała ta głupota?

Był to Nar Sztylet, pyskаты osobnik, który niechętnie przyjmował rozkazy.

Sos odpowiedział po co.

— Czy myślisz, że uwierzemy w takie fantastyczne historyjki? I to mężczyź nie bez broni? — krzyknął oburzony Nar. — Mężczyź nie, który hoduje ptaki, zamiast walczyć?

Sos opanował się. Wiedział, że cos takiego się zdarzy. Zawsze znajdzie się jakiś prostak, który sądzi, że honor i uprzejmość nie sięgają poza granicę Kręgu.

— Staniesz dziś w nocy na warcie — oznajmił mu. — Jeśli nie chcesz mi uwierzyć, wystaw twarz i ramiona na użądlenia ciem.

Wyzaczył zadania pozostałym ludziom i wszyscy zabrali się do rozbijania obozu. Tyl podszedł do niego.

— Jeśli będą jakieś kłopoty z ludźmi... — szepnął.

Sos zrozumiał.

— Dziękuję — odburknął.

Po południu znalazł czas, by wytyczyć teren, przez który zgodnie z jego pla nem miała przebiegać fosa. Wziął ze sobą grupę ludzi, którzy rozwijali sznur i przywiązywali go do kołków wbitych w ziemię, w odpowiedniej odległości od siebie. W ten sposób zakreślili wielkie półkole o promieniu około ćwierci mili, obejmujące miejsce nad rzeką, gdzie złożyli bagaże.

Spożyli racje z przyniesionych zapasów żywności na długo przed zapadnięciem zmierzchu, po czym Sos osobiście sprawdził wszystkie namioty, nalegając, by wszelkie niedociągnięcia zostały natychmiast usunięte. Każdy namiot miał być zamknięty szczelnie: żadnych otworów, przez które ćmy mogłyby wpełznąć do środka. Ludzie narzekali, ale wykonali polecenie. Gdy nad doliną zapadła noc, wszyscy oprócz wartowników skryli się w namiotach, aby pozostać tam aż do świtu.

Sos położył się spać zadowolony. To był dobry początek. Zastanawiał się, gdzie ćmy kryją się za dnia, że nie mogą ich znaleźć ani ryjówki, ani słońce.

Sav, z którym Sos dzielił namiot, był mniejszym optymistą.

— Będą kłopoty w dolinie Red River — zauważył w swój bezpośredni sposób.

— Dolinie Red River?

— Z tej piosenki, którą cały czas nucisz. „Czyś zapomniął o naszej dolinie, gdzie zostały samotność i żal? Pomyśl o porzuconej dziewczynie i jej smutku...”

— Starczy! — zawołał Sos zawstydzony.

— No więc kopanie dołów i dźwiganie ciężarów im się nie spodoba — cią gnął Sav z wyrazem powagi na swej zwykle uśmiechniętej twarzy. — A w nocy trudno będzie utrzymać dzieciaki w namiotach. Rozumiesz, one nie przejmują się przepisami. Jeśli któreś zostanie użądłone i umrze...

— Rodzice będą winić mnie. Wiem o tym.

Dyscyplina była niezbędna. Trzeba będzie dać wszystkim przekonujący przy kład, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli.

Okazja przytrafiła się prędzej, niżby tego pragnął. Rankiem Nara znaleziono w namiocie. Nie użądliły go ćmy. Spał sobie głęboko.

Sos natychmiast zarządził zbiórkę. Wskazał trzech przypadkowo wybranych mężczyzn.

— Jesteście oficjalnymi świadkami. Zapamiętajcie dokładnie wszystko, co zobaczycie dziś rano.

Mężczyź ni, zakłopotani, skinęli głowami.

— Zabierzcie dzieci — powiedział następnie.

Teraz z kolei zaniepokoiły się matki. Wiedziały, że ominie je cos ważnego. Po kilku minutach jednak zostali tylko mężczyź ni i około połowy kobiet. Sos wezwał Nara.

— Jesteś oskarżony o zaniedbanie obowiązku. Zostałeś wyznaczony do peł nienia warty, a tymczasem spałeś w namiocie. Czy masz coś na swoje usprawie dliwienie?

Nar był zły, że go przyłapano, postanowił jednak uciec się do pogróżek.

— Co zamierzasz uczynić, hodowco ptaków?

Sytuacja była niezręczna. Sos nie mógł wziąć w rękę miecza, by nie złamać przysięgi, choć nie wątpił, że potrafiłby pokonać tego człowieka w Kręgu. Nie mógł też sobie pozwolić na czekanie tygodniami, aż zjawi się Soi. Musiał działać natychmiast.

— Dzieci mogły zginąć wskutek twojego zaniedbania — oznajmił. — Namiot mógł zostać rozerwany tak, że nikt by tego nie zauważył. Albo ryjówki mogły nieoczekiwanie nadciągnąć nocą. Dopóki nie będziemy mieli pełnego zabezpieczenia, nie pozwolę, by lenistwo jednego człowieka narażało całą grupę na niebezpieczeństwo.

— Jakie niebezpieczeństwo? — krzyknął Nar śmiejąc się. — Jak to się stało, że nikt z nas nie widział tej straszliwej hordy kąśliwych stworków?

Na kilku twarzach pojawiły się uśmiechy. Sos dojrzał, że Sav pozostał poważny. Przewidział to.

— Niemniej jednak przyznaję ci prawo do sądu przez walkę — powiedział spokojnie.

Nar wyciągnął oba sztylety, nie przestając się śmiać.

— Zaraz sobie wystrugam wielkiego ptaka!

— Zajmij się tą sprawą, Tyl — powiedział Sos od wracając się. Rozluźnił z wysiłkiem mięśnie, by nie pokazać po sobie napięcia. Wiedział, że przyłgnie do niego miano tchórza.

Tyl wystąpił z szeregu, wyciągając miecz.

— Zróbcie Krąg — powiedział.

— Zaczekaj minutkę! — zaprotestował zaniepokojony Nar. — To z nim miałem walczyć. Z tym ptasim mózdzkiem.

Głupi przysiadł na ramieniu Sosa, który w tej chwili wołał, żeby ptak obdarzył przywiązaniem kogoś innego.

— Jest twoim obowiązkiem służyć Solowi — powiedział Tyl — który ma władzę nad życiem zarówno twoim, jak i każdego z nas. Sol wyznaczył Sosa na dowódcę tej grupy, a ten wyznaczył mnie, abym pilnował dyscypliny.

— Dobrze! — krzyknął Nar, któremu strach odebrał rozsądek. — Wbiję ci jeden z tych noży w bebechy!

Sos stał odwrócony, gdy rozległy się odgłosy walki. Nie był dumny z siebie ani z tego, co musiał uczynić, nie widział jednak innego wyjścia. Jeśli w ten sposób zapobiegnie następnym podobnym wypadkom, to gra była warta świeczki. Musiała być.

Rozległ się krzyk i bulgot, a następnie łoskot padającego na ziemię ciała. Tyl podszedł do Sosa i stanął obok, wycierając miecz z krwi zabitego w walce.

— Okazał się winny — powiedział cicho.

Dlaczego więc to Sos czuł się winny?

Po tygodniu fosa była gotowa i rozpoczęto pracę przy budowie nasypu po jej wewnętrznej stronie. Sos upierał się, że dno rowu musi być wyrównane, by woda mogła nim płynąć stałym prądem.

— Taka mała strużka nie powstrzyma tych potworków — wyraził wątpliwość Sav. — Poza tym czy nie mówiłeś, że umieją pływać?

— To fakt.

Sos poszedł sprawdzić zapalniki umieszczone co sto jardów na wewnętrznym brzegu okopu.

Tymczasem tragarze znosili ze wszystkich gospod w okolicy baryłki z alkoholu. Nie był on jednak przeznaczony do picia. Beczulki ustawiono w regularnych odstępach na nasypie.

Minął kolejny tydzień i ryjówki się nie pojawiły. Wytyczono kilka Kręgów Walki, a namioty rodzinne zszyto w jeden wielki centralny, choć nadal wszyscy nocowali w małych, szczelnie zamkniętych namiotach na drugim brzegu rzeki. Myśliwi donieśli, że w okolicę zaczyna wracać zwierzyna: jelenie i dzikie kozy, a za nimi ciągną wilki i wielkie koty oraz garstka wojowniczych świń, jak również gromady gryzoni. Świeżego mięsa starczało dla wszystkich.

Tyl w dalszym ciągu pilnował dyscypliny, głównie z pomocą pałek. Jedna egzekucja — aczkolwiek mogła budzić zastrzeżenia — wystarczyła. Jednakże po zornie bezsensowna praca

sprawiała, że ludzie stali się opryskliwi. Byli przyzwyczajeni do honorowej walki, nie do ciężkiej harówki. Nie podobało im się również słuchanie rozkazów tchórza, który nie nosił broni.

— Byłoby lepiej, gdybyś załatwił to sam — orzekł Sav, kiedy Tyl kolejny raz wymierzył sprawiedliwość. — Trzeba to robić — wszyscy wiemy — ale to czyni go przywódcą. Nikt cię nie poważa. Ten ptak też ci nie pomaga.

Sav był tak niefrasobliwy, że nie sposób było się nań obrazić za te słowa. To prawda: Sos osiągnął cel kosztem własnej reputacji, która od początku nie była zbyt dobra. Nikt z tych ludzi nie wiedział, w jakich okolicznościach utracił broń i związał się z Solem, a on nie miał ochoty tego rozgłaszać.

Tyl był rzeczywistym przywódcą przebywającej w dolinie grupy i jeśli Sol by nie wrócił, z pewnością przejąłby władzę. W swoim czasie sam pragnął założyć plemię i był bardzo zdolnym wojownikiem. Podobnie jak Sol, odtrącał z pogardą nieudolnych przeciwników i dlatego podczas swych wędrówek zdobył tylko jednego poddanego, lecz szybko zrozumiał, czego można dokonać ze zwykłymi ludźmi, gdy udzieli się im niezbędnych wskazówek. Czy naprawdę chciał służyć pomocą, czy też czekał na odpowiedni moment, jednocząc grupę wokół siebie?

Sos nie mógł nosić broni. Był zależny od dobrej woli Tyla i własnego rozumu. Miał przed sobą rok służby i zamierzał wypełnić ją z honorem, a potem...

Nocami widywał twarz Soli, czuł dotyk jej ciała i jej włosy na swoim barku. Tu również nie mógł zatriumfować nie mając broni. W rzeczywistości był równie niebezpieczny dla ambicji Sola jak Tyl, ponieważ pragnął tego, co mogło mu zapewnić jedynie pełne przywództwo. Sola nigdy nie przyjęłaby bransolety drugiego czy trzeciego wojownika w plemienu. Powiedziała to szczerze.

Zresztą nawet gdyby nosił broń, nie potrafiłby pokonać w kręgu Sola, czy nawet Tyla. Popełniłby fatalny błąd, gdyby sądził, że jest inaczej. Brak broni był dla niego ochroną.

Wreszcie nastąpił atak ryjówek. Pewnego popołudnia wylały się na stok i ru szyły w kierunku umocnień obozu. Sos niemal ucieszył się na ich widok. To przy najmniej usprawiedliwiało podjęte przez niego dotkliwie środki ostrożności. Ryjówek nie było przez długi czas, czego dowodził powrót zwierzyny. Gdyby nie zjawiły się w ogóle, mogłoby to — jak na ironię — zniszczyć jego plan.

— Opróżniać baryłki! — krzyknął.

Ludzie wyznaczeni do tego zadania i specjalnie do niego ćwiczeni otworzyli pojemniki z alkoholem i zaczęli go ostrożnie wlewać do płytkiej fosy.

— Kobiety i dzieci do namiotów!

Protestując piskliwymi głosami, że wygania sieje, gdy zaczęło się widowisko, rodziny przeszły rzekę w bród i wdrapały się na wzgórze.

— Wszyscy do broni!

Ci, którzy nie mieli innego zajęcia, ustawili się w szyku obronnym. Czuli się zawstydzeni, gdy ujrzeli swych małych przeciwników. Grupa liczyła piętnastu mężczyzn i kilku starszych chłopców. Myśliwi byli akurat na wyprawie.

Ci, którzy wylewali alkohol do fosy, uporali się ze swym zadaniem, rzucając pełne żalu spojrzenia na dobry trunek, który miał się zmarnować, po czym sta nęli przy długich drewnianych rączkach zapalników. Sos zwlekał w nadziei, że powrócą myśliwi, ale się nie pojawili.

Ryjówki dotarły falą do fosy i zaczęły dreptać w miejscu. Nie miały zaufania do bijącego z niej zapachu. Wtem, jak poprzednio, co odważniejsze osobniki wskoczyły do fosy, a za nimi podążyła cała masa. Sos zastanowił się, czy zwie rzątka mogły się upić tak jak ludzie.

— Ognia! — wrzasnął.

Wyznaczony człowiek wybił na bębnie powolny, regularny rytm. Wszyscy do słownie w jednej chwili wykrzesali ogień z zapalników i odskoczyli do tyłu. To był jeden z najbardziej drażliwych punktów ćwiczeń — dorośli mężczyźni tań czący w rytm muzyki.

Ściana ognia wystrzeliła z fosy. Powietrze wypełnił dym i smród niedokładnie spalonego

alkoholu. Ludzi otoczył wznoszący się w górę pół okrąg płomieni. Patrząc na to „tancerze” zasłaniali oczy i rozdziawiali usta z wrażenia. Teraz zrozumieli, co mogło się stać z tym, który by się spóźnił.

Część zwierzątek przedostała się na drugą stronę. Mężczyźni doskoczyli do nich, uderzając w ziemię pałkami i maczugami, by zmiażdżyć umykających nie przyjaciół. Kilku ukąszonych wojowników zakłęło. Nie sposób już było lekceważyć zjadłości maleńkich stworzonek.

Ogniste opary opadały. Alkohol ulatniał się zbyt szybko, by starczyło go na długo. Na znak Sosa mężczyźni przytoczyli następne baryłki z wielkiego namiotu centralnego. Zatrzymali się nad fosą. Nie mogli wlewać więcej alkoholu, dopóki ogień nie zgasł całkowicie. W przeciwnym razie ogarnęłyby ich bijące w górę płomienie, a nawet mogliby zostać rozerwani wskutek eksplozji samych beczek.

Tego problemu Sos nie przewidział. Główny pożar wygasł, lecz na brzegu kanału, gdzie paliwo wsiąkło w grunt, utrzymywały się pojedyncze płomienie. Podszedł do niego Tor Miecz. Jego czarna broda była przypalona.

— Górny koniec jest czysty — wy dyszał. — Jeśli wlać tam...

Sos przeklął sam siebie; że też nie wpadł na to wcześniej! Prąd oczyścił górną część fosy z alkoholu. Ryjówki przedostawały się już gromadnie na drugi brzeg, by pożerać swą upieczoną straż przednią i wspinać się na nasyp. Można tam było wlewać alkohol baryłką za baryłką, a prąd rozprowadzi go powoli po całej fosie, umożliwiając im podtrzymywanie ognia.

— Zajmij się tym! — rozkazał Torowi, który pobiegł w tamtą stronę, wzywając krzykiem do pomocy wszystkich stojących obok.

Kopniakami i uderzeniami starali się niszczyć nieprzebrane stada żarłocznych stworzeń. Rój za fosą ponownie przywiódł Sosowi na myśl armię atakujących mrówek, z tym że ssaki nie były tak dobrze zorganizowane jak owady. Gdy Tor wprowadził swój pomysł w życie, ponownie pojawiły się płomienie, lecz liczba ryjówek jakoś nie wydawała się zmniejszać. Skąd się brały?

Zobaczył skąd. Ryjówki wypływały na rzekę i wracały na ląd na terenie chrońonego półkola! Większości z nich się nie udało, gdyż chaotycznie atakując, przepadały w płomieniach lub też przepływały na drugi brzeg. Wiele tonęło w głównym nurcie, jeszcze więcej zaś ginęło w wodzie walcząc o trupy swych pobratymców. Liczba gryzoni była jednak tak ogromna, że gdyby nawet tylko nie wielka ich część została zniesiona na teren za nasypem, to z pewnością zalałaby obóz.

Czy powstrzyma ryjówki alkohol wlewany bezpośrednio do rzeki? Sos szybko odrzucił tę myśl. Zostało go już niewiele i gdyby się nie udało, to w chwili, gdy zwierzęta zaleją bazę, cała grupa ludzi znajdzie się w pułapce, uwięziona przez ogień płonący jeszcze w fortyfikacjach.

Sos zdecydował odwrót. Tę bitwę wygrały ryjówki.

— Wycofywać się!

Mężczyźni, którzy z początku pogardzali przeciwnikiem, mieli już dość. Gryzonie pokrywały ich ręce i nogi, wkręcały się w pantalony, zaścielały dywanem grunt. Wszędzie były ich zęby. Wojownicy skakali do rzeki i płynęli w bezpieczne miejsce, zanurzając się pod powierzchnię, kiedy tylko mogli, w pełnym odwrocie. Sos sprawdził pospiesznie, czy w obozie nie pozostał żaden ranny, i popędził za nimi.

Było późne popołudnie. Czy zdążą przenieść namioty w nowe miejsce przed zmrokiem? Musiał szybko zdecydować.

Nie mógł sobie pozwolić na takie ryzyko.

— Zwijając namioty! Wycofujemy się tak daleko, jak tylko zdążymy przed zmierzchem! — krzyknął. — Samotni mężczyźni mogą tu rozbić obóz, by stać na straży.

Zapasowe plecaki, które zachował na terenie obozu na wypadek, gdyby ryjówki zaatakowały niespodziewanie od strony rzeki, były teraz nieosiągalne. Znów popełnił błąd — dopóki jednak nie będzie pewien, kiedy i jaką trasą nadciągają hordy, takie straty będą nieuniknione.

Nocą ryjówki nie weszły na wzgórze. Ten gatunek przynajmniej żerował tylko w dzień. Być może

przyczyną były ćmy. Rankiem główne stado zwierząt, ob żarte trupami własnych towarzyszy, lecz wciąż nieprzeliczone, przekroczyło nurt i ruszyło w dół rzeki. Tylko garstka wytrwałych wspinaczy ze skraju hordy dotarła do namiotów.

Sos rozejrział się. Nie mógł uznać tego miejsca za bezpieczne, z pewnością zaś nie było tak wygodne jak równina na dole. Nie dostrzegł tu więcej zwierząt niż w dolinie. Mogło to oznaczać jedynie, że trasa ryjówek była przypadkowa. Gdyby zdecydowały się zdobyć to wzgórze, z pewnością mogłyby to zrobić. Najprawdopodobniej kierowały się rzeźbą terenu, wspinając się w najłatwiej dostępnych miejscach, i dlatego, gdy nadchodziły tą drogą, podążały dalej w dół.

Dowiedział się przynajmniej jednego: ryjówki wędrowały tylko w grupach i ich zachowaniem rządził instykt stada. Kiedyś czytał na ten temat i teraz usiło wał przypomnieć sobie ten trudny tekst. Nie sądził wtedy, że kiedykolwiek w ży ciu mu się to przyda. Grupy kształtowali przywódcy. Stanowiły one odbicie ich osobowości i dążeń. Jeśli uda się zwrócić w innym kierunku najważniejsze osob niki, można tego dokonać z całą grupą. Będzie musiał pomyśleć nad wykorzystaniem tej możliwości w obecnej sytuacji.

Mądrze byłoby też śledzić szlak hordy i upewnić się, co się z nią na koniec stanie, a także odkryć, skąd przychodzi. Być może istnieje jakiś ograniczony teren, na którym ryjówki się rozmnażają i gdzie można je zniszczyć za pomocą ognia, zanim następny rój stanie się groźny. Dotąd koncentrował się wyłącznie na obronie. Teraz już wiedział, że to za mało.

W południe nieprzyjaciela już nie było i ludzie mogli wrócić na teren obozu. Był cały w ruinie. Nawet nylon został podziurawiony przez niezliczone zęby i zapaskudzony łajnem. Kobiety i dzieci przeniosły się do głównego półkola, by je oczyścić i ustawić nowe namioty, podczas gdy rada mężczyzn zaczęła rozważać, jak śledzić ryjówki i zmieniać kierunek wędrówki stada. Wydawało się, że to miejsce jest równie bezpieczne jak każde inne, ponieważ następna horda wy marłaby z głodu, gdyby podążała śladami poprzedniej. Kolejna inwazja nastąpi zapewne z przeciwnego brzegu. Poza tym mieli bardzo dużo bielizny do prania i woda była im potrzebna.

Trzy mile w górę rzeki znaleziono kości i ekwipunek zaginionych myśliwych. Wszyscy nagle docenili niebezpieczeństwo. Ustały skargi na ciężką pracę. Rów niez Sosa traktowano z nieco większym respektem niż poprzednio. Dowiódł, że miał rację.

Rozdział 7

Sol przybył w dwa tygodnie później wraz z kolejną grupą pięćdziesięciu ludzi. Miał teraz dość liczne plemię złożone z sześćdziesięciu pięciu wojowników, choć większość stanowili nie wyszkoleni młodzieńcy. Najlepsi ludzie — zgodnie z tym, co mówił Sos — byli nadal związani z istniejącymi już plemionami. Z biegiem czasu jednak sytuacja miała się zmienić.

Sos przedstawił świadków egzekucji Nara i kazał im opisać Solowi wszystko, co widzieli. Było ich tylko dwóch. Trzeci w dniu starcia wyruszył z grupą myśliwych. Sos nie był pewien, jak wódz plemienia przyjmie wiadomość, że pod jego nieobecność grupa utraciła w dolinie pięciu ludzi —jedną czwartą tych, którzy zostali oddani pod komendę Sosa.

— Było dwóch strażników? — zapytał Sol.

Świadkowie skinęli głowami.

— Zawsze.

— I drugi nie zameldował, że pierwszy poszedł spać?

Sos walnął się dłonią w czoło. Jak na człowieka chępiącego się swoim rozu mem popełnił śmieszny błąd. Było dwóch winnych, niejeden.

W efekcie pałki Tyła poszły w ruch, podczas gdy Sos i Sol udali się na roz mowę na osobności. Sos opisał dokładnie wszystko, co wydarzyło się przez te pięć tygodni. Tym razem Sol słuchał bardzo uważnie. Miał mało cierpliwości do historii czy biologii, ale praktyczne zagadnienia budowy

Imperium interesowały go ogromnie. Sos zastanowił się, czy ma on jakieś doświadczenie z problemami dyscypliny. Wydawało się to prawdopodobne.

— I możesz uczynić z tych nowych ludzi grupę zdolną pokonać inne plemię na? — zapytał Sol, pragnąc ponownego potwierdzenia.

— Myślę, że tak, w sześć miesięcy. Mamy teraz mnóstwo ludzi i dobry teren. Rzecz w tym, czy będą mnie słuchać bez dyskusji.

— Słuchają Tyła.

Sos spojrział na niego zaniepokojony. Spodziewał się, że przy tej dłuższej ro bocie będzie mógł liczyć na pomoc Sola.

— Nie zostaniesz tutaj?

— Jutro wyruszani, by zdobyć więcej ludzi. Szkolenie pozostawiam tobie.

— Ale sześćdziesięciu pięciu wojowników! Z pewnością będą kłopoty.

— Z Tyłem? Czy on pragnie zdobyć przywództwo?

Sol potrafił być domyślny w sprawach dotyczących jego Imperium.

— Nigdy nic takiego nie powiedział i zawsze służył mi pomocą — przyznał Sos uczciwie. — Nie byłby jednak człowiekiem, gdyby o tym nie pomyślał.

— Co mi radzisz?

Znowu odpowiedzialność spadała na niego. Wiara Sola w jego możliwości była niekiedy kłopotliwa. Nie mógł zażądać, aby wódz pozostał ze swoim ple mieniem — zdobywanie wojowników najwyraźniej sprawiało mu przyjemność. Mógł go poprosić, aby zabrał Tyła ze sobą, ale wtedy musiałby powierzyć odpo wiedzialność za dyscyplinę komuś innemu, z kim byłby podobny problem.

— Nie mam dowodów na to, że Tyłowi brak honoru — powiedział. — My słę, że najlepiej byłoby jakoś go zachęcić do pozostania w ple mieniu. To znaczy pokazać mu, że więcej może zyskać trwając przy tobie, niż zakładając plemię na własną rękę z niektórymi z twoich wojowników, czy też z innymi.

— Jeśli wystąpi przeciwko mnie, może stracić głowę!

— Mimo to... mógłbyś go uczynić pierwszym wojownikiem w ple mieniu pod twoją nieobecność i powierzyć mu przywództwo grupy. Niech ma tytuł, którym będzie się mógł chwalić.

— Aleja chcę, żebyś ty szkolił moich ludzi.

— Powierz mu stanowisko wyższe od mojego i wydaj odpowiednie rozkazy. To będzie praktycznie to samo.

Sol przemyślał sprawę.

— W porządku — powiedział. — A co muszę dać tobie?

— Mnie? — Sos był nieprzyjemnie zaskoczony. — Zgodziłem się służyć ci przez rok w zamian za imię. Nie musisz mi dawać nic więcej.

Rozumiał jednak, o co chodzi Solowi. Jeśli wierność Tyła potrzebowała pod pory, to dlaczego nie jego własna? Sol zdawał sobie świetnie sprawę, że na dłuższą metę szkolenie jest ważniejsze niż dyscyplina i że ma nad Sosem mniejszą władzę niż nad innymi. Na dobrą sprawę w każdej chwili mógł on zrezygnować z imienia i odejść.

— Podoba mi się twój ptak — oznajmił nieoczekiwanie Sol. — Czy dałbyś mi go?

Sos popatrzył w bok na swego małego towarzysza, który uciał sobie drzemkę na ramieniu. Ptak stał się po prostu częścią jego życia.

— Głupi nie jest niczyją własnością. Z pewnością masz do niego takie sa mo prawo jak ja. To ty straciłeś jastrzębia i uratowałeś mu życie. Ptak upodobał sobie mnie z jakiegoś powodu, którego nikt nie rozumie, choć nic dla niego nie zrobiłem, a nawet starałem się go odpędzić. Nie mogę ci go dać.

— W podobny sposób ja utraciłem bransoletę — powiedział Sol dotykając nagiego

nadgarstka.

Sos, skrępowany, odwrócił wzrok.

— Gdybym jednak pożyczył od ciebie twojego ptaka, a on znalazłby sobie samiczkę i został ojcem jajka, oddał bym ci to jajko — szepnął Sol.

Sos odszedł stąpając ciężko, zbyt rozniewany, by się odezwać.

Nie zamienili już ani słowa, lecz następnego ranka Sol ponownie wyruszył w drogę. Tym razem Sola została w obozie.

Tyl sprawiał wrażenie zadowolonego ze swego awansu. Gdy tylko wódz zniknął z pola widzenia, wezwał Sosa i powiedział mu:

— Chcę, żebyś zrobił z tej bandy najlepszą grupę wojowników w okolicy. Każdy, kto się będzie wymigiwał, odpowie przede mną.

Sos skinął głową i przystąpił do działania.

Najpierw obserwował każdego z ćwiczących w Kręgu wojowników, oceniając jego styl oraz silne i słabe strony. Notował swe spostrzeżenia w papierowym bloku pismem znanym mu ze starożytnych tekstów. Następnie sporządzał tabele specjalistów od każdej broni: pierwszy miecz, drugi miecz, pierwszy drąg i tak dalej. W grupie mieli dwudziestu wojowników z mieczami. Była to najpopularniejsza bron, mimo że często powodowała obrażenia lub śmierć. Mieli szesnaście maczug, dwanaście drągów, dziesięć pałek (czyli, ściśle biorąc, dwadzieścia — po dwie na wojownika), pięć sztyletów i tylko jeden morgensztern.

Pierwszy miesiąc wypełniły im wyłącznie ćwiczenia w oddzielnych grupach oraz nieustanna gimnastyka. Wojownicy poświęcali na nie znacznie więcej czasu, niż zdarzało im się to dotychczas, gdyż przeciwników mieli pod ręką i nie trzeba było czekać ani nigdzie wędrować, by ich odnaleźć. Każdy ćwiczył swoją bronią aż do wyczerpania, potem kilka razy okrążał biegiem ogrodzenie i powracał do ćwiczeń. Ten, który najlepiej posługiwał się daną bronią, zostawał dowódcą grupy i wprowadzał pozostałych w tajniki swej sztuki. Można było zdobyć lepszą lokatę w tabeli wyzywając wyżej sklasyfikowanych. Tak więc doskonalenie umiejętności pozwalało osiągnąć wyższą pozycję. Gdy ludzie zrozumieli, w czym rzecz, rywalizacja stała się zacięta. Gromadzili się kibice — mistrzowie innych rodzajów broni — bili brawo, gwizdali oraz pilnowali walczących, by ci nie uciekali się do niebezpiecznych metod.

Jedyny posiadacz morgenszternu ćwiczył w grupie maczug. Niezwykła to była bron. Do krótkiej, mocnej rączki przytwierdzono kawałkiem łańcucha ciężką kulę nabijaną kolcami. Narzędzie uważano za szczególnie niebezpieczne. Nie sposób było zadać nim lekki cios. Niszczycielska kula-gwiazda albo trafiała w cel, wyrywając kolcami kawały mięsa i kości, albo nie trafiała. Broń nie nadawała się do użycia w obronie. Pokonany w pojedynku na morgenszternie umierał lub odnosił ciężkie rany, także w „przyjacielskich” walkach, i to nie zawsze po ciosie przeciwnika. Nawet doświadczeni wojownicy obawiali się zmierzyć w kręgu z gniewnym posiadaczem morgenszternu. Zbyt prawdopodobne były śmiertelne obrażenia.

Wszystko szło zgodnie z planem. Ludzie nie zdawali sobie niemal sprawy z postępów, jakie zrobili, ale Sos dostrzegał je i wiedział, że wielu z nich staje się prawdziwymi artystami walki.

Dwójkami lub trójkami przybywali nowi wojownicy z rodzinami, przysyła ni przez Sola. Wcielano ich do odpowiednich kompanii i przyznawano miejsca w tabeli zgodne z ich umiejętnościami. Starsi członkowie plemienia zauważyli, że są one coraz mniejsze. Pod koniec pierwszego miesiąca było już ponad stu wojowników.

Znalazło się wśród nich także wielu młodych gamoniów, których Sol zdobył tylko dlatego, że akurat mu się nawinęli. Sos przestrzegał go, by nie kierował się w ocenie posiadanymi już umiejętnościami czy wyglądem zewnętrznym. W miarę ćwiczeń i szkolenia ci młodzieńcy nabierali sił i uczyli się zmian pozycji i tempa. Szybko zaczęli piąć się w górę tabel w swych specjalnościach. Sos podejrzewał, że w normalnych warunkach niektórzy z najlepszych nie pożyliby wystarczająco długo,

aby osiągnąć prawdziwą biegłość. Mieli wielkie szczęście, że Sol wcielił ich do swego plemienia.

Stopniowo grupę niepodobnych do siebie i często gburowatych osobników, ze branych przypadkowo za sprawą udanego podboju, połączyła duchowa jedność. Wytworzyła się atmosfera oczekiwania. Było jasne, że to plemię przeznaczone jest do wielkich rzeczy. Sos wybrał najinteligentniejszych i zaczął ich uczyć tak tyki walki w grupie: kiedy walczyć, a kiedy nie, i jak odnieść sukces, gdy siły wydają się równe.

— Jeśli wasza grupa, złożona z sześciu dobrych ludzi o różnym stopniu umie jętności, napotka inną grupę, w której każdy jest odrobinę lepszy od waszych wojowników, to jak ustawicie porządek walk? — zapytał ich pewnego dnia.

— O ile lepszych? — dopytywał się Tun, wojownik z maczugą, który zajmo wał niskie miejsce w tabeli, gdyż był zbyt ciężki, by poruszać się szybko.

— Ich pierwszy może pokonać twojego pierwszego, ich drugi twojego drugie go, ale nie pierw-szego, ich trzeci twojego trzeciego, ale nie drugiego czy pierw szego i tak dalej.

— Nie mam nikogo, kto mógłby pokonać ich pierwszego?

— Nikogo. A on chce walczyć tak samo jak wszyscy.

— Ich pierwszy na pewno nie będzie się przyglądał beczynnie, jak mój pierwszy zwycięży słabszego wojownika. Wyzwie go i odbierze mi. Potem ich drugi zrobi to samo z moim drugim...

— Słusznie.

Tun zastanowił się nad sprawą.

—Szczęście w Kręgu mogłoby mi przynieść jedno zwycięstwo, może dwa, ale najlepiej by było, gdybym się nie spotkał z tym plemieniem.

Tor, czarnobrody wojownik z mieczem, ożywił się.

— Mogę zdobyć pięciu ich ludzi, tracąc tylko najslabszego.

— Jak? — zdziwił się Tun. — Wszyscy są lepsi...

— Wyślę swojego szóstego wojownika przeciw ich przywódcy tak, jakby był moim najlepszym, a pozostałych we właściwej kolejności.

— Ale twój pierwszy nigdy się nie zgodzi walczyć po szóstym!

— Wykona moje rozkazy, choćby nawet czuł się urażony — odrzekł Tor. —Spotka się z ich dru-gim i pokona go, potem mój drugi pokona ich trzeciego, a na koniec piąty szóstego.

— Ale ich pierwszy...

— Pokona tylko mojego szóstego, który prawdopodobnie przegrałby z każ dym innym przeciw-nikiem. Nie potrzebuję go.

— I będziesz miał dziesięciu wojowników, a jemu zostanie tylko dwóch — dokończył Sos — mimo że na początku jego grupa była lepsza od twojej.

Tun rozdziawił szeroko usta, po czym zrozumiał i roześmiał się. Nie był głupi.

— Zapamiętam to sobie! — zawołał. Nagle posmutniał. — Tylko... co bę dzie, jeśli ich najlep-szy zechce walczyć tylko z moim najlepszym?

— Skąd się dowie, który to? — zapytał Tor.

— A skąd ja znam jego tabele?

Zgodzili się, że aby podobna strategia mogła być skuteczna, trzeba mieć zwia dowcę i że najlepszy byłby tu jakiś doświadczony wojownik, zbyt stary, by walczyć w Kręgu. Po chwili wszyscy zaczęli z zapalem wymyślać podobne problemy i dawać je sobie nawzajem do rozwiązania. Ze składu gier w gospodzie przynieśli domino i wykorzystali je do układania sytuacji taktycznych. Większa liczba oczek oznaczała większą sprawność w Kręgu. Wkrótce okazało się, że Tor jest w tym najlepszy; potrafił poprzez pertraktacje znaleźć drogę wiodącą do zwycię stwa w niemal każdej sytuacji. Sos rozpoczął tę rywalizację, lecz jego uczniowie go prześcignęli.

Pokazał im, jak zwyciężać przy użyciu rozumu, gdy nie mogli tego dokonać za pomocą

brutalnej siły. Czuł z tego powodu spore zadowolenie.

W drugim miesiącu, gdy tabele były już ustalone, rozpoczęła się rywalizacja między poszczególnymi rodzajami broni. Doradcy obmyślali subtelniejsze sposoby na pokonanie wszystkich przeciwników. Pomiędzy członkami każdej grupy zdążyła się już wytworzyć więź i pragnęli oni wykazać swą wyższość nad pozostałymi zespołami.

Sos wyznaczył ludzi do zapisywania wyników: jeden punkt za zwycięstwo, zero za porażkę. Niektórzy śmiali się na widok dorosłych mężczyzn trzymających cicho w ręku ołówki i blok papieru na podobieństwo skrybów, jakich spotykano wśród Odmieńców. Wkrótce zadanie to przejęły kobiety. Uprosiły one Sosa, aby pokazał im, jak się oznaczają poszczególne rodzaje broni, by można było zapisywać wyniki rywalizacji na publicznej tablicy. Zaproponował im, by rysowały symbole: uproszczone wizerunki miecza, maczugi i innych narzędzi walki, a pod nimi kreski w grupach po pięć, aby ułatwić porównanie. Codziennie widziano, jak mężczyźni udają się pod tablicę, aby radować się swymi zwycięstwami lub rozpaczać z powodu spadku w tabeli. Gdy liczba piątek stała się zbyt wielka i zaciemniała obraz, kobiety opanowały bardziej dogodne cyfry arabskie. W ślad za nimi to samo uczynili mężczyźni. To była korzyść, jakiej Sos nie przewidział: plemię uczyło się rachować. Pewnego razu, przechodząc obok małej dziewczynki, zauważył, że obliczyła ona na palcach liczbę zwycięstw odniesionych w ciągu dnia przez grupę jej ojca, po czym wzięła w rękę ołówek i zapisała pod symbolem miecza liczbę „56”.

Wtedy zrozumiał, jak łatwo byłoby poprowadzić kurs podstaw matematyki, a nawet sztuki pisania. Koczownicy byli analfabetami, ponieważ nie mieli powodów, by uczyć się czytać i pisać. Gdyby zaistniała taka potrzeba, sytuacja szybko uległaby zmianie. Sos był jednak na razie zbyt zajęty, by coś w tej sprawie zrobić.

Sztylety, jako najmniej liczna grupa, były w niekorzystnej sytuacji. Dowódca skarżył się Sosowi, że gdyby nawet wszyscy z ich piątki wygrali wszystkie walki, to i tak nie mogliby dorównać mieczom, które mogły przegrać większość pojedynków i mimo to zakończyć dzień z większą liczbą punktów. Sos uznał, że skarga jest słuszna, i pokazał ludziom, jak obliczać punkty przypadające na jednego wojownika. To zmusiło go do rozpoczęcia lekcji matematyki; chciał nauczyć kobiety obliczania średniej. Przyłączyła się do nich Sola, która nie była najbardziej pojętą z obecnych, lecz jako samotna miała najwięcej czasu, zdołała się więc nauczyć tej czynności wystarczająco dobrze, by udzielać pomocy innym. Sos doceniał to, jednakże jej bliskość go niepokoiła. Była zbyt piękna i — gdy coś wyjaśniał — siadała zbyt blisko niego.

W Kręgu działy się dziwne rzeczy. Odkryto, że najlepsze miecze nie musiały być wcale skuteczne przeciw nie wyszkolonym maczugom, a ci, którzy dobrze sobie radzili z maczugami, mogli być słabi przeciw drągom. Doradcy, którzy pierwsi zorientowali się, że należy zmieniać kolejność w zależności od przeciwnika, zdołali dla swych grup wiele punktów.

Pewnego razu Tyl zauważył, jak Tor siedzi w namiocie ustawiając domino, i roześmiał się. Potem, gdy dostrzegł, że Tor potrafi za pomocą swych notatek obmyślić nadzwyczaj skuteczną strategię, przestał się śmiać. Mimo że z początku trzymał się z boku, gdyż sądził, że jego pozycji należy się szacunek, kiedy ujrzał postępy, jakie osiągnięto, zdecydował się przyłączyć. Nikt nie mógł sobie pozwolić na lenistwo. Już teraz niektórzy z wojowników z grupy mieczy mogli się z nim równać umiejętnościami. Nadeszła nawet chwila, gdy ujrzano go rozmyślającego nad dominem.

W trzecim miesiącu zaczęły ćwiczenia parami. Dwóch mężczyzn walczyło w Kręgu przeciwko dwóm i musieli ich pokonać jako zespół.

— Czterech ludzi w Kręgu? — zapytał zgorszony Tyl. — Co to za szarada?

— Słyszałeś kiedyś o plemieniu Pita?

— Nie.

— To bardzo potężna wspólnota daleko na wschodzie. Łączą swe miecze w pary, podobnie maczugi czy drągi. Nie wchodzi do Kręgu w pojedynkę. Czy

chcesz, aby ogłosili, że pokonali nas?

— Nie!

Wrócili do ćwiczeń.

Ze sztyletami i pałkami nie mieli większych problemów, ale drągi często za czepiały się o siebie, a wojownicy szeroko wymachujący maczugami i mieczami mogli z równą łatwością zranić swych partnerów, jak i przeciwników.

Pierwszy dzień ćwiczeń parami kosztował ich wiele. Tabele ponownie uległy zmianie, gdy zespół złożony z dwóch najlepszych mieczy został haniebnie pokonany przez dziesiątego i piętnastego. Dlaczego? Najlepsi wojownicy walczyli każdy po swojemu, natomiast słabsi mądrze dobrali się w parę, wzajemnie uzu pełniając swój styl: agresywny, choć lekkomyślny atak wsparty nieruchawą, lecz pewną obroną. Dwaj najlepsi wpadali na siebie nawzajem i blokowali swe ude rzenia, gdyż nie potrafili odróżnić przyjaciela od wroga, i w ten sposób gładka współpraca słabszych wojowników zatriumfowała.

Ponownie rozpoczęto rywalizację między grupową, kierując się zmienioną ta belą, a na koniec zaczęto tworzyć dwójki mieszane: miecz z maczugą czy sztylet z drągiem, aż wreszcie każdy wojownik umiał skutecznie walczyć w parze z każdą bronią przeciwko dowolnym dwóm przeciwnikom. Trzeba było odpowiednio zmienić system liczenia punktów. Kobiety opanowały ułamki i zapisywały ko mu trzeba połówki zwycięstw. Miesiące mijały niepostrzeżenie, gdy wypróbowywano niezliczone kombinacje. Wyłoniono grupę doświadczonych nauczycieli, którzy szkolili nowych, oszołomionych jeszcze przybyszów, pokazując im, jak rozwinąć umiejętności i poprawić pozycję.

Liście opadły z drzew, ziemię przykrył śnieg. Ryjówki i ćmy zniknęły. Nie były już zresztą tak groźne, odkąd odpowiednio się przed nimi zabezpieczono. Gulasz z ryjówek stał się nieodłącznym elementem i trudno było znaleźć coś, co zastąpiłoby to obfite źródło mięsa, gdy nadeszła zima.

Areny codziennie oczyszczano. Ćwiczenia nie ustawały, czy świeciło słońce, czy padał śnieg. Wciąż pojawiali się nowi wojownicy, lecz Sol nie wracał.

Rozdział 8

Z nadejściem chłódów Sav postanowił przenieść się do głównego namiotu, ogrzewanego przez nieustannie podtrzymywany ogień. Aby zapewnić rodzinom choć trochę odosobnienia, podzielono go na liczne mniejsze przedziały. Pojawiały się młode, wolne kobiety poszukujące bransolet. Sav jasno określał warunki, na jakich pożyczzał swoją.

Sos pozostał w małym namiocie. Nie chciał mieszkać z tymi, którzy nosi li bron. Niemoc w Kręgu stawała się dlań źródłem rosnącego niezadowolenia, choć nie mógł się do tego przyznać głośno. Nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia był przyzwyczajony zdobywać uznanie i rozwiązywać swoje problemy przy użyciu oręża, zanim nie pozbawiono go tego przywileju. Musiał znowu mieć bron, nie wolno mu jednak było używać żadnej z sześciu dostarczanych do go spod przez Odmieńców. Inne rodzaje broni, jak łuki i strzały, nie nadawały się do walki w Kręgu.

Sos często zastanawiał się nad tym całym stanem rzeczy. Dlaczego Odmieńcy zadawali sobie tyle trudu, aby gdzieś wytwarzać i przekazywać koczownikom artykuły umożliwiające im życie, a następnie zupełnie się nie interesowali, jaki ci robią z nich użytek? Kiedyś zamierzał znaleźć odpowiedź na to pytanie. Na razie był członkiem społeczności koczowników i musiał zdobyć sobie ich szacunek.

Jeśli będzie mógł.

Zdjął ubranie i wczółgał się nagi do ciepłego śpiwora, który przyniósł sobie z najbliższej gospody. Usłudni Odmieńcy, odpowiadając na zwiększone zapotrzebowanie, dostarczali ostatnio znacznie więcej śpiworów niż zwykle. Niemal na pewno wiedzieli o istnieniu tego obozu,

najwyraźniej jednak nie interesowali się nim. Wysyłali zapasy tam, dokąd udawali się ludzie, lecz nie próbowali wywierać na nich żadnego wpływu.

Miał teraz małą lampę gazową, przy której mógł czytać książki, również nie kiedy zostawiane przez Odmieńców w gospodach. Nawet pod tym względem stali się oni być pomocni i gdy Sos zaczął zabierać książki, pojawiło się ich więcej. Także ich tematy odpowiadały jego zainteresowaniom. Zapalił lampę i otworzył tom, który właśnie czytał — przedwybuchowe dzieło dotyczące rolnictwa. Próbował czytać, lecz tekst był zbyt skomplikowany i umysł nie mógł się na nim skupić. Typ i ilość nawozu na określony areał, płodozmian, pestycydy, ich zastosowanie i środki ostrożności... taka niezrozumiała statystyka, podczas gdy on chciał się tylko dowiedzieć, jak uprawiać orzeszki ziemne i marchewkę. Odłożył książkę na bok i zgasił światło.

Odkąd Sav się wyprowadził, Sos czuł się samotny. Sen nie przychodził zbyt szybko. Rozmyślał o swym współlokatorze, który dawał swą bransoletę wciąż nowym kobietom, obejmował chętne, uległe ciała tam, w centralnym namiocie. Sos mógł by postępować podobnie. Nie brak było kobiet, które wymownie spoglądały na jego bransoletę, mimo że nie nosił broni. Powtarzał sobie, że jego pozycja wymaga, by nie wiązał się z nikim, nawet na jedną noc, wiedział jednak, że oszukuje sam siebie. Posiadanie kobiety było drugim dowodem męskości i wojownik mógł zdobyć reputację na tym polu równie dobrze jak w Kręgu. Prawda była taka, że nie chciał mieć kobiety, ponieważ wstydził się, iż nie nosi broni.

Ktoś zbliżał się do jego namiotu, być może Tor z jakąś propozycją. Brodacz miał bystry umysł i zainteresował się organizacją grupy i taktyką tak bardzo, że prześcignął w tych dziedzinach Sosa. Stali się dobrymi przyjaciółmi, na ile po zwałała ich szczególna sytuacja. Czasami Sos zjadał posiłek z rodziną Tora, choć kontakt z pulchną, dobroduszną Torą i nad wiek rozwiniętą Ton przypominał mu tylko, jak bardzo sam kiedyś pragnął założyć rodzinę.

Kiedys? Było akurat na odwrót. Dopiero niedawno zdał sobie sprawę z tej potrzeby.

— Sos?

To był głos kobiety. Znał go aż za dobrze.

— Czego chcesz, Sola?

Jej skryta pod kapturem głowa pokazała się w wejściu, czarna na tle śniegu.

— Czy mogę wejść? Na zewnątrz jest zimno.

— W środku też jest zimno, Sola. Może powinnaś wrócić do własnego namiotu.

Podobnie jak on, Sola mieszkała sama, w pobliżu namiotu Tyla. Zaprzyjaźniła się z Tyla. Wciąż nosiła bransoletę Soła i mężczyźni omijali ją szerokim łukiem.

— Wpuść mnie — powiedziała.

Odsunął naga ręką siatkę. Mimo że zgasił lampę, zapomniał opuścić ciężką za słonę. Sola wpełzła do środka na rękach i kolanach, omal nie wywracając lampy, i położyła się przy jego śpiworze. Sos opuścił teraz nylonową zasłonę, odcinając większą część dobiegającego z zewnątrz światła i — jak miał nadzieję — zmniejszając odpływ ciepła.

— Tak już mnie zmęczyło spanie w samotności — po wiedziała.

— Przyszłaś spać tutaj?

— Tak.

Traktował to pytanie jako żart i nie spodziewał się podobnej odpowiedzi. Nadzieja, spotęgowana zaskoczeniem, przyprawiła go o gwałtowne bicie serca. Oszukiwał sam siebie. To nie pozycja czy brak broni powstrzymywały go, lecz obsesja na punkcie jednej kobiety. Właśnie tej.

— Czy chcesz mojej bransolety?

— Nie.

Rozczarowanie było jeszcze gwałtowniejsze.

— Wynos się.

— Nie.

— Nie pohańbię bransolety innego mężczyzny ani nie zbrukam własnego ho noru. Jeśli nie wyjdiesz sama, będę musiał wyrzucić cię siłą.

— A jeśli zacznę krzyczeć i zbiegnie się cały obóz? — zapytała cicho.

Pamiętał, że czytał o podobnych sytuacjach w różnych książkach i wiedział, że mężczyzna, który raz ulegnie takiemu podstępowi, nigdy już nie odzyska nie zależności. Czas tylko pogorszy sytuację.

— Krzycz, jeśli musisz. Nie możesz tu zostać.

— Nie dotknąłbyś mnie — odparła z zadowoloną miną.

Nie poruszyła się.

Usiadł. Wściekły na nią i na własne karygodne pożądanie, szarpnął jej futrzane okrycie. Opadło natychmiast. Okryła się nim, lecz go nie przewiązała. Odbite od śniegu światło, sączące się wciąż przez ściany namiotu, powiedziało mu, że pod spodem nie miała nic. Nic dziwnego, że było jej zimno!

— Nagi mężczyzna walczący w swym namiocie z nagą kobietą, to nie będzie zbyt przyjemny widok — powiedziała.

— To się zdarza bardzo często.

— Nie, jeśli ona się opiera.

— W moim namiocie? Zapytają, czemu przyszła do niego nago i dlaczego nie krzyczała przed wejściem do środka.

— Przyszła ubrana, by prosić o pomoc. Zrobiła błąd w rachunkach. — Po grzebała w kieszeni i wyjęła stamtąd kartkę z nagryzmołonymi cyframi. Nie mógł ich dojrzeć, miał jednak pewność, iż dobrze się przygotowała i nawet popełniony błąd był godny jego uwagi.

— Wciągnął ją do środka... nie, zwabił ją tam, a potem zerwał z niej ubranie.

Jakże łatwo wpadł w jej pułapkę. Była zbyt sprytna. Jeśli teraz podniesie alarm, koniec z jego reputacją.

— Czego chcesz?

— Ogrzać się. W twoim śpiworze jest miejsce dla dwojga.

— Nic ci to nie da. Czy chcesz mnie stąd wygonić?

— Nie.

Odnalazła zamek błyskawiczny i otworzyła śpiwór, wpuszczając do środka zimne powietrze. Po chwili leżała przy nim, naga i ciepła. Strój zostawiła na ze wewnątrz i zapięła za sobą śpiwór.

— A więc spij.

Spróbował odwrócić się od niej, lecz jego ruch zbliżył ich tylko bardziej do siebie.

Usiłowała przyciągnąć jego głowę do swojej, łapiąc go ręką za włosy, lecz jego ciało pozostało sztywne.

— Och, Sos, nie przyszłam tu po to, by cię dręczyć!

Nie chciał jej odpowiedzieć.

Przez krótką chwilę leżała nieruchomo, próbując złamać jego opór swą pło nącą kobiecością. Wszystko, czego pragnął, było tak blisko. Do zdobycia za cenę hańby.

Dlaczego wybrała ten sposób? Musiałaby tylko odłożyć godło Sola na krótką chwilę...

Jakaś postać odłączyła się od cienia głównego namiotu, stąpając przez zaspy śniegu. Sos widział ją, choć oczy miał zamknięte. To był Tor. Rozpoznał go po krokach.

— Masz, czego chciałaś. Idzie Tor.

Jej kłamstwo zostało zdemaskowane. Wczołgała się do śpiwora, usiłując się ukryć.

— Odeślij go! — szepnęła.

Sos złapał futrzane okrycie, rzucił je w tył namiotu i naciągnął Soli na głowę brzeg śpiwora mając nadzieję, że nie udusi się w zamknięciu. Czekał.

Tor podszedł do namiotu i zatrzymał się. Nie padło ani jedno słowo. Nagle brodac odwrócił się i odszedł. Najwyraźniej uznał, iż ciemny zamknięty namiot oznacza, że jego przyjaciel śpi.

Sola wystawiła głowę, gdy niebezpieczeństwo minęło.

— A jednak mnie pragniesz — powiedziała. — Mogłeś mnie okryć wsty dem. ..

— Oczywiście, że cię pragnę. Jeśli chcesz, bym to udowodnił, zdejmij jego bransoletę i załóż moją.

— Czy pamiętasz, jak poprzednim razem leżeliśmy przy sobie? — szepnęła unikając odmowy.

— „Greensleeves”.

— I „Dolina Red River”. Zapytałeś mnie, czego pragnę w mężczyźnie, a ja odpowiedziałam, że przywództwa.

— Dokonałeś wyboru. — Usłyszał gorycz we własnym głosie. -Ale wtedy nie wiedziałam, czego on pragnie.

Zmieniła pozycję, wkładając wolną rękę pod jego ramię i obejmując mu plecy. Sos nie był zdolny zapanować nad swą gorącą reakcją, świadomy, że ona o tym wiedziała.

— Ty jesteś przywódcą tego obozu — powiedziała. — Wszyscy to wiedzą, nawet Tyl. Nawet Sol. On wiedział to pierwszy.

— Jeśli w to wierzysz, dlaczego nie oddasz mu bransolety?

— Dlatego, że nie jestem samolubna! — krzyknęła.

To go zaskoczyło.

— Dał mi swoje imię, choć tego nie chciał. Muszę mu dać coś w zamian, nawet jeśli tego nie chcę. Nie mogę go opuścić, dopóki nie spłacę długu.

— Nie rozumiem.

Teraz z kolei ona poczuła gorycz.

— Rozumiesz!

— Masz dziwny sposób spłacania długów.

— To jego sposób, nie mój. Twoje liczby tego nie wyjaśniają.

— Dlaczego nie wybierzesz sobie do tego celu innego mężczyzny?

— Dlatego, że on ci ufa, a ja cię kocham.

Nie mógł nie zgodzić się z tymi słowami. To Sol pierwszy wystąpił z tą pro pozycją, nie ona.

— Jeśli mnie o to poprosisz, odejdę — szepnęła — i już więcej nie wrócę. Bez żadnych krzyków i żadnego kłopotu.

Mogła sobie pozwolić na ten gest. Odniosła już zwycięstwo. Bez słowa objął ją, szukając jej warg i ciała. Tym razem ona się opierała.

— Czy znasz cenę?

— Znam.

Wtedy stała się równie chętna jak on.

Rozdział 9

Na wiosnę Soi pojawił się ponownie, pchając swój wózek z bronią; był chudy, poważny, pokryty bliznami. Przywitało go ponad dwustu ludzi, co do jednego twardych i ochoczych. Wiedzieli, że jego powrót oznacza zmiany.

Wysłuchał raportu Tyla i skinął głową.

— Jutro wyruszamy — oznajmił.

Tej nocy Sav wrócił do namiotu. Sosowi przyszło do głowy, że cała ta prze prowadzka i powrót były podejrzenie wygodne dla niego, powstrzymał się jednak od uwag.

— Twoja bransoleta się zmoczyła?

— Lubię ciągle coś nowego. Zaczynało mi już tego brakować.

— W ten sposób raczej ciężko jest założyć rodzinę.

— Jasne! — zgodził się Sav. — Zresztą potrzebne mi siły. Jestem teraz drugim drągiem.
Tak, pomyślał zasmucony Sos. Pierwszy stał się drugim i należało się z tym pogodzić.

Plemię wymaszerowało. Najpierw wyruszyło pięćdziesięciu wojowników z mieczami. Twierdzili, że ten przywilej należy się im jako zwycięzcom w tur nieju na punkty. Za nimi szły sztylety — triumfatorzy w tabeli proporcji — potem pałki, drągi i maczugi. Kolumnę zamykał samotny morgensztern. Nie zdobył wie lu punktów, ale nie czuł się rozczarowany.

— Moja bron nie służy do zabawy — stwierdził nie bez racji.

Sol już nie walczył. Pozostawał z Sołą, okazując jej niezwykłą dbałość, i po zwolił sprawnej machinie wojennej, którą stworzył Sos, działać przy minimalnym nadzorze. Czy wiedział, co jego żona wyprawiała przez całą zimę? Z pewnością, gdyż Soła była w ciąży.

Tyl rządził plemieniem. Gdy napotykali samotnego wojownika, który zgadzał się na warunki walki, nakazywał dowódcy odpowiedniej grupy wybrać podko mendnego do pojedynku w Kręgu. Szybko się ujawniły zalety długiego treningu — wyznaczeni wojownicy byli z reguły w lepszej formie fizycznej niż ich prze ciwnicy, a także lepiej znali przeróżne fortele. Zwyciężali niemal zawsze. Gdy zdarzało im się przegrać, zwykle zwycięzca wyzywał dowódcę grupy, aby same mu zostać członkiem plemienia, które imponowało mu rozmiarami i siłą. Tyl nie pozwalał wędrować z plemieniem nikomu, kto nie był z nim związany.

Jedynie Sos pozostał niezależny i żałował tego.

Po tygodniu natknęli się na inne plemię, liczące około czterdziestu członków, pod przywództwem chytrego, starego wojownika. Po spotkaniu z Tylem i ocenie sytuacji, zgodził się on wystawić do Kręgu tylko czterech wojowników: miecz, drąg, pałki i maczugę. Nie chciał ryzykować więcej.

Skwaszony Tyl udał się po radę do Sosa.

— To małe plemię, ale ma wielu dobrych ludzi. Patrząc na ich blizny i obser wując, w jaki sposób się poruszają, mogę stwierdzić, że są doświadczeni i zdolni.

— I może też słuchając raportów naszych zwiadowców — szepnął Sos.

— Nie chce nawet wysłać przeciw nam swoich najlepszych! — ciągnął obu rzony Tyl.

— Wyzwij go sam do walki o całą jego grupę, ale przedtem postaw na szalę pięćdziesięciu ludzi. Niech ich sobie wcześniej obejrzy, aby się przekonać, że są warci jego wysiłku.

Tyl uśmiechnął się i poszedł do Soły po oficjalną zgodę. To była tylko formal ność. Po chwili zgromadził czterdziestu pięciu dobranych wojowników.

— Nic z tego nie wyjdzie — mruknął Tor.

Chytry wódz plemienia obejrzał wojowników i chrząknął z zadowoleniem.

— Dobrzy ludzie — zgodził się, po czym przyjrzał się Tyłowi.

— Czy jesteś człowiekiem, który używa dwóch rodzajów broni?

— Miecza i pałek.

— Podróżowałaś samotnie, a teraz jesteś drugim wojownikiem w plemieniu liczącym dwustu członków.

— Zgadza się.

— Nie będę z tobą walczyć.

— Czy pragniesz się zmierzyć z naszym wodzem, Solem?

— Z pewnością nie!

Tyl zapanował nad sobą z wyraźnym wysiłkiem i zwrócił się w stronę Sosa.

— Co teraz, Doradco? — zapytał z ironią w głosie.

— Teraz skorzystaj z rady Tora.

Sos nie wiedział, co wymyślił brodac, ale podejrzewał, że okaże się to sku teczne.

— Myślę, że jego słabym punktem jest duma — powiedział Tor szeptem. — Nie zgodzi się walczyć, jeśli sądzi, że może przegrać, i nie zaryzykuje jednocześnie więcej niż kilku ludzi, aby móc się wycofać, gdy sytuacja stanie się dlań niekorzystna. W ten sposób nic nie zyskamy.

Gdyby jednak udało się nam go ośmieszyć...

— Świetnie! — krzyknął Sos, zrozumiawszy, o co chodzi. — Wystawimy czterech błaznów, by go zawstydzić i skłonić do podniesienia stawki!

— I do tego zbierzemy grupę dowcipnisiów. Największych pyskaczy, jakich mamy.

— A mamy ich pod dostatkiem — zgodził się Sos, przypominając sobie, jaki doping towarzyszył zażartej rywalizacji między grupami.

Tyl wzruszył ramionami z powątpiewaniem.

— Wy się tym zajmijcie. Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Udał się do swojego namiotu.

— Naprawdę chciał walczyć sam — zauważył Tor. — Niestety, on się do tego nie nadaje. Nigdy się nie śmieje.

Porównali swoje notatki i wyznaczyli do Kręgu czterech odpowiednich wojowników. Następnie zgromadzili jeszcze starannie dobraną grupę kibiców, którzy mieli siedzieć najbliżej Kręgu.

Pierwszy pojedynek rozpoczął się w południe. Przedstawiciel przeciwników — wysoki, poważny wojownik z mieczem, który młodość miał już za sobą, zbliżył się różnym krokiem. Z szeregów Sola wystąpił Dal — drugi sztylet — niski mężczyzna o puciołowatej twarzy, którego często słyszany śmiech miał chichotliwe brzmienie. Ogólnie biorąc, Dal nie był bardzo dobrym wojownikiem, lecz intensywne ćwiczenia ujawniły jego mocny punkt: nigdy nie przegrał walki przeciwko mieczowi, mimo że ostra bron była szczególnie niebezpieczna właśnie dla tęgich mężczyzn.

Wojownik z mieczem spojrział zimno na przeciwnika, po czym wszedł do Kręgu i zajął postawę obronną. Dal wyciągnął jeden ze swych noży i stanął naprzeciw, naśladując — z ośmiocalowym ostrzem w ręku — przepisową postawę tamtego. Specjalnie dobrani gapie wybuchnęli śmiechem.

Bardziej zdziwiony niż rozgniewany wojownik zamachnął się na próbę mieczem. Dal sparował cios niedużym nożem, jak gdyby był to normalny miecz. Pu bliczność roześmiała się ponownie, bardziej hałaśliwie niż było to konieczne.

Sos spojrział ukradkiem na wodza drugiego plemienia. Nie był on ani trochę ubawiony.

W końcu przeciwnik zaatakował na serio i Dal wykwintnym ruchem wyciągnął drugi sztylet. Za pomocą szybkich fint i uskoków powstrzymywał ataki cięższej broni. Na ogół uważano, że para sztyletów nie może się równać z mieczem, chyba że władający nimi wojownik był nadzwyczaj zwinny. Dal sprawiał wręcz przeciwne wrażenie, lecz jego zaokrąglone ciało jakoś zawsze znajdowało się o włos poza zasięgiem miecza. Potrafił też szybko wykorzystywać okazje, ja kie stwarzała większa bezwładność broni przeciwnika. Nikt, kto walczył w Kręgu przeciw bliźniaczym nożom, nie mógł ani na chwilę zapomnieć, że jest ich para i że przeciwnika trzeba przez cały czas trzymać na bezpieczną odległość. Nic nie dawało zablokowanie ciosu jednego noża, jeśli drugi już zmierzał do odsłoniętego celu.

Gdyby wojownik z mieczem był lepszy, taktykę Dala uznano by za lekko myślną, jednakże raz po raz udawało mu się sprawić, że przeciwnik przelatywał niezgrabnie obok niego, odsłaniając się tak, że Dal mógł mu zadać decydujący cios. Lecz zamiast to zrobić, ujmował ręką kosmyk jego włosów i targał nim. Wi downia ryczała ze śmiechu. Następnie Dal przeciął przeciwnikowi pantalonki od tyłu, zmuszając go, by złapał się za nie pospiesznie. Ludzie Sola tarzali się po ziemi, szarpali za spodenki i klepali się nawzajem po ramionach i plecach.

W końcu przeciwnik potknął się o rozmyślnie podstawioną nogę i wypadł z Kręgu, haniebnie pokonany. Dal jednak nie opuścił areny, lecz nadal wymachiwał sztyletami, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy, że przeciwnika już nie ma.

Wódz przeciwnego plemienia patrzył na to z kamienną twarzą.

Następny wystąpił wojownik z drągiem, przeciw któremu Tor wysłał specjalną listę od pałek. Pojedynek był praktycznie kopią pierwszego. Kin Pałki szermował komicznie jedną ręką, trzymając drugą pałkę pod pachą, w zębach lub między nogami, czemu towarzyszyły sprośne przyśpiewki

gapiów. Sprawił, że przeciwnik wydał się wszystkim nieudolny i niedoświadczony, choć w rzeczywistości wcale tak nie było. Kin wybijał pałką rytm na jego drągu, jakby grał na instrumencie muzycznym, nachylał się, by uderzać boleśnie w stopy. Nawet niektórzy z wojowników przeciwnego plemienia śmiali się po cichu... ale nie ich wódz.

W trzecim pojedynku układ był odwrotny: Sav walczył przeciw pałkom. Nucił wesołą piosenkę, uderzając w wydatny brzuch rywala końcem swego drąga, co nie pozwalało mu się zbliżyć.

— Kołysz się, mój słodki rydwanie — śpiewał zadając pchnięcia.

Tamten wziął obie pałki w jedną rękę z zamiarem złapania drąga drugą.

— Och, nie, John, nie, John, nie, John, nie! — zaśpiewał radośnie Sav, gdy złapał dłonią obie pałki i wyrzucił je w górę.

Choć ów człowiek także miał imię, odtąd zawsze był znany w plemienu jako Jon.

Przeciwko maczudze wystąpił Mok Morgensztern. Wpadł do Kręgu, wyma chując swą straszną kulą nad głową, aż powietrze zaświstało między kolcami. Gdy maczuga zablokowała cios, łańcuch owinął się wokół trzymającej ją ręki, aż obracająca się kula uderzyła w dłoń wojownika, miażdżąc ją boleśnie. Mok szarp nął i maczuga wypadła z ręki przeciwnika, który spojrzał na swe zakrwawione palce. Zgodnie z tym, co twierdził Mok, jego bron nie służyła do zabawy.

Zwycięzca złapał maczugę, obrócił ją w dłoni i z ukłonem wręczył rywalowi.

— Została ci jeszcze jedna ręka — powiedział uprzejmym tonem. — Po co ją marnować, gdy masz jeszcze całe kości?

Tamten spojrzał na niego i wycofał się z Kręgu całkowicie upokorzony. Ostatnia walka dobiegła końca.

Wódz przeciwników wykrztusił z siebie coś niemal niezrozumiałego.

— Nigdy nie widziałem takiego... takiego...

— A czego się spodziewałeś po tych pajacach, których wysłałeś przeciwko nam? — zapytał szczupły młodzieniec o dziecinnej twarzy, oparty o miecz.

— Zachowywał się najgłośniejszy spośród gapiów, choć wyglądał, jakby ledwo mógł udźwignąć swą broń. — My chcieliśmy walczyć, ale twoje rozbrykane błazny...

— Ty! — krzyknął rozwścieczony wódz. — Zmierz się więc z moim pierwszym mieczem!

Chłopak zrobił przestraszoną minę.

— Miało być tylko czterech.

— Nie! Wszyscy moi ludzie będą walczyć. Najpierw z tobą... i z tym obleśnym brodaczem obok ciebie, a potem z tymi dwoma pyskaczami z maczugami!

— Zgoda! — krzyknął chłopak. Wstał i pobiegł do kręgu. Był to Neq, mimo młodego wieku i wątłej postury czwarty miecz spośród pięćdziesięciu.

Brodaczem był oczywiście sprytny Tor we własnej osobie, obecnie trzeci miecz. Wojownicy z maczugami zajmowali pierwsze i drugie miejsce w grupie trzydziestu siedmiu.

Pod wieczór plemię zasiłło około trzydziestu nowych ludzi.

Sol przez cały dzień rozmyślał. Odbił rozmowę z Tylem, po czym zastanowił się jeszcze przez chwilę i wezwał Sosa i Tora.

— To hańba dla Kręgu — oznajmił. — Walczymy, by zwyciężyć lub przegrać, a nie żeby się śmiać.

Wysłał Sosa, aby ten przeprosił drugiego wodza i zaproponował mu poważny rewanż, tamten jednak miał dość.

— Gdybyś nosił broń, rozplatałbym ci głowę w Kręgu! — powiedział Sosowi.

Szło im dobrze. Miesiące spędzone w obozie w Złym Kraju zmieniły grupę w znakomitą siłę bojową. Precyzyjny system określania umiejętności, obejmujący wszystkie rodzaje broni, umożliwiał wystawianie wojowników do walki wtedy, gdy mogli odnieść zwycięstwo. Plemię poniosło trochę strat, lecz zyski wynagrodziły je z nawiązką. Od czasu do czasu Tyl miał okazję

wystąpić w Kręgu prze ciw wodzowi drugiego plemienia, oferując mu ekwiwalent wojowników, tak jak chciał to uczynić za pierwszym razem. Dwukrotnie zwyciężył, zdobywając dla grupy Sola łącznie siedemdziesięciu wojowników, z czego był bardzo dumny... a jeden raz przegrał.

I wtedy Sol, zamiast się wycofać, postawił całe liczące ponad trzystu wojowników plemię przeciw pięćdziesięciu — teraz już stu — należącym do zwycięzcy i wyzwiał go do walki. Wziął miecz i zabił wodza przeciwników najbardziej bezlitosnym ciosem, jaki Sos kiedykolwiek widział. Tor zanotował swe spostrzeżenia dotyczące techniki, by wykorzystać je jako wskazówki dla grupy mieczy. Tył za chował swoją pozycję, jeśli jednak kiedykolwiek marzył o zastąpieniu Sola, było pewne, że owego dnia ta wizja opuściła go na zawsze.

Tylko raz plemię napotkało poważną przeszkodę, i to nie ze strony innego plemienia. Pewnego dnia olbrzymi, imponująco umięśniony mężczyzna nadszedł ścieżką, wymachując maczugą niczym pałką. Sos był wprawdzie jednym z naj bardziej postawnych mężczyzn w grupie, ale przybyszowi wyraźnie ustępował wzrostem i szerokością ramion. Nosił on imię Gog. Miał przyjazny charakter i ni kły rozum, a jego ulubioną rozrywką było zamienianie przeciwników w Kręgu na proszek.

— Walka? Dobrze, dobrze! — zawołał, uśmiechając się szeroko. — Jeden, dwa, trzy razy z rzędu! Dobra!

Wpadł do Kręgu, by czekać tam na przeciwników. Sos odniósł wrażenie, że Gog tylko dlatego nie wymienił większej liczby, iż potrafił liczyć zaledwie do trzech.

Tył, zaciekawiony, wysłał do boju dowódcę grupy maczug. Gog przystąpił do walki. Sprawiał wrażenie, że nie posiada żadnych umiejętności. Wymachiwał po prostu maczugą w obie strony z taką zawziętością, że przeciwnik był bezrad ny. Atakował z nie słabnącą siłą, nie patrząc, czyjego ciosy trafiają, czy nie, aż wreszcie trzasnął przeciwnika tak, że ten wyleciał z Kręgu nie zdolawszy odzyskać równowagi.

Zwycięski Gog uśmiechnął się.

— Jeszcze! — krzyknął.

Tył spojrział na dotychczasową pierwszą maczugę plemienia, człowieka, który odniósł niejedno zwycięstwo w Kręgu. Zmarszczył brwi, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało, i wysłał do boju drugą maczugę.

Sytuacja się powtórzyła. Dwóch ogłuszonych i pobitych mężczyzn leżało na ziemi.

Wkrótce ten sam los spotkał dwa czołowe miecze i drąg.

— Jeszcze! — krzyknął uszczęśliwiony Gog.

Tył jednak miał dość. Pięciu doborowych wojowników zostało pobitych w ciągu zaledwie dziesięciu minut, a zwycięzca wydawał się niemal nie zmęczony.

— Jutro — powiedział olbrzymowi.

— Dobra! — zgodził się rozczarowany Gog.

Przyjął zaproszenie na nocleg. Zanim jednak udał się spać, pochłonął podwójną kolację i skorzystał z usług trzech chętnych kobiet. Gościnni członkowie plemienia nie mogli się nadziwić. Osiągnięcia wojownika w obu dziedzinach były wprost niewiarygodne, niemniej jednak widzieli to na własne oczy. Gog załatwiał się z wszystkim jeden, dwa, trzy razy z rzędu.

Następnego dnia był w nie gorszej formie. Sol tym razem osobiście obserwował, jak Gog z równą łatwością rozbił maczugę, pałki i sztylety, a nawet straszliwy morgensztern. Nie zwracał uwagi na obrażenia, choć niektóre ciosy były straszliwie. Kiedy odnosił ranę, śmiał się i zlizywał krew jak tygrys. Blokowanie jego ciosów nic nie dawało. Miał taką siłę, że nie sposób ich było skutecznie powstrzymać.

— Jeszcze! — krzyczał po każdej kłęsce zadanej przeciwnikowi. W ogóle się nie męczył.

— Musimy mieć tego człowieka — stwierdził Sol.

— Nie mamy nikogo, kto mógłby go pokonać — sprzeciwił się Tył. — Roz walił już dziewięciu naszych czołowych wojowników i żaden z nich nawet mu nie zagroził. Mógłbym go zabić

mieczem, ale nie potrafiłbym go pokonać bez rozlewu krwi. Niepotrzebny jest nam martwy.

— Trzeba z nim walczyć maczugą — stwierdził Sos. — Tylko ona ma odpowiednią masę, by go przyhamować. Maczuga w potężnych, zręcznych, wytrzy małych rękach.

Tyl spojrzął znacząco na trzech mistrzów maczugi, siedzących po tej samej stronie Kręgu co Gog. Wszyscy mieli grube bandażę w miejscach, gdzie ciało i kości ustąpiły pod ciosami olbrzyma.

— Jeśli to są nasi najlepsi wojownicy, potrzebujemy jeszcze lepszego — za uważył.

— Tak — powiedział Sol i wstał z miejsca.

— Zaczekaj chwilę! — krzyknęli obaj.

— Nie ryzykuj — dodał Sos. — Masz za dużo do stracenia.

— W dniu, gdy ktokolwiek pokona mnie jakąkolwiek bronią — odpowiedział z powagą Soi — udam się na Górę.

Wziął w rękę maczugę i podszedł do Kręgu.

— Wódz! — krzyknął Gog rozpoznając go. — Dobra walka?

— Nawet nie ustalił warunków — jęknął Tyl. — To zwykła bijatyka.

— Dobra walka — zgodził się Soi i wstąpił do Kręgu.

Sos zgadzał się z Tylem. Imperium rozwijało się tak szybko, że wydawało im się nie do przyjęcia, by Sol narażał się w Kręgu, jeśli nie miał do zdobycia przynajmniej całego plemienia. Zawsze mogło zdarzyć się nieszczęście. Wiedzie li już jednak, że w tych dniach wódz miał w głowie inne sprawy niż Imperium. Dowodził swojej męskości dzielnością w walce i nie mógł sobie pozwolić na naj mniejszą pobłażliwość. Regularnie ćwiczył, by utrzymać ciało w dobrej formie.

Być może tylko mężczyzna bez broni był w stanie zrozumieć, jak głęboko sięgały blizny po utracie męskości na innym polu.

Gog przystąpił do swego zwykłego ataku, przywodzącego na myśl wiatrak, lecz Sol parował ciosy i uchylał się z wielką zręcznością. Gog był znacznie po tężniejszy, lecz Sol przewyższał go szybkością i przecinał jego straszliwe haki, zanim zdążyły nabrać pełnego impetu. Uchylił się przed kolejnym ciosem i trafił Goga w głowę błyskawicznym, precyzyjnym uderzeniem, jakie Sos widywał już w jego wykonaniu. W rękach Sola maczuga nie była niezgrabna ani powolna.

Olbrzym jakby nie zauważył ciosu. Bez ustanku wymachiwał maczugą, z uśmiechem na ustach. Sol musiał się cofać i uchylać zręcznie przed jego cio sami, aby pozostać w Kręgu, lecz Gog podążał za nim, nie dając mu chwili wytchnienia.

Strategia Sola była oczywista. Oszczędzał własne siły, pozwalając rywalowi marnotrawić energię. Gdy tylko nadarzyła się szansa, uderzał zniecka maczugą w głowę, bark czy żołądek, aby osłabić przeciwnika jeszcze bardziej. To była dobra taktyka, z tym że Gog nie chciał się zmęczyć.

— Dobrze! — pochrząkiwał, gdy Sol trafiał, i dalej wymachiwał maczugą.

Po upływie pół godziny całe plemię zebrało się zdumione wokół areny. Wszyscy znali umiejętności Sola, nie mogli jednak pojąć niezmiordowanej siły Goga. Maczuga była ciężką bronią i z każdym zamachem wydawała się jeszcze cięższa. W miarę walki ramię nieuchronnie traciło energię. Gog jednak nie zwalniał ani nie okazywał wyczerpania. Skąd brał podobną wytrzymałość?

Solowi znudziło się wyczekiwanie. Przeszedł do ataku. Teraz on wymachiwał maczugą jak Gog, zmuszając większego mężczyznę do defensywy. Do tej pory widzowie mogli sądzić, że Gog nie umie się bronić, gdyż wcześniej nie musiał tego robić. Rzeczywiście nie był w obronie zbyt dobry i wkrótce maczuga Sola trzasnęła go z całej siły w szyję.

Sos potarł się w to miejsce, wyobrażając sobie ból, jaki tamten musiał poczuć. Ujrzał, że głowa Goga zakotyła się, a ślina wystrzeliła z jego otwartych ust. Podobny cios powinien pozbawić go przytomności na resztę dnia. Tak się jednak nie stało. Gog zawahał się przez chwilę, potrząsnął głową i uśmiechnął się.

— Dobrze! — powiedział i wziął potężny zamach.

Sol był zlany potem. Chcąc nie chcąc, musiał przejść do obrony. Odpierał sprytnie ciosy Goga, podczas gdy olbrzym przystąpił do ataku z równym wigo rem, co uprzednio. Sol nie został jeszcze ani razu trafiony w głowę czy tułów. Jego obrona była zbyt dobra, by przeciwnik mógł się przez nią przebić. Ale nie udawało mu się także zachwiać Gogiem ani go zmęczyć.

Gdy upłynęło następne pół godziny, Sol podjął kolejną próbę, z podobnym rezultatem. Gog wydawał się nieczuły na obrażenia fizyczne. Sol musiał się więc zadowolić wyczekiwaniem.

— Ile trwała najdłuższa jak dotąd walka na maczugi? — zapytał ktoś.

— Trzydzieści cztery minuty — padła odpowiedź.

Chronometr pożyczony przez Tora z gospody wskazywał sto cztery minuty.

— Niemożliwe, by walczyli tak bez końca — powiedział.

Cienie się wydłużały. Pojedynek trwał.

Sos, Tyl i Tor zebrali się razem z resztą doradców.

— Będą walczyć aż do zmierzchu! — zawołał z niedowierzaniem Tun. — Sol się nie podda, a Gog tego nie potrafi.

— Musimy to zakończyć, zanim obaj padną martwi — oznajmił Sos.

— Ale jak?

W tym sęk. Byli pewni, że żaden z przeciwników nie przerwie walki dobro wolnie, a na koniec się nie zanosilo. Siły Goga wydawały się nieograniczone, a determinacja i umiejętności Sola dorównywały im. Jednakże zapadające ciemności zwiększały ryzyko fatalnego finału walki, a tego nikt nie chciał. Trzeba ją było przerwać.

Nikt nigdy nie wyobrażał sobie podobnej sytuacji. Nie potrafili wymyślić żadnego zgodnego ze zwyczajami sposobu jej rozwiązania. W końcu zdecydowali się naruszyć nieco kodeks Kręgu.

Zadania podjęła się grupa drągów. Wpadła do Kręgu, rozdzielając walczących i odciągając ich od siebie.

— Remis! — wrzasnął Sav. — Nierozegrana! Nikt nie wygrał! Jesteście rów ni!

Gog podniósł się z ziemi, zbity z tropu.

— Kolacja! — ryknął Sos. — Spanie! Kobiety!

To poskutkowało.

— Dobra! — zgodził się potworny wojownik.

Sol zastanowił się. Popatrzył na wydłużające się cienie.

— Zgoda — powiedział na koniec.

Gog podszedł do niego, by uścisnąć mu rękę.

— Ty całkiem dobry jak na małego faceta — powiedział z uznaniem. — Na stępnym razem zczynamy rano, dobra? Więcej dnia.

— Dobra! — zgodził się Sol.

Wszyscy się roześmiali.

W nocy Sola natarła maścią ramiona, nogi i plecy męża, i kazała mu odpoczywać przez dobre dwanaście godzin. Gog zadowolili się jednym obfitym posiłkiem i jedną korpulentną dziewczyną. Wzgardził natomiast pomocą medyczną, wcale się nie przejmując swymi fioletowymi siniakami.

— Dobra walka! — powiedział zadowolony.

Następnego dnia udał się w swoją stronę, pozostawiając wojowników, których pokonał.

— Tylko dla zabawy! — wyjaśnił. — Dobrze, dobrze.

Obserwowali, jak znika w oddali. Śpiewał fałszywie i podrzucał swą maczugę, łapiąc ją to za jeden, to za drugi koniec.

Rozdział 10

Mój rok dobiegł końca — oznajmił Sos.

— Wolałbym, żebyś został — odrzekł powoli Sol. — Dobrze mi służyłeś.

— Masz pięciuset ludzi i grupę znakomitych doradców. Nie potrzebujesz mnie.

Sol spojrział na niego. Sos dostrzegł wstrząśnięty, że ma w oczach łzy.

— Potrzebuję — odparł Wódz. — Nie mam innego przyjaciela.

Sos nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Podeszła do nich Sola. Wkrótce miała wyruszyć w podróż do szpitala prowadzonego przez Odmieńców, by tam urodzić.

— Może będziesz miał syna — powiedział Sos.

— Kiedy znajdziesz, czego szukasz, wróc — odrzekł Sol, godząc się z tym, co nieuniknione.

— Wrócę.

To było wszystko, co mogli sobie nawzajem powiedzieć.

Po południu Sos opuścił obóz i udał się na wschód. Z każdym dniem krajobraz wydawał się coraz bardziej znajomy. Mężczyzna zbliżał się do swych rodzinnych okolic. Przeszedł wzdłuż granicy Złego Kraju, oznakowanej w pobliżu wybrzeża. Zastanawiał się, jakie potężne miasta stały niegdyś tam, gdzie teraz promienio wanie niosło cichą śmierć, i czy kiedyś znowu powstaną tak olbrzymie skupiska ludzkie. Książki twierdziły, że w centrum tych osiedli nie rosło nic zielonego, że beton i asfalt pokrywały teren między budynkami, i że wszędzie były maszyny, które wykonywały każdą pracę, podobne do tych, jakich obecnie używali Odmieńcy. Wszystko to jednak zniszczył Wybuch. Dlaczego? Było wiele pytań, na które nie znał odpowiedzi.

Po miesiącu wędrówki przybył do szkoły, w której się uczył, zanim zaczął podróżować jako wojownik. Minęło zaledwie półtora roku, a przeszłość wydała mu się już odległym, obcym fragmentem życia. Poczul się dziwnie, gdy znów znalazł się w budynku szkolnym, wiedział jednak, jak się tu poruszać.

Minął ozdobione hakowym sklepieniem wejście frontowe i ruszył naprzód znajomym, a jednocześnie obcym korytarzem w kierunku drzwi, na których widniał napis: „Dyrektor”. Za biurkiem siedziała dziewczyna, której nie pamiętał.

Doszedł do wniosku, że musi to być niedawna absolwentka. Była ładna, lecz bar dzo młoda.

— Chciałbym się widzieć z panem Jonesem — powiedział, starannie wyma wiając niezwykle imię.

— Kogo mam zapowiedzieć? — Dziewczyna spojrziała na Głupiego, który jak zwykle siedział na ramieniu.

— Sosa — odparł, zdał sobie jednak sprawę, że to imię nic tu nikomu nie mówi. — Dawnego ucznia. On mnie zna.

Powiedziała cos cicho do interkomu i wysłuchała odpowiedzi.

— Doktor Jones przyjmie cię teraz — oznajmiła i uśmiechnęła się do niego, jak gdyby nie był pokrytym zaskorupiałym brudem wyrzutkiem o zmierzwionej brodzie, z nakrapianym ptakiem na ramieniu.

Odwzajemnił jej uśmiech. Doceniał tę uprzejmość, choć wiedział, że należy ona do obowiązków dziewczyny. Wszedł przez drzwi prowadzące do gabinetu.

Dyrektor wstał natychmiast z za biurka i przeszedł na jego drugą stronę, by się przywitać z gościem.

— Oczywiście, że cię pamiętam! Rocznik sto siedem. Potem zostałeś jeszcze, by ćwiczyć... bodajże z mieczem, czy nie tak? Jakiego imienia teraz używasz?

— Sos.

Wiedział, że Jones już je zna i daje mu tylko okazję, by opowiedział, dlaczego je przybrał. Nie skorzystał z niej od razu, więc dyrektor, doświadczony w podob nych sytuacjach, ponownie pospieszył mu z pomocą.

— Sos. Piękna sprawa — ta trzyliterowa konwencja. Chciałbym wiedzieć, jaki był jej

początek. Cóż, usiądź, Sos, i opowiedz mi wszystko. Gdzie zdobyłeś swojego pupilka?

To autentyczny pseudowróbel, o ile rozpoznaję faunę Złych Krajów. W jego głosie pojawił się bardzo łagodny, ojcowski ton.

— Zapuszczałeś się w niebezpieczne rejony, wojowniku. Czy zostaniesz u nas na stałe?

— Nie wiem. Raczej nie. Ja... nie jestem pewien, kim się właściwie teraz czuję.

Jak szybko powrócił w obecności tego człowieka do młodzieńczego zachowania.

— Nie możesz się zdecydować, czy jesteś normalnym człowiekiem, czy Odmieńcem, hę? — powiedział doktor Jones i roześmiał się na swój nieszkodliwy sposób. — Wiem, że trudno to rozstrzygnąć. Czasami sam jeszcze mam ochotę rzucić to wszystko, wziąć w rękę jedną z tych chwalebnych broni i... Mam nadzieję, że nikogo nie zabiłeś?

— Nie. Przynajmniej nie własnoręcznie — dodał przypominając sobie krnąbrnego Nara i jego egzekucję, dokonaną przez Tyla. — Walczyłem tylko kilka razy i zawsze o drobne sprawy. Ostatnim razem o swoje imię.

— Och. Rozumiem. I o nic więcej?

— Być może również o kobietę.

— Tak. Życie w prostym świecie nie zawsze jest proste, prawda? Gdybyś zechciał dokładniej...

Sos opowiedział o wszystkich swych przeżyciach. Pozbył się wreszcie skrupała powściągliwości. Jones słuchał ze zrozumieniem.

— Tak jest — rzekł na koniec — naprawdę masz problem.

Medytował przez chwilę — słowo „myśleć” wydawało się w odniesieniu do niego nazbyt proste — po czym dotknął interkomu.

— Panno Smith, proszę sprawdzić, jakie mamy dane na temat Sola. S-O-L. Prawdopodobnie rok, nie, dwa lata temu, na zachodnim wybrzeżu. Dziękuję.

— Czy on chodził do szkoły? — Sosowi nigdy nie przyszło to do głowy.

— Z pewnością nie do naszej. Ale mamy też inne ośrodki treningowe, a przy puszczać, że on otrzymał instrukcje. Panna Smith sprawdzi to na komputerze. Może znajdzie się coś na jego temat.

Czekali przez kilka minut. Sos znów poczuł się skrępowany. Przypominał sobie, że powinien był się oczyścić z brudu, zanim tu przyszedł. Odmieńcy traktowali brud jak swego rodzaju fetysz. Nie mogli długo wytrzymać nie usuwając go ze swego ciała, może dlatego, że z reguły przebywali w budynkach i wśród maszyn, gdzie zapachy były bardziej dokuczliwe.

— Ta dziewczyna... panna Smith... — zapytał, by skrócić oczekiwanie. — Czy ona jest uczennicą?

Jones uśmiechnął się wyrozumiale.

— Już nie. Myślę, że jest cały rok starsza od ciebie. Nie możemy być pewni, bo znaleźliśmy ją kilka lat temu, jak biegała samotna w pobliżu jednego z radio aktywnych obszarów, i nigdy nie udało się nam ustalić jej pochodzenia. Szkolono ją w innej jednostce, możesz jednak być pewien, że w jej, hmm, etykietce zaszły pewne zmiany. W środku, jak sądzę, jest jeszcze koczowniczką, niemniej jednak całkiem nieźle zna się na rzeczy.

Trudno było sobie wyobrazić, że ten oszlifowany diament urodził się w lesie, choć Sos sam przeszedł podobną drogę.

— Czy naprawdę wszyscy wasi ludzie pochodzą...

— Z prawdziwego świata? Prawie wszyscy, Sos. Trzydzieści lat temu sam nosiłem miecz.

— Co? Miecz?

— Uznaję twoje zdumienie za komplement. Tak, walczyłem w Kręgu. Rozu miesz. ..

— Znalazłam, doktorze Jones — odezwał się interkom. — S.O.L. Czy mam przeczytać?

— Proszę bardzo.

— Sol. Imię kodowe nadane okaleczonemu podrzutkowi. Przeszczep jąder, terapia insulinowa,

wszechstronny trening manualny. Zwolniony z sierocińca San Francisco w roku W107. Czy potrzebne są dalsze szczegóły, doktorze Jones?

— Nie, dziękuję. To nam wystarczy, panno Smith.

Wrócił do Sosa.

— To mogło być dla ciebie trochę niejasne. Wydaje się, że twój przyjaciel był sierotą. Pamiętam, że około piętnastu lat temu doszło do walk na zachodnim wybrzeżu i cóż, musieliśmy ratować co się dało. Wymordowano całe rodziny, tor turowano dzieci. Takie rzeczy zdarzają się od czasu do czasu w prymitywnych grupach. Twojego Sola wykastrowano, gdy miał pięć lat, i pozostawiono, aby się wykrwawił na śmierć... cóż, był jednym z tych, do których zdążyliśmy dotrzeć na czas. Przeszczep załatwił sprawę testosteronu, a wstrząsowa terapia insulinowa pomogła wymazać traumatyczne wspomnienia, ale... cóż, nasze możliwości nie są nieograniczone. Najwyraźniej nie nadawał się do stymulacji intelektualnej, w przeciwieństwie do ciebie, więc otrzymał w zamian manualną. Sądząc z tego, co mi mówiłeś, okazała się nadzwyczaj skuteczna. Wygląda na to, że dobrze się przystosował.

— Tak.

Sos zaczął rozumieć pewne cechy Sola, które dotąd zbijały go z tropu. Osie rocony we wczesnym dzieciństwie, ofiara plemiennego bestialstwa, siłą rzeczy chciał zapewnić sobie możliwie najlepszą ochronę i starał się unieszkodliwić wszystkich ludzi i wszystkie plemiona, które tylko mogłyby mu zagrozić. Wy chowany w sierocińcu pragnął przyjaźni — i nie wiedział, jak ją rozpoznać ani co z nią począć — jak również własnej rodziny, której by bronił z fanatycznym uporem. O ileż cenniejsze musiało być dziecko dla mężczyzny, który nigdy nie będzie mógł zostać ojcem!

Jeśli połączyć taką przeszłość z fizyczną sprawnością i wręcz niezwykłą wytrzymałością — efektem będzie Sol.

— Po co robicie to wszystko? — zapytał Sos. — Po co budujecie gospody, zaopatrujecie je, uczycie dzieci, oznaczacie granice Złych Krajów, nadajecie pro gramy telewizyjne? Nikt wam za to nie dziękuje. Wiecie, jak was nazywają.

— Ci, którzy pragną nieproduktywnego niebezpieczeństwa i chwały, mogą nas opuścić — odparł Jones. — Nie którzy z nas jednak wolą spokojniejszy, bar dziej użyteczny sposób życia. To wszystko kwestia usposobienia, które może się zmieniać z wiekiem.

— Ale moglibyście to wszystko zachować dla siebie! Gdyby... gdybyście nie karmili i nie ubierali wojowników, zginęliby.

— To jest wystarczający powód, aby nadal to robić, nie uważasz?

Sos potrząsnął głową.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

— Nie mogę ci udzielić odpowiedzi. Z biegiem czasu sam ją znajdziesz i wte dy, być może, przyłączysz się do nas. Tymczasem jednak zawsze jesteśmy gotowi służyć ci pomocą, jak to tylko możliwe.

— Jak możecie pomóc mężczyźnie, który pragnie mieć broń, a złożył przysięgę, że nie będzie używał żadnej, i który kocha kobietę związaną z innym?

Jones ponownie się uśmiechnął.

— Wybacz mi, Sos, lecz te problemy wydają mi się przejściowe. Jeśli spoj rzysz na to obiektywnie, myślę, że sam zrozumiesz, iż masz inne możliwości.

— Inne kobiety? Wiem, że słowo "panna", które wymawia pan przed imieniem swej sekretarki, oznacza, że szuka ona męża, ale nie potrafię być aż tak rozsądny. Byłem gotów, ofiarowując swą bransoletę, dać szansę każdej dziewczynie, ale w jakiś sposób doszło do tego, że wszystkie moje pragnienia przybrały postać Soli. I ona również mnie kocha.

— No cóż, tak to już jest z miłością — zgodził się Jones z żalem w głosie.

— Jeśli jednak dobrze zrozumiałem, ona zgodzi się odejść z tobą, gdy spełni swe zobowiązania względem Sola. Powiedziałbym, że to dość dojrzałe podejście z jej strony.

— Nie odejdzie ze mną ot tak sobie! Pragnie imienia, które zapewni jej szał cunek, a ja nawet nie noszę broni.

— Zrozumiała jednak, ile naprawdę znaczysz w plemienu. Czy jesteś pewien, że to jej pragnienie, nie twoje własne? Pytam o to, czy chcesz zdobyć sławę w walce.

— Wcale nie jestem tego pewien — przyznał Sos. Gdy powiedział głośno, czego pragnie, wydało mu się to znacznie mniej rozsądne niż przedtem.

— Wszystko więc sprowadza się do kwestii broni. Ale ty wcale nie poprzysiągłeś, że wyrzekniesz się wszystkich jej rodzajów. Jedynie sześciu standardowych.

— Na jedno wychodzi, prawda?

— Bynajmniej. W historii Ziemi znano setki rodzajów broni. Stworzyliśmy sześć standardowych typów dla wygody, ale możemy dostarczyć niestandardowe prototypy, i jeśli któryś z nich zdobyłby popularność, moglibyśmy zawrzeć umowę na masową produkcję. Na przykład wszyscy używacie prostego miecza z garścią, opartego na modelach średniowiecznych, choć oczywiście lepszej jakości. Jest jeszcze jednak bułat — zakrzywiona szabla — i rapier, używany w szermierce. Rapier nie wygląda tak imponująco jak pałasz, jest jednak zapewne groźniejszy w bezpośrednim starciu. Moglibyśmy...

— Wyrzekłem się miecza we wszystkich postaciach. Nie mam zamiaru szukać wybiegów ani spierać się o definicje.

— Podejrzałem, że tak do tego podejdziesz. Wykluczasz więc wszystkie warianty miecza, maczugi czy pałki?

— Tak jest.

— My natomiast wykluczamy pistolety, wiatrówki i bumerangi. Wszystko, co działa na odległość lub jest poruszane inną siłą niż ręka wojownika. Pozwalamy używać łuków i strzał podczas polowania, ale w Kręgu i tak nie przyniosłyby one wiele pożytku.

— A więc wykluczylismy już wszystko.

— Och, nie, Sos. Ludzka inwencja jest znacznie większa, zwłaszcza w odniesieniu do sposobów niszczenia. Na przykład bicz. Na ogół myśli się o nim jako o narzędziu kary, ale jest on też potężną bronią. To długi cienki rzemień przytwierdzony do krótkiej rączki. Można nim, stojąc w bezpiecznej odległości, zerwać człowiekowi koszulę z pleców drobnymi, błyskawicznymi poruszeniami dłoni, skrępować mu ramiona i zwalić z nóg albo wybić oko. To bardzo niebezpieczna broń w doświadczonym ręku.

— W jaki sposób może obronić przed ciosem maczugi?

— Sądzę, że w taki sam sposób jak sztylety. Władający biczem musi po prostu pozostać poza jej zasięgiem.

— Chciałbym być w stanie się bronić, tak samo jak atakować.

Sos był jednak coraz mocniej przeświadczony, że istnieje jakaś odpowiednia dla niego broń. Nie zdawał sobie sprawy, że Jones ma tak dużą wiedzę praktyczną. Czy to nie w poszukiwaniu podobnego cudu tu trafił?

— Być może będziemy musieli improwizować — powiedział Jones, szarpiąc palcami kawałek struny. — Sieć byłaby dobra w obronie, ale... — Jego oczy wciąż wpatrywały się w strunę. Twarz przybrała skupiony wyraz. — To może być to!

— Struna?

— Garota. Kawałek sznura używany do duszenia ludzi. Zapewniam cię, że jest całkiem skuteczna.

— Ale jak mógłbym się zbliżyć do przeciwnika ze sztyletem na tyle, by go udusić, zanim wypruje mi wnętrzności? Poza tym to nie zatrzyma ciosów miecza czy maczugi.

— Odpowiednio długi kawałek zatrzyma. Właściwie wyobrażam sobie coś, co bardziej

przypominałoby łańcuch — giętki, ale wystarczająco mocny, by odbić cios miecza, i dostatecznie ciężki, by oplątać maczugę. Może... może metalowy sznur. Jestem pewien, że byłby dobry zarówno w ataku, jak i obronie.

— Mam nadzieję.

Sos spróbował wyobrazić sobie sznur w roli broni, lecz nie udało mu się.

— Albo bolas — ciągnął Jones, dając się ponieść myślom. — Rzecz jasna, nie wolno by ci było rzucać całym, ale obciążone końce... chodźmy na dół, do magazynu. Zobaczmy, co się da wymyślić.

Panna Smith ponownie uśmiechnęła się do Sosa, gdy ją mijali, lecz on udał, że tego nie zauważył. Miała bardzo miły uśmiech, włosy gładko ułożone, ale nie można było porównywać jej z Sola.

Tego dnia Sos zdobył bron, upłynęło jednak pięć miesięcy, zanim uznał, że opanował ją na tyle, by znowu wyruszyć na szlak. Jones pożegnał go ze smutkiem.

— Dobrze było mieć cię znowu u nas, Sos, choćby tylko przez tych kilka miesięcy. Gdyby ci nie wyszło...

— Nie wiem — odrzekł Sos, nie chcąc do niczego się zobowiązywać.

Głupi zaszcebiotał.

Rozdział 11

Podobnie jak dwa lata temu Sos wyruszył na poszukiwanie szczęścia. Wtedy został Solem Mieczem. Nie podejrzewał, co przyniesie mu to imię, które sam so bie wybrał. Teraz był Sosem Sznurem. Wtedy walczył w Kręgu dla przyjemności i sławy lub z powodu drobnych sprzeczek. Teraz robił to, by doskonalić technikę. Wtedy interesowały go wszystkie kobiety. Teraz śnił tylko o jednej.

Ta blondynka, panna Smith, miała jednak pewne cechy, które w innej sytuacji by go zaintrygowały. Na przykład potrafiła czytać i pisać, a to była rzadkość w świecie koczowników. Co prawda żyła w instytucji prowadzonej przez Odmieńców, miał jednak pewność, że opuściłaby ją, gdyby o to poprosił. Nie zrobił tego... i teraz, przez chwilę, zastanowił się, czy nie popełnił błędu.

Pomyślał o Soli i tym przegnał wszelkie inne fantazje.

Gdzie było teraz plemię Soła? Nie miał pojęcia. Mógł tylko wędrować, dopóki czegoś o nim nie usłyszy, a potem wyruszyć w pościg. Cały czas będzie doskonalił swoje umiejętności. Miał teraz broń i z jej pomocą zamierzał zdobyć żonę, której pragnął.

Była wczesna wiosna. Na drzewach pojawiły się pierwsze pączki. Jak zwykle o tej porze roku mężczyźni sprowadzili rodziny do gospod. W małych namiotach bowiem nocne przymrozki były nie do zniesienia. Przybywały tam również samotne młode kobiety, marzące o szczególnych triumfach. W zatłoczonej gospodzie Sos spał na podłodze, nie chcąc dzielić łóżka, gdyż oznaczałoby to konieczność rozstania się z bransoletą. Rozmawiał z ludźmi na różne tematy. Plemię Soła? Nie, nikt nie wiedział, gdzie się obecnie znajduje, choć niektórzy o nim słysze li. Wielkie plemię, chyba z tysiąc wojowników. Może powinien zapytać któregoś z wodzów, oni zwykle śledzą podobne rzeczy.

Drugiego dnia Sos wdał się w walkę o honor z wojownikiem używającym pałkę, który podał w wątpliwość, czy zwykły kawałek sznura można na serio traktować jako broń. Sos odparł, że gotów jest to pokazać w towarzyskim pojedynku. Gdy obaj mężczyźni wstąpili do Kręgu, wokół zebrała się grupa ciekawskich.

Dzięki intensywnym ćwiczeniom ciało Sosa było w lepszej kondycji niż kiedykolwiek. Sądził, że osiągnął pełną dojrzałość dwa lata temu, lecz jego mięśnie nadal się rozrastały. W gruncie rzeczy wydawał się coraz bardziej muskularny. Stał się potężnym mężczyzną o wielkiej sile. Czasami zastanawiał się, czy nie jest to wpływ promieniowania i czy mogłoby ono oddziaływać na niego w taki sposób.

Fizycznie był przygotowany, upłynęło jednak sporo czasu, odkąd ostatni raz wstąpił z bronią do

Kręgu. Nagle o władnęła nim niepewność. Dłonie mu zwilgotniały. Czuł się nieswojo na tej arenie, gdzie rozstrzygała sprawność fizyczna. Czy umiał jeszcze walczyć? Musiał, gdyż w tym pokładał wszystkie swoje nadzieje.

Jego sznur był cienką metalową liną o długości dwudziestu pięciu stóp, obciążoną na obu końcach. Wędrując niósł ją owiniętą wokół barków. Ważyła dobre kilka funtów.

Głupi nauczył się już uważać na sznur. Sos częściowo go odwinął, wziął w jedną rękę luźną pętlę i zwrócił się w stronę rywala. Ptak pospiesznie odleciał na najbliźsze drzewo. Obie pałki błysnęły, gdy przeciwnik zaatakował. Prawą próbował zadać cios w głowę, podczas gdy lewą trzymał w pozycji obronnej. Sos odskoczył na drugą stronę Kręgu. Gdy rozpoczęła się walka, zdenerwowanie ustąpiło. Wiedział, że da sobie radę. Gdy przeciwnik ponownie ruszył naprzód, sznur wystrzelił do przodu, zawiązując pętlę na jego nadgarstku. Wystarczyło szarpnięcie, by mężczyzna zachwiał się i poleciał do przodu.

Sos pociągnął z wprawą. Sznur zwolnił uścisk, dokładnie tak jak na ćwiczeniach, i wrócił do wyciekającej dłoni. Rywal ponownie ruszył do przodu, zadając szybkie ciosy przy użyciu obu pałek, tak by pojedyncza pętla nie mogła ich powstrzymać. Sos zarzucił mu środkowy odcinek sznura na szyję, pochylił się pod jego ramieniem i ponownie przeskoczył na przeciwległą stronę areny. Pętla zacięła się do tyłu, ciągnąc za sobą bezradnego przeciwnika.

Kolejne szarpnięcie i sznur znowu się zwolnił. Sos mógł zostawić pętlę zaciętą i zakończyć walkę natychmiast. Chciał jednak udowodnić — i innym, i sobie — że sznurem można zwyciężać na wiele różnych sposobów; chciał również odkryć słabe punkty swej broni, zanim będzie musiał stoczyć poważną walkę.

Za trzecim razem wojownik z pałkami zbliżał się ostrożniej. Trzymał jedną rękę w górze, by się osłonić przed wijącym się jak wąż sznurem. Przekonał się już, że lina nie jest zabawką, lecz groźną bronią. Skoczył nagle do przodu, pragnąc zadać zaskakujący cios. Sos odpowiedział błyskawicznym uderzeniem końcówką sznura w czoło.

Mężczyzna zatoczył się do tyłu. Wiedział już, że przegra. Tuż nad jego oczyma pojawiła się czerwona pręga. Jasne było, że gdyby Sos zechciał, mógłby uderzyć sznurem o cal niżej i zadać straszliwe obrażenia. I tak zresztą oczy wojownika zaszyły łzami i musiał uderzać pałkami niemal na oślep.

Sos opuścił gardę. Zastanawiał się, jak skończyć walkę nie robiąc krzywdy przeciwnikowi, ten jednak zadał mu przypadkowo silny cios w głowę. Pałka nie była maczugą, mogła jednak z łatwością zwalić człowieka z nóg. Sos zachwiał się przez chwilę. Rywal natychmiast przystąpił do ataku drugą pałką, zasypując go ciosami w głowę i ramiona, zanim ten zdążył uskoczyć.

A jednak miał zbyt długą przerwę! W żadnym wypadku nie powinien był zaprzestawać ataku. Szczęście, że przeciwnik uderzał odruchowo, a nie z wyrachowaniem, i przez to niezbyt celnie. Otrzymał nauczkę i z pewnością jej nie zapomniał.

Sos trzymał się z dala od przeciwnika, zanim nie ochłonął, po czym zdecydował się zakończyć walkę. Owiniął sznur wokół nóg mężczyzny niczym lasso i szarpnięciem obalił go na ziemię. Nachylił się nad leżącym rywalem, tym razem wciągając głowę w ramiona, by osłonić ją przed ciosami, i skrzepował mu ramiona drugą pętlą. Następnie złapał obiema dłońmi za sznur i dźwignął.

Przeciwnik powędrował w górę, związany i bezradny. Sos zatoczył nim pełny łuk i wypuścił z rąk. Ciało wyleciało poza obszar areny i wylądowało na trawniku za żwirem. Mężczyźni nie stała się wielka krzywda, został jednak upokorzony.

Sznur sprawdził się w walce.

W najbliższych tygodniach Sos zdobył uznanie również w rywalizacji z innymi rodzajami broni. Jego sznur szybko usidlał rękę z mieczem lub maczugą, para liżując atak, pętla zaś trzymała na dystans błyskawicznie poruszające się sztylety. Tylko w walce z drągiem miał poważne kłopoty. Długa tyczka skutecznie unie możliwiała spętanie przeciwnikowi rąk. By to uczynić, musiałby

znacznie wy dłużyć lasso. Ponadto drąg stale zapląty wał się w sznur, spowalniając jego kontr ataki. Gdziekolwiek Sos próbował zarzucić pętlę, zatrzymywał ją sztywny metal. Na szczęście drąg był bronią głównie defensywną, dzięki czemu zwykle starcza ło czasu na znalezienie okazji do zwycięskiego ataku. Sos wystrzegął się jednak walki z drągiem, gdy mu się śpieszyło.

Wciąż nie miał żadnych informacji o plemienu Sola, zupełnie jakby zniknęło bez śladu. Był jednak pewien, że tak się nie stało. W końcu skorzystał z rady, którą dano mu pierwszej nocy, i postanowił odszukać najbliższe duże plemię.

Okazało się, że była nim grupa Pita. Sos nie był pewien, czy ich przywódca zechce rozmawiać z samotnym wojownikiem tylko dlatego, że ten go o to popro si. Mówiono, że był skryty i grubiański. Sos jednak nie miał partnera, z którym mógłby wyzwać parę do walki. Nie był skłonny powierzyć swego życia w Kręgu żadnemu z ludzi, których spotkał.

Wzruszył ramionami i skierował się do obozu Pita. Znajdzie sposób, by pokonać tę przeszkodę, gdy już tam dotrze.

W trzy dni później napotkał olbrzymiego mężczyznę z maczugą, idącego spo kojnym krokiem w przeciwną stronę. Podrzucił on swoją broń w powietrzu i śpie wał fałszywie. Sos zatrzymał się zaskoczony, nie mogło jednak być wątpliwości.

To był Gog, niezmordowany wojownik, który obijał Sola przez pół dnia dla samej radości walki.

— Gog! — krzyknął.

Olbrzym zatrzymał się, nie poznając go.

— Kto ty? — zapytał wskazując na niego maczugą.

Sos wyjaśnił mu, gdzie się spotkali.

— Dobra walka! — krzyknął Gog przypomniawszy sobie Sola. Nie wiedział jednak, dokąd udało się jego plemię, ani nie obchodziło go to.

— Dlaczego nie wyruszysz ze mną? — zapytał Sos myśląc o dwójkach Pita. Walczyć w parze z takim wojownikiem...! — Szukam Sola. Może znajdziemy go razem. Może będzie następna dobra walka.

— Dobra! — zgodził się Gog z zapalem. — Chodź ze mną!

— Aleja chcę pogadać z Pitem. Idziesz w złą stronę.

To rozumowanie nie trafiło do Goga.

— W tę stronę! — powiedział stanowczo, podzuczając maczugę.

Sosowi przyszedł do głowy tylko jeden sposób na to, by go przekonać, i był to sposób niebezpieczny.

— Będę z tobą o to walczył. Jeśli wygram, pójdziesz w moją stronę, dobra?

— Dobra! — zgodził się Gog z przerażającym entuzjazmem. Perspektywa walki zawsze go podniecała.

Sos musiał się cofnąć, tracąc dwie godziny, aby dojść do najbliższego Kręgu. Było już późne popołudnie, olbrzym jednak palił się do walki.

— Zgoda, ale o zmierzchu kończymy.

— Dobra.

Gdy weszli do Kręgu, zbiegli się świadkowie, chciwi widowiska. Niektórzy widzieli już Goga w akcji lub o nim słyszeli, inni natknęli się na Sosa. Snuto wiele domysłów, jak się zakończy to niecodzienne starcie. Większość próbowała ocenić, ile minut lub sekund będzie potrzebował Gog, aby odnieść zwycięstwo.

Najgorsze obawy Sosa się potwierdziły. Gog rzucił się naprzód z maczugą, nie zważając na przeszkody. Sos uchylał się, kluczył i hamował. Czuł się nagi bez masywnej broni. Wiedział, że prędzej czy później straszliwa maczuga go do sięgnie. Gog najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego ciosy ranią przeciwników. Dla niego była to tylko zabawa.

Sos szybkim ruchem zarzucił mu pętlę na ramię, lecz Gog tylko się zamachnął nie zmieniając tempa, szarpnął za sznur i pociągnął Sosa wraz z nim. Siła olbrzy ma była niewiarygodna! Sos zarzucił mu garotę przez głowę i zacisnął na gardle, lecz Gog nadal wymachiwał maczugą, jakby nic się nie stało. Kolumnę jego szyi otaczały mięśnie tak potężne, że nie sposób go było udusić.

Widzowie gapił się na to z otwartymi ustami, lecz Gog w ogóle ich nie do strzegał. Sos ujrzał, że paru gapiów dotknęło własnej szyi. Wiedział, że zdumiała ich odporność Goga. Dał sobie spokój z duszeniem i skoncentrował się na stopach przeciwnika. Gdy nadarzyła się okazja, związał je razem i szarpnął za sznur, lecz olbrzym po prostu stał w miejscu, rozstawiwszy nogi. Zachowywał równowagę wymachując maczugą i wałnął w napięty sznur z taką siłą, że jej koniec wypadł Sosowi z obolałych rąk.

Zanim zdążył go podnieść, Gog już się uwolnił i znowu wymachiwał radośnie. Do tej pory Sosowi udało się uniknąć ciosów cięższych niż muśnięcia, lecz i te były wystarczająco dotkliwe. Rozstrzygnięcie było tylko kwestią czasu, chyba że wycofa się z Kręgu, zanim oberwie.

Nie mógł się poddać! Potrzebował pomocy tego człowieka, a poza tym mu się udało się upewnić, że jego własna broń jest równie skuteczna przeciw wybitnemu wojownikowi, co i przeciwnemu. Zdecydował się na desperacki fortel.

Zarzucił pętlę nie na rękę Goga, lecz na jego maczugę, tuż nad rękojeścią, zamiast jednak zacisnąć, puścił sznur luźno. Uchyliwszy się przed ciosem Goga, rzucił resztę sznura na ziemię i stanął na nim obiema nogami, wsparty na linie całym ciężarem.

Gdy maczuga zatoczyła swój łuk, sznur się naprężył. Szarpnięcie zważyło Sosa z nóg, lecz na maczugę zadziałała równa siła, i to dokładnie w momencie, gdy olbrzym najmniej się tego spodziewał. Pociągnięta nagle bron wypadła Gogowi z dłoni i wyleciała z Kręgu.

Ten gapił się na utraconą maczugę z otwartymi ustami. Nie zrozumiał, co się stało. Sos wstał i podniósł swój sznur, nadal jednak nie był pewien, czy potrafi sprawić, by przeciwnik uznał się za pokonanego.

Gog chciał ruszyć po maczugę, zatrzymał się jednak, gdy zrozumiał, że nie może opuścić Kręgu. Był zbity z tropu.

— Remis! — krzyknął Sos pod wpływem nagłego im puls. — Nierozegrana! Jedzenie! Koniec!

— Dobra! — odparł Gog bezmyślnie. I zanim zdążył się połapać, co to oznacza, Sos złapał go za ramię przyjacielskim gestem i wyprowadził z areny.

— To był remis — powiedział. — Jak z Solem. To znaczy, że nikt nie wygrał i nikt nie przegrał. Jesteśmy równi. Następnym razem musimy walczyć wspólnie. Jako para.

Gog zastanowił się nad tym. Uśmiechnął się.

— Dobra!

Zgadzał się ze wszystkim, jeśli tylko odpowiednio go przekonano.

Tej nocy nie znalazły się żadne kobiety poszukujące bransolety. Gog rozejrzał się zakłopotany po gospodzie, okrążył centralny filar i wreszcie włączył telewizor. Przez resztę wieczoru jego uwagę zaprzętały milczące, gestykulujące postacie. Od czasu do czasu, gdy pokazywano kreskówkę, uśmiechał się z przyjemnością. Sos nigdy dotąd nie widział, by ktoś oglądał telewizję przez dłuższy czas.

Po dwóch dniach odnaleźli wielkie plemię Pita. Na spotkanie wyszła im dwójka heroldów. Podejrzenia Sosa okazały się słuszne. Wódz nie chciał nawet z nimi rozmawiać.

— Bardzo dobrze. Wyzywam go do walki w Kręgu.

— Ty — zapytał sucho herold stojący po lewej — i kto jeszcze?

— Ten oto Gog Maczuga.

— Jak sobie życzysz. Najpierw będziecie walczyli zjedną z naszych słabszych par!

— Jeden, dwa, trzy razy z rzędu — krzyknął Gog. — Dobrze, dobrze!

— Mój przyjaciel ma na myśli — ciągnął spokojnie Sos — że spotkamy się z waszą pierwszą,

drugą i trzecią parą po kolei. — Nadał głosowi wyraźnie drwiący ton. — Potem odsprzedamy tych wojowników z powrotem waszemu wodzowi w zamian za potrzebną nam wiadomość. Po walce i tak nie dadzą rady wędrować dalej.

— Zobaczmy — odparł chłodno tamten.

Pierwszym zespołem Pita okazała się para mieczy. Dwaj mężczyźni jedna kowego wzrostu i budowy być może byli braćmi. Wydawało się, że nie muszą na siebie patrzeć, by znać nawzajem swe położenie i postawę. To była świetnie wyćwiczona para. Sos miał pewność, że walczyli już razem od wielu lat, two rząc bardzo groźną parę, lepszą niż jakakolwiek z tych, które trenował w obozie w Złym Kraju. Natomiast on i Gog nigdy przedtem nie walczyli razem. W grun cie rzeczy żaden z nich nigdy nie walczył w zespole, a Gog ledwo rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi.

Sos jednak liczył na to, że przeciwnicy nie znali możliwości sznura, a Gog to był Gog.

— Pamiętaj tylko — ostrzegł go. — Jestem po twojej stronie. Nie uderz mnie.

— Dobra! — zgodził się Gog z odrobiną niepewności.

Uważał, że wszystko, co znajduje się z nim w Kręgu, to nieprzyjaciel, i wciąż nie rozumiał dokładnie zasad tej szczególnej walki.

Para mieczy współpracowała ze sobą pięknie. Obaj byli mistrzami. Gdy jeden ciął, drugi parował, a gdy pierwszy wracał do poprzedniej pozycji, partner prze chodził do ofensywy. Od czasu do czasu, bez widocznego ostrzeżenia, obaj robili wypad do przodu i ich bliźniacze miecze uderzały jednocześnie w odległości kilku cali od siebie.

Tak to przynajmniej wyglądało w czasie krótkiej rozgrzewki, którą odbyli przed formalną walką. Gdy Gog i Sos stanęli przeciw nim w Kręgu, sytuacja zmieniła się nieco.

Gog, ledwo znalazł się w Kręgu, runął na obu przeciwników naraz, podczas gdy Sos stał z boku, kręcąc końcem sznura, i obserwował sytuację. Ostrzegał tyl ko swojego partnera, kto jest po czyjej stronie, gdyż Gogowi zdarzało się o tym zapomnieć. Niszczycielska maczuga zepchnęła obu przeciwników jednym ciosem na bok, po czym zawróciła, by uderzyć po raz drugi. Parę Pita opanowała konster nacja. Wojownicy nie wiedzieli, co o tym sądzić. Nie mogli niemal w to uwierzyć.

Nie byli jednak tchórzliwi czy głupi. Bardzo szybko rozdzielili się. Jeden z nich spróbował atakować Goga z przodu, drugi zaś zaszedł go z boku, by ciąć pod kątem.

W tym momencie sznur Sosa owinął się wokół jego nadgarstka. To był jedyny ruch, jaki wykonał w tej walce Sos, ale to wystarczyło. Przeciwnicy, wypchnięci przez Goga, upadli po dwóch przeciwnych stronach Kręgu. Sos miał rację: nie byli zdolni do wędrówki.

Druga para składała się z maczug. Dobry pomysł — pomyślał Sos z uznaniem o strategu Pita — ale nie dość. Gog z animuszem skosił obu przeciwników. Sos musiał się tylko trzymać w bezpiecznej odległości. Walka skończyła się jeszcze szybciej niż pierwsza.

Strateg Pita jednak wyciągnął wnioski z tych doświadczeń. Trzecią parę two rzyły drąg i siec.

Sos natychmiast zrozumiał, że to oznacza kłopoty. Dopiero niedawno, gdy radził się swego mentora, dyrektora Jonesa, dowiedział się o istnieniu nietypo wych broni. Sam fakt, że tamten wojownik miał siec i umiał się nią posługiwać w Kręgu, oznaczał, że był on szkolony przez Odmieńców, mógł więc okazać się niebezpieczny.

Tak było istotnie. Gdy tylko cała czwórka znalazła się w Kręgu, tamten zarzu cił siec i Gog został całkowicie skrępowany. Usiłował się zamachnąć, lecz giętkie nylonowe sznury nie puściły. Próbował zerwać z siebie siec, ale nie wiedział, jak to zrobić. Tymczasem przeciwnik zaciskał cienką, nadzwyczaj mocną siatkę coraz ciaśniej i ciaśniej, aż Gog potknął się i padł na ziemię niczym olbrzymi kokon.

Przez cały ten czas Sos rozpaczliwie starał się mu pomóc, lecz drąg utrzymy wał go na dystans. Przeciwnik nie wykonywał agresywnych ruchów, a tylko blo kował poczynania Sosa, radząc sobie bardzo skutecznie. Nie oglądał się w ogóle za siebie, mając pełne zaufanie do partnera. Dopóki skupiał uwagę wyłącznie na Sosie, ten nie mógł mu nic zrobić.

Sieczarz owinął nieszczęsnego Goga i zaczął wytaczać go z Kręgu. Sos mógł przewidzieć, co się stanie. Sieczarz, pozbawiony własnej broni, spróbuje złapać za sznur nie zważając na ciosy, po czym zacznie ciągnąć, podczas gdy jego partner zaatakuje. Zostanie dwóch przeciw jednemu. Wojownik z drągiem będzie nacie rał na Sosa, sieczarz tymczasem poradzi sobie z giętkim sznurem, pochwyconym gołymi rękami.

— Tocz się, Gog! Tocz się! — krzyknął Sos. — Z powrotem do Kręgu! Tocz się!

Pierwszy raz w życiu Gog zrozumiał natychmiast. Jego owinięte w siec ciało zgięło się jak potężna gaśienica, stawiając opór sieczarzowi, który próbował przetoczyć je nad krawędzią Kręgu. Gog był zwalistym mężczyzną i niemal nie dało się go poruszyć wbrew jego woli. Gdy chrząknął, wojownik z drągiem spojrział w tamtą stronę. To był jego błąd.

Sznur Sosa owinął mu się wokół szyi. Mężczyzna, dusząc się, padł na ziemię. Kibice Pita jęknęli. Sos przeskoczył nad jego przygarbionym ciałem i wylądował na plecach męczącego się z Gogiem sieczarza. Objął go ramionami, dźwignął do góry i rzucił na plecy wstającego właśnie z ziemi partnera. Szybka seria pętli i obaj mężczyźni zostali związani, drąg zaś sterczał na krzyż pomiędzy nimi. Sos nie był na tyle głupi, by zbliżyć się do nich ponownie. Nadal mogli wykonywać wspólne manewry, bądź też pochwycić go i już nie puścić. Pochylił się więc nad siecią, usiłując zerwać ją z ciała Goga.

— Leż spokojnie! — krzyknął mu do ucha, gdy kokon nadal się opierał. — To ja, Sos!

Tymczasem dwaj ludzie Pita uwolnili się szybko. Mieli teraz zarówno drąg, jak i sznur, podczas gdy ciało Goga było nadal skrępowane. Tylko nogi zostały oswobodzone ze splątanej sieci. Sos grał na czas i przegrał.

— Tocz się, Gog, tocz! — krzyknął ponownie i pchnął partnera energicznie w odpowiednim kierunku.

Gog starał się wykonać polecenie kopiąc nogami, lecz poruszał się niezgrabnie. Obaj przeciwnicy z łatwością przeskoczyli nad nim... i wyrzucony przez Sosa koniec sieci owinął się im wokół talii.

Wszyscy czterej upadli w plątaninie sieci i sznura. Sos odzyskał swój oręż, szybko opasał nim całą trójkę i związał szarpiący się toból. Gog ujrzawszy, że sieczarz jest skrępowany tak samo jak on, uśmiechnął się spod siatki i dźwignął cielsko, starając się tamtego zmiażdżyć.

Sos wydobyl drąg i wycelował jego tępy koniec w głowę właściciela.

— Stój! — krzyknął herold Pita. — Poddajemy się! Poddajemy!

Sos uśmiechnął się. W rzeczywistości wcale nie zamierzał zadać tak nieczy stego ciosu.

— Pitowie będą z wami rozmawiać jutro — oznajmił herold z mniejszą już rezerwą, obserwując, jak trzech mężczyzn wyzwala się z mimowolnego uścisku.

— Dziś w nocy możecie skorzystać z naszej gościnności.

Nie była to zła gościnność. Po obfitym posiłku Sos i Gog udali się do naj bliższej gospody, którą plemię Pita zwolniło dla nich. Pojawiły się dwie ładne dziewczyny, pragnące ich bransolet.

— Nie dla mnie — powiedział Sos myśląc o Soli. — Bez obrazy.

— Biorę obie! — krzyknął Gog.

Sos zostawił go, aby oddał się swoim przyjemnościom, sam zaś zasiadł przed telewizorem.

Rankiem dowiedział się, dlaczego Pitowie byli tak tajemniczy i dlaczego stwo rzyli plemię walczących parami. Byli bliźniakami syjamskimi, zrosniętymi w pa sie. Obaj nosili miecze i Sos był pewien, że podczas walki współpracowali ze sobą najlepiej ze wszystkich par.

— Tak, wiemy o plemieniu Sola — odezwał się lewy Pit — a raczej plemio nach. Dwa miesiące temu podzielił swych ludzi na dziesięć grup po stu wojowni ków każda. Wszystkie teraz wędrują po kraju i nadal się rozrastają. Jedna z nich niedługo tu przybędzie, by spotkać się z nami w Kręgu.

— Tak? Kto stoi na jej czele?

— Tor Miecz. Podobno jest zdolnym dowódcą.

— To prawdopodobne.

— Czy możemy zapytać, jaki masz interes do Sola? Jeśli chcesz się przyłączyć do jakiegoś plemienia, możemy zaoferować tobie i twojemu partnerowi korzystne warunki...

Sos odmówił uprzejmie.

— To sprawa osobista. Jestem jednak pewien, że Gog z radością zostanie sam przez kilka dni, by poćwiczyć z waszymi parami, dopóki nie zabraknie wam męż czyzn, kobiet i jedzenia...

Rozdział 12

— Czy to jest plemię Soła, Mistrza Wszystkich Broni? — zapytał Sos.

Nie czekał, aż grupa Tora przybędzie do obozu Pitów, choć chętnie zostałby świadkiem umyślowego pojedynku pomiędzy Torem a ich strategiem. Najprawdopodobniej nie byłoby rozstrzygnięcia. Szukał Sola i teraz, gdy już wiedział, gdzie go znaleźć, dalsza zwłoka była nie do zniesienia.

I tak zresztą spotkał Tora po drodze i otrzymał od niego kolejne wskazówki. Mimo to trudno mu było uwierzyć, że trafił do właściwego obozu.

Wszędzie widać było ćwiczących wojowników. Sos nie znał żadnego z nich. Była to jednak jedyna większa grupa w okolicy, nie mógł więc pomylić kierunku. Czyżby wędrował przez cały miesiąc po to tylko, by napotkać pogromcę Soła? Miał nadzieję, że tak nie było. W obozie panowała dyscyplina, ale jego atmosfera nie spodobała się Sosowi.

— Zgłoś się do Vita Miecza — odpowiedział mu pierwszy zagadnięty.

Sos odszukał główny namiot i zapytał o Vita.

— Kim jesteś? — odezwał się stojący tam strażnik, smagły wojownik ze szty letem, patrząc na ptaka na jego ramieniu.

— Wstąp ze mną do Kręgu, a pokażę ci, kim jestem — powiedział rozgniewany Sos. Miał już dosyć tych utrudnień.

Strażnik gwizdnął; jeden z mężczyzn odłączył od grupy ćwiczących i podbiegł do niego.

— Ten intruz pragnie dać się poznać w Kręgu — powiedział pogardliwym tonem. — Wyświadczyć mu tę uprzejmość.

Mężczyzna odwrócił się, by przyjrzeć się Sosowi.

— Mok Morgensztern! — krzyknął Sos.

Mok rozpromienił się.

— Sos! Wróciłeś... i Głupi też. Nie poznałem cię. Ależ masz mięśnie!

— Znasz tego człowieka? — zapytał strażnik.

— Czy go znam? To Sos... człowiek, który stworzył to plemię! Przyjaciel Soła!

Strażnik wzruszył obojętnie ramionami.

— Niech to udowodni w Kręgu.

— Zwariowałeś? On nie nosi... — Mok przerwał. — A może teraz nosisz?

Sos miał ze sobą sznur, lecz tamten nie uznał go za bron.

— Noszę. Chodź, to ci pokażę.

— Dlaczego nie wypróbujesz jej przeciw drągowi czy pałkom? — zasugerował Mok dyplomatycznie. — Moja bron jest...

— Niebezpieczna? Zdaje się, że nie doceniasz moich możliwości.

— Nie — zaprotestował Mok z widoczną nieszczerością. — Wiesz, jak to jest z moją bronią. Jedno przypadkowe uderzenie...

Sos roześmiał się.

— Zmuszasz mnie, bym udowodnił, że mówię prawdę. Chodź, to cię przeko nam.

Mok udał się wraz z nim do Kręgu, zaniepokojony.

— Jeśli coś się stanie...

— Oto moja bron — powiedział Sos podnosząc zwój sznura. — Jeśli boisz się stawić jej czoło, wezwij lepszego wojownika.

Kilku ludzi w pobliżu zachichotało i Mok musiał wstąpić do Kręgu. Sos wie dział, że docinek był niesprawiedliwy, gdyż tamten chciał mu tylko zaoszczędzić ryzyka okaleczenia. Mok nie był tchórzem i skoro wciąż należał do plemienia, na pewno posiadał wystarczające umiejętności. Było jednak ważne, by udowodnić, że sznur jest prawdziwą bronią, gdyż w przeciwnym razie ludzie tacy jak Mok nie uwierzą, iż znów jest wojownikiem.

Przyjaźń przestawała się liczyć po wejściu do Kręgu. Mok uniósł w górę morgensztern i zakręcił kolczastą kulą nad głową, zataczając spiralę. Musiał atakować, gdyż jego bron nie nadawała się do obrony. Sos nigdy przedtem nie walczył prze ciw morgenszternowi i stwierdził, że jest to szczególnie przerażające doświadczenie. Nawet słaby świst powietrza brzmiał złowieszczo.

Uchylił się przed latającą kulą. Zarzucił na nią odcinek sznura, złapał nim metalowy łańcuch, zaplątał go i wyszarpnął kulę, łańcuch i uchwyt z ręki Moka. Ten stanął wytrzeszczając oczy, tak jak poprzednio Gog. Widzowie roześmiali się.

— Jeśli ktoś z was myśli, że da sobie radę lepiej, proszę do środka — zachęcał Sos.

Wojownik z pałkami szybko podjął wyzwanie i równie szybko padł ofiarą dławiącej pętli. Tym razem to Mok się śmiał.

— Chodź, musisz teraz porozmawiać z Vitem!

Po odejściu Sosa przy opuszczonym Kręgu pozostała grupa mężczyzn. Nigdy dotąd nie widzieli czegoś podobnego.

— Cieszę się, że wróciłeś — wyznał Mok, gdy podeszli do namiotu. — Wszystko tu wygląda inaczej, odkąd... — przerwał, gdy zbliżyli się do strażnika.

Tym razem nie mieli kłopotu z wejściem. Mok zaprowadził go przed oblicze dowódcy.

— Słucham? — odezwał się Vit — wysoki, chudy, ponury mężczyzna w średnim wieku, który wydawał się Sosowi znajomy. Jego imię również przywołało mu coś na myśl. Po chwili Sos przypomniał go sobie: wojownik z mieczem, którego Dał Sztylet upokorzył podczas ich pierwszej prawdziwej walki z drugim plemieniem. Czasy rzeczywiście się zmieniły!

— Jestem Sos Sznur. Chcę rozmawiać z Solem.

— Jakim prawem?

Mok zaczął mu tłumaczyć, lecz Sos miał już dość. Wiedział, że Vit go poznał i po prostu celowo robi mu trudności.

— Prawem mojej broni! Jeśli chcesz mi w tym przeszkodzić, wyzwij mnie do walki w Kręgu!

Dobrze było móc sobie pozwolić na podobne reakcje. Wszystko zależało od broni. Sos zdawał sobie sprawę, że zachowuje się niezbyt rozsądnie, i sprawiało mu to przyjemność.

Vit ledwie spojrzał na niego.

— Czy ty jesteś tym Sznurem, który rozbroił Goga Maczugę pięć tygodni temu na wschodzie?

— Tak jest.

Sos zaczynał rozumieć, dlaczego Vit tak wysoko zaszedł. Potrafił doskonale panować nad sobą i znał się na swojej robocie. Najwyraźniej mistrzostwo w Kręgu nie było już koniecznym warunkiem uzyskania funkcji przywódcy.

— Sol przyjmie cię jutro.

— Jutro!

— Dziś go nie ma. Załatwia pewną sprawę. Skorzystaj tej nocy z naszej gościnności.

Nie ma Sola? To brzydko pachniało. Nie musiał już przecież samemu zdobywać nowych wojowników. Dowodził dziesięcioma plemionami, które stanowiły załazek jego Imperium. Nie mógł też udać się na przegląd któregoś z nich, gdyż najbliższe znajdowało się co najmniej o tydzień

drogi stąd.

Z jednego z przedziałów wyszła kobieta i zbliżyła się do nich. Ubrana była w zapierający dech w piersiach obcisły sarong. Włosy miała bardzo długie i czarne.

To była Sola.

Sos ruszył w jej kierunku, lecz Vit zastąpił mu drogę.

— Nie gap się na tę kobietę! Ona należy do Wodza!

Sola podniosła wzrok i rozpoznała go.

— Sos! — krzyknęła, lecz po chwili zapanowała nad sobą. — Znam tego mężczyznę — powiedziała do Vita oficjalnym tonem. — Chcę z nim rozmawiać.

— Nie wolno ci z nim rozmawiać. — Vit nieustępliwie stał pomiędzy nimi.

Sos złapał z wściekłością za sznur, lecz Sola cofnęła się i skryła w swym przedziale. Mok pociągnął go za ramię. Sos zapanował nad sobą i odwrócił się. Cos tu z pewnością nie grało, ale musiał jeszcze zachować ostrożność. Nie postąpiłby mądrze, gdyby zdradził, co go ongiś łączyło z Solą.

— Wszyscy ze starej gwardii odeszli — powiedział Mok ze smutkiem w głosie, gdy wyszli na zewnątrz. — Tyl, Tor, Sav, Tun... nie ma tu już prawie nikogo z ludzi, z którymi budowaliśmy obóz w Złym Kraju.

— Co się z nimi stało?

Znał odpowiedź na to pytanie, chciał jednak jeszcze się upewnić. Im więcej się dowiadywał o tym plemieniu, tym mniej mu się to podobało. Czy Sol nadal rządził, czy też stał się figurantem? Czy doszło do jakiegoś sekretnego spisku, który pozbawił go władzy?

— Dowodzą innymi plemionami. Sol nie ufa żadnemu wojownikowi, które go nie szkoliłeś. Znowu cię potrzebujemy, Sos. Chciałbym, żebyśmy się znaleźli z powrotem w Złym Kraju, jak dawniej.

— Wygląda na to, że Sol ufa Vitowi.

— Nie powierzy mu dowództwa. To jest własne plemię Soła. Kieruje nim osobiście, z pomocą doradców. Vit zajmuje się tylko szczegółami.

— Takimi jak trzymanie Soli pod kluczem?

— Sol każe mu to robić. Nie wolno jej widywać się z nikim, kiedy go nie ma. Zabiłby Vita, gdyby... Mówiłem ci, że wszystko się zmieniło.

Sos zgodził się, głęboko zaniepokojony. Obóz był dobrze zorganizowany, lecz ludzie dla niego obcy. Rozpoznał najwyżej pół tuzina z około setki, którą już widział. Dziwne, najbliższym towarzyszem, jakiego mógł znaleźć w plemieniu Sola, był Mok, z którym poprzednio niemal nic go nie łączyło. W gruncie rzeczy nie było to w ogóle plemię, lecz znany mu tylko z lektur obóz wojskowy, dowodzony przez typowego służbistę. Duch solidarności, którego pielęgnował, zniknął.

Zanocował w małym, jednoosobowym namiocie na skraju obozu. Był zaniepokojony, nie chciał jednak podejmować jakichkolwiek działań, dopóki dokładnie nie zrozumie sytuacji. Najwyraźniej ponury Vit został komendantem obozu dla tego, że ściśle wypełniał rozkazy i pod tym względem zapewne można mu było całkowicie zaufać. Dlaczego jednak zaistniała taka potrzeba? Coś poszło w niewłaściwym kierunku. Nie mógł uwierzyć, że spowodowała to tylko jego nieobecność. Plemię Tora nie przypominało tego, co widział tutaj. Co odebrało duszę dążeniu Soła do założenia Imperium?

Jakaś kobieta podeszła cicho do namiotu.

— Bransoleta? — zapytała stłumionym głosem, z twarzą skrytą w mroku.

— Nie! — warknął, odwracając wzrok od podniecającej, zgrabnej sylwetki, rysującej się na tle odległych wieczornych ognisk.

Kobieta odchyliła siatkę i uklękła, by pokazać twarz.

— Czy chcesz mnie zawstydzić, Sos?

— Nie prosiłem o kobietę — odparł nie patrząc na nią. — Odejdź. Bez obrazy.

Nie poruszyła się.

— Greensleeves — szepnęła.

Poderwał głowę.

— Sola!

— Nigdy nie miałeś w zwyczaju kazać mi czekać, aż mnie rozpoznasz — powiedziała z wyrzutem w głosie. — Wpuść mnie do środka, zanim ktoś mnie zobaczy.

Wgramoliła się do namiotu i zasunęła za sobą siatkę.

— Zamieniłam się z wyznaczoną dziewczyną, więc myślę, że jesteśmy bez pieczni. Niemniej jednak...

— Co tu robisz? Myślałem, że...

Rozebrała się i wpełzła do jego śpiwora.

— Musiałeś ćwiczyć!

— Już nie...

— Och, na pewno! Nigdy nie dotykałam tak muskularnego ciała.

— Chciałem powiedzieć, że już nie jesteśmy kochankami. Jeśli nie chcesz spotkać się ze mną w dzień, ja nie spotkam się z tobą w nocy.

— W takim razie po co tu przybyłeś? — zapytała, opierając się o niego swym wspaniałym ciałem. Po ubiegłorocznej ciąży jej kształty jeszcze się zaokrągliły.

— Aby zdobyć cię z honorem.

— Zdobądź mnie więc! Żaden mężczyzna oprócz ciebie nie dotknął mnie od chwili, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

— Jutro. Oddaj mu jego bransoletę i weź moją. Publicznie.

— Zrobię to — odparła. — A teraz...

— Nie!

Odsunęła się, próbując dostrzec w ciemności jego twarz.

— Mówisz poważnie?

— Kocham cię. Przyszedłem po ciebie. Zdobędę cię jednak z honorem.

Westchnęła.

— Honor nie jest taką prostą sprawą, Sos.

Wstała jednak i zaczęła się ubierać.

— Co tu się stało? Gdzie jest Sol? Dlaczego ukrywasz się przed ludźmi?

— Opuściłeś nas, Sos. To wszystko. Ty byłeś naszym sercem.

— To nie ma sensu. Musiałem odejść. Miałaś urodzić... dziecko. Jego syna.

— Nie.

— Taka była cena za ciebie. Nie zapłacę jej po raz drugi. Tym razem to będzie mój syn, poczęty z moją bransoletą.

— Nic nie rozumiesz! — krzyknęła zirytowana.

Przerwał wiedząc, że nie zgłębił jeszcze tajemnicy.

— Czy ono... umarło?

— Nie! Nie w tym rzecz. To... och, ty głupi, głupi tępaku! Nie...

Zaniemówiła z emocji, odwróciła się od niego i zaczęła łkać. Pomyślał, że ona również stała się bardziej przebiegła niż przedtem. Nie pod dał się, lecz pozwolił jej się wyplakać, leżąc nieruchomo. Po chwili wytarła twarz i wyczołgała się z namiotu. Został sam.

Rozdział 13

Sol był teraz nieco chudszy i poważniejszy, zachował jednak niesamowitą grację i harmonię

ruchów.

— Wróciłeś! — zawołał i uściśnął dłoń Sosa z niezwykłą u niego radością.

— Wczoraj — odrzekł Sos nieco skrępowany. — Widziałem się z Vitem, ale nie pozwolił mi rozmawiać z twój ą żoną, a poza nią właściwie nikogo tu nie znam.

Ile mógł mu powiedzieć?

— Powinna była mimo to przyjść do ciebie. Vit nic nie wie — przerwał i zamyślił się. — Nie układa nam się. Sola trzyma się na uboczu.

A więc nadal go nie obchodziła. Chronił ją ze względu na przyszłego dzie dzica, a teraz nie zadawał sobie nawet trudu, by udawać. W takim razie jednak dlaczego trzymał ją w izolacji? Sol nigdy nie był samolubny.

— Mam teraz bron — oznajmił Sos. — Sznur — dodał, gdy tamten spojrzał na niego.

— Cieszę się.

Wydawało się, że niewiele więcej ma do powiedzenia. Ich ponowne spotkanie było równie kłopotliwe jak rozstanie.

— Chodź — powiedział nagle Sol. — Zobaczysz ją.

Sos podążył za nim do głównego namiotu, podenerwowany. Powinien był oznajmić, że rozmawiał już z Solą, by nie dopuścić do tego udawanego przy witania. Przybył tu w sprawie honorowej, a zachowywał się jak kłamca.

Nic nie układało się tak, jak się spodziewał. Trudno jednak było określić, na czym polegały różnice. Ogarniały go sprawy, nad którymi ciążył jakiś nieuchwytny niepokój. Czuł się jak omotany siecią podczas walki w Kręgu.

Zatrzymali się nad kołyską ręcznej roboty, stojącą w małym przedziale. Sol pochylił się i wydobył z niej śmiejąc się niemowlę.

— To moja córka — powiedział. — W tym tygodniu skończy sześć miesięcy.

Sos stanął jak wryty, jedną ręką przytrzymując sznur. Zabrakło mu słów. Wbił wzrok w czarnowłose niemowlę. Córka! Z jakichś przyczyn taka możliwość nigdy nie przyszła mu do głowy.

— Będzie równie piękna jak jej matka — ciągnął Sol z dumą w głosie. — Popatrz, jak się uśmiecha.

— Tak — zgodził się Sos. Czuł się zupełnie skołowany. Sola miała rację. To nie ptak powinien się nazywać Głupi.

— Chodź — powtórzył Sol. — Weźmiemy ją na spacer.

Podniósł dziecko, posadził je sobie na ramieniu i ruszył naprzód. Sos podążył za nim odrętwiały. Gdyby tylko to wiedział, odgadł, bądź pozwolił sobie powiedzieć ostatniej nocy...

Sola czekała na nich przy wyjściu.

— Chciałabym pójść z wami — powiedziała.

— Chodź, kobieto — rzucił zirytowany Sol. — Idziemy tylko na spacer.

Mała grupa wyszła z obozu i skierowała się do pobliskiego lasu. Było jak za dawnych czasów, gdy wędrowali do Złego Kraju, lecz jednocześnie zupełnie inaczej. Do jakże dziwnych skutków doprowadziła zbieżność imion dwóch wo jowników!

Wszystko było nie tak. Przybył, aby zdobyć kobietę, którą kochał, wyzwąć Solą do walki o nią w Kręgu, jeśli będzie musiał, nie mógł jednak wykrztusić ani słowa. Kochał ją i ona kochała jego, a jej mąż przyznał, że ich małżeństwo nie miało sensu — a mimo to Sos czuł się jak intruz.

Głupi poleciał naprzód, szczęśliwy, że może sobie podokazywać wśród leśnych cieni. Może zresztą były tam jakieś owady.

Taka sytuacja nie mogła trwać.

— Przyszedłem po Solę — oznajmił Sos otwarcie.

Sol nawet się nie zawahał.

— Bierz ją — powiedział, nie przejmując się jej obecnością.

— Będzie nosiła moją bransoletę — ciągnął Sos zastanawiając się, czy Sol go zrozumiał.
— Urodzi moje dzieci. Stanie się Sosą.

— Oczywiście.

To było nie do wiary.

— Nie stawiasz żadnych warunków?

— Tylko ten, byś był moim przyjacielem.

— W takiej sprawie nie ma miejsca na przyjaźń! — wybuchnął Sos.

— Dlaczego nie? Zachowałem kobietę specjalnie dla ciebie.

— Ty... Vit... — Więc całą tę ochronę wprowadzono z myślą o nim, Sosie?

— — Dlaczego... ?

— Nie chciałem, by nosiła gorsze imię — odrzekł Sol.

Właściwie dlaczego nie? Wydawało się, że nie ma przeszkód dla takiej przyjacielskiej zamiany. To jednak nie było w porządku. Nic z tego nie wyjdzie. Nie potrafił wskazać, gdzie tkwi błąd, wiedział jednak, że gdzieś się on kryje.

— Daj mi Soli — powiedziała Sola.

Sol wręczył jej dziecko. Rozpięła suknię i przystawiła Soli do piersi, by karmić ją w czasie spaceru. To było to. Dziecko!

— Czy ona może opuścić matkę? — zapytał Sos.

— Nie — odparła Sola.

— Nie zabierzesz mi mojej córki — powiedział Sol, po raz pierwszy podno sząc głos.

— Nie, oczywiście, że nie. Dopóki jest przy piersi...

— Żadne dopóki — odrzekła stanowczo Sola. — Ona jest również moją córką. Zostanie ze mną.

— Soli jest moja! — powiedział Sol z głębokim przekonaniem. — Ty, kobieto, możesz zostać lub odejść, jak sobie chcesz, nosić czyją zechcesz bransoletę, ale Soli jest moja.

Dziecko podniosło wzrok i zaczęło płakać. Sol wyciągnął rękę i wziął w ramiona dziewczynkę, która ucichła zadowolona. Sola skrzywiła się, nie powiedziała jednak nic.

— Nie roszczę sobie prawa do twojej córki — powiedział po zastanowieniu Sos — ale jeśli nie może opuścić matki...

Sol usiadł na zwałonym drzewie, kołysząc Soli na kolanie.

— Smutek padł na nasz obóz, gdy odszedłeś. Teraz wróciłeś i przyniosłeś ze sobą broń. Rządź moim plemieniem, moim Imperium, tak jak przedtem. Chciał bym, żebyś znowu był u mojego boku.

— Aleja przyszedłem, aby zabrać Solę! Ona nie może tu zostać po zmianie bransolet. To okryłoby wstydem nas obu.

— Dlaczego?

— Sosa karmiąca dziecko Sola?

Sol zastanowił się nad tym.

— Niech więc nosi moją bransoletę. I tak będzie twoja.

— Chcesz nosić rogi?

Sol pohnął córkę na kolanie. Zaczął nucić jej melodię. Po chwili, gdy znalazł odpowiednią tonację, zaśpiewał pięknym, czystym tenorem:

*Gdy dolinę już naszą opuścisz, Nikt się tu nie uśmiechnie
tak miło. Bo podobno zabierzesz stąd sionce, Które
ścieżki nam rozjaśniło. Jeśli kochasz mnie...*

Sos przerwał mu przerażony.

— Słyszałeś!

— Słyszałem, kto okazał się moim prawdziwym przyjacielem, gdy trawiła mnie gorączka i nie mogłem się ruszyć. Słyszałem, kto dźwigał mnie na plecach, gdy groziła mi śmierć. Jeśli muszę nosić rogi, to niech wszyscy widzą, że to ty mi je przyprawiłeś.

— Nie! — krzyknął zgorzszony Sos.

— Zostaw mi tylko moją córkę. Reszta należy do ciebie.

— Tylko nie hańba! — Wydawało się jednak, że już za późno na protesty. — Nie pogodzę się z hańbą, twoją ani moją.

— Ja też nie — cicho odezwała się Soła. — Teraz już nie.

— Między nami nie może być hańby! — sprzeciwił się Soi żarliwie. — Jest tylko przyjaźń.

Spojrzeni na siebie w milczeniu, szukając rozwiązania. Sos rozważał w myślach wszystkie możliwości. Mógł odejść, rezygnując z marzeń o połączeniu się z kobietą, którą kochał, podczas gdy ona pozostałaby z mężczyzną, którego nie kochała i któremu na niej nie zależało. Czy w takiej sytuacji znalazłby pociesze nie u jasnowłosej panny Smith? Mógł też zostać i pogodzić się z niehonorowym związkiem, wiedząc, że nie jest godny swej pozycji ani broni.

Albo też mógł walczyć — o kobietę i honor. Wszystko albo nic.

Sol spojrzał mu w oczy. Doszedł do tego samego wniosku.

— Zrób Krąg — powiedział.

— Nie! — krzyknęła Soła odgadując ich zamiary. — Oba wyjścia są złe!

— Dlatego właśnie musimy rozstrzygnąć to w Kręgu — odparł Sos z żalem w głosie. — Ty i twoja córka musicie być razem. Tak też będzie — bez względu na wynik.

— Zostawię Soli — powiedziała z wysiłkiem. — Nie walczcie ze sobą po raz drugi.

Sol wciąż siedział z dzieckiem w ramionach. Raczej nie przypominał Wodza Imperium.

— Nie. Matce jest jeszcze trudniej porzucić dziecko niż wodzowi porzucić plemię. Nie myślałem o tym przedtem, ale teraz to wiem.

— Nie wzięłeś broni — powiedziała, starając się zapobiec walce.

Sol nie zwrócił na nią uwagi i spojrzał na Sosa.

— Nie chcę cię zabić. Będziesz mógł mi służyć, jeśli zechcesz, albo zrobić, co zapragniesz, ale nigdy więcej nie podniesiesz przeciwko mnie broni — dokończył z naciskiem.

— Ja również nie chcę cię zabić. Będziesz mógł zatrzymać całą swoją broń i Imperium, ale dziecko i matka pójdą ze mną.

To wyjaśniało sytuację. Jeśli Sol zwycięży, Sosowi nie pozostaną żadne hono rowe środki dochodzenia swoich praw; stanie się więc bezradny. Jeśli zwycięży Sos, Sol będzie musiał zrezygnować z dziecka i pozwolić Soli odejść wraz z nim. Zwycięzca będzie miał to, czego pragnie, pokonanemu zostanie tylko...

Choć warunki wydawały się wielkoduszne, pokonanemu zostanie tylko Góra. Sos nie osiedli się tu, by pohańbić bransoletę noszoną przez Solę, ale też nie wróci, okryty wstydem, do ośrodka prowadzonego przez Odmieńców. Nie ulegało też wątpliwości, że Sol odtrąci z pogardą swe Imperium, gdy tylko zostanie pokonany w walce. Zwycięzcy nie zabraknie powodów do smutku, było to jednak uczciwe rozwiązanie. Próba walki.

— Zrób Krąg — powtórzył Sol.

— Ale twoja bron....

Grali na zwłokę. Żaden nie chciał walczyć. Czy było jakieś inne wyjście?

Sol wręczył dziecko Soli i zaczął przyglądać się drzewom. Gdy znalazł odpo wiednie, ogołocił je ręką z liści i gałęzi. Widząc, co zamierza, Sos zaczął oczyszczać z roślinności fragment terenu, by stworzyć mniej więcej równy dysk ziemi odpowiednich rozmiarów. Krąg był prymitywny, lecz żaden z nich nie chciał wtajemniczać całego plemienia.

Stanęli po przeciwnych stronach zaimprovizowanej areny. Sola, pełna niepo koju, trzymała się

blisko nich. Ta scena przypomiała Sosowi ich pierwsze spo tkanie. Tyle, że teraz Sola miała dziecko w ramionach.

Sos znacznie teraz przewyższał wagą swego przeciwnika i trzymał w ręku bron, której tamten z pewnością nigdy nie widział. Sol jednak był najlepszym wojownikiem, jakiego kiedykolwiek widziano na arenie, a narzędzie walki, jaki sobie przygotował, zastępowało drąg.

Jedyną broń, z którą sznur źle sobie radził.

Gdyby Soł miał swój wózek pod ręką, mógłby wybrać miecz, maczugę lub inny oręż, lecz jak zwykle polegając na sobie, wziął to, co mogła mu dać natura, i w ten sposób, choć jeszcze o tym nie wiedział, zapewnił sobie zwycięstwo.

— Po tym nadal będziemy przyjaciółmi — powiedział Sol.

— Będziemy przyjaciółmi.

W gruncie rzeczy to było najważniejsze. Wstąpili do Kręgu.

Dziecko zaczęło płakać.

Rozdział 14

Był środek lata, gdy stanął u stóp Góry. Kopiec z lawy i żużlu wznosił się nad pofałdowanym krajobrazem. Choć ukształtował go Wybuch, był wolny od promieniowania. Krzewy i skarłowaciałe drzewa docierały aż do jego podnóża, lecz na stokach rosły tylko chwasty i porosty.

Sos popatrzył w górę, nie mógł jednak dojrzeć szczytu. Kilkaset jardów pod nim wielkie metaliczne wyrzuszenia, asymetryczne i brzydkie, zasłaniały mu widok. Szybujące wysoko w rzadkiej mgłę drapieżne ptaki zataczały kręgi, obser wując go.

Wiatr nie wiał gwałtownie, zawodził jednak rozpaczliwie na ostrych krawę dziach skalnych. Niebo ponad górą pokrywały żółtawe chmury.

To z pewnością była Góra Śmierci. Nie sposób pomylić jej z niczym innym.

Dotknął palcami ramienia i uniósł w dłoni Głupiego. Ptak nigdy nie był ład ny — jego brązowe nakrapiane pióra zawsze wyglądały na świeżo zmierzwione, rozkład kolorów zaś był przypadkowy — Sos jednak zdołał się przyzwyczaić do wszystkich szczegółów jego ptasiej urody.

— Dalej już nie możesz się udać, mały przyjacielu — powiedział. — Ja wcho dzę na Górę, aby nigdy z niej nie zejść, ale twoja kolej jeszcze nie nadeszła. Te sępy nie na ciebie czekają.

Strzepnął ptaka z ręki, lecz Głupi rozpostarł skrzydła, zatoczył krąg i z powro tem usiadł mu na barku. Sos wzruszył ramionami.

— Daję ci wolność, a ty nie chcesz jej przyjąć. Głupi.

Choć nie miało to znaczenia, Sos był poruszony. Skąd ptak mógł wiedzieć, przed czym stali?

Skąd ktokolwiek mógł to wiedzieć? Co by się stało z miłością i wiernością, gdyby ludzie znali przeznaczenie?

Wciąż nosił sznur, lecz nie używał go już jako broni. Złapał za usychające drzewko, oczyścił je z liści i gałęzi, podobnie jak uprzednio Sol, i zrobił sobie z niego prymitywną laskę, na której będzie się opierał podczas wspinaczki. Po prawili ciężki plecak i ruszył w drogę.

Wyrzuszenia rzeczywiście były z metalu; olbrzymie płyty i belki, nadtopione na krawędziach i rogach, bezpiecznie tkwiły w masie Góry. Szczeliny pomiędzy nimi wypełniały kamyki i ziemia. Wyglądało to tak, jakby tysiące ludzi złożyło te płyty na stos i podpaliło — o ile metal może się palić. Może oblali go alkoholem? Oczywiście, że nie: to było dzieło Wybuchu.

Nawet u schyłku życia Sos nie utracił zainteresowania Wybuchem. Jaka by ła jego natura i w jaki sposób mógł on stworzyć Złe Kraje z ich niewidzialnym niebezpieczeństwem oraz Górę Śmierci? Jeśli doprowadzili do niego sami ludzie, jak twierdzą Odmieńcy, to dlaczego to zrobili?

To była największa zagadka. Bez odpowiedzi. Świat współczesny zaczął się w chwili Wybuchu. Co było wcześniej, można się było jedynie domyślać. Odmieńcy twierdzili, że istniało wtedy inne,

niezwykle społeczeństwo, dysponują ce niewiarygodnymi maszynami, luksusami i wiedzą. Niewiele przetrwało z tego do dziś. Choć na wpół im wierzył, to jednak szacownych tekstów nie uważał za przekonujący dowód. Opowiadały innym o starożytnych dziejach, ale skąd miał wiedzieć, że same książki, jak również ludzie i przyroda, nie zostały stworzone z niczego przez Wybuch?

Niepotrzebnie opóźniał wspinaczkę. Jeśli rzeczywiście zamierzał to zrobić, teraz był odpowiedni moment. Jeśli powstrzymywał go strach, to powinien przyznać się do tego, zamiast udawać filozofa. Tak czy inaczej, musiał działać.

Zarzucił sznur na jedną z belek i wspiął się w górę, z laską zatknietą za plecak. Istniała zapewne łatwiejsza droga, gdyż wielu ludzi, którzy przyszedli tu przed nim, nie miało podobnych sznurów ani nie potrafiło się nimi posługiwać, nie przyszedł tu jednak po to, by zakończyć życie w prosty sposób. Głupi podfrunął i usiadł na jednej z belek, spoglądając w dół na niego. Ptak nigdy nie wchodził mu w drogę. Odlatywał w bezpieczne miejsce, gdy dochodziło do walki w Kręgu lub gdy Sos spędzał noc w namiocie, zawsze jednak wracał. Teraz czekał, aż jego towarzysz upora się z tym szczególnym niebezpieczeństwem; wtedy będzie mógł się z nim znowu połączyć. Czyż nie na tym polegała prawdziwa przyjaźń?

Sos wdrapał się na górną powierzchnię belki i odwiązał sznur. Głupi oczywiście nadleciał natychmiast. Otarł się koniuszkiem skrzydła o jego prawe ucho. Zawsze siadał na prawym ramieniu, nigdy na lewym! Nie posiedział jednak długo. Ten występ był tylko pierwszym z wielu — pionowych, poziomych i ukośnych, wielkich, małych i średnich, prostych, zakrzywionych i powyginanych. To będzie wyczerpująca, nużąca wspinaczka.

Gdy nadszedł wieczór, Sos wygrzebał z plecaka cieplejsze ubranie i zjadł twardy chleb, który znalazł w najbliższej gospodzie, pozostawiony tam dla wspi naczy. Jakże troskliwi byli Odmieńcy. Udostępniali pokarm życia tym, którzy zde cydowali się umrzeć!

W gospodzie oglądał uważnie wszystko, wiedząc, że nie będzie miał następ nej okazji... nawet telewizję. Była to ta sama milcząca, bezsensowna pantomima co zawsze. Mężczyźni i kobiety, wystrojeni bardziej niż Odmieńcy, walczyli i ca łowali się z bezwstydną otwartością, choć nigdy nie używali właściwej broni ani nie kochali się ze sobą jak trzeba. Jeśli się skupić, można było nawet zrozumieć fragmenty jakiejś historii, za każdym razem jednak, gdy zaczynała ona mieć sens, sceneria się zmieniała i pojawiały się inne postacie, trzymające w rękach szklanki z pniącym się płynem lub wkładające sobie do ust zapalone cienkie cylinderki. Nic dziwnego, że nikt tego nie oglądał! Kiedyś zapytał Jonesa o telewizję, lecz dyrektor uśmiechnął się tylko i odpowiedział, że konserwacja tego typu urządzeń nie należy do zadań jego departamentu.

— I tak wszystkie programy pochodzą z przedwybuchowych taśm — wyjaśnił.

Sos odłożył te głupstwa na bok. Musiał się zastanowić nad poważniejszymi sprawami. Dokładnie wypchał plecak, wiedząc, że umrzeć z głodu wszędzie moż na, jeśli wyruszy się bez odpowiedniego przygotowania. Góra przynosiła szcze gólny rodzaj śmierci, której nie należało poniżać zwykłym głodem czy pragnie niem. Wypił już kwartę wzmocnionej wody, wiedział bowiem, że wyżej znajdzie jadalny śnieg, który ją zastąpi. Z pewnością nie głód czyhał na górze.

Cóż więc czyhało? Nikt nie mógł mu powiedzieć, gdyż tę podróż odbywało się tylko w jedną stronę, wszystkie książki zaś traktowały jedynie o czasach po przedzających Wybuch. Tylko rzadkie podręczniki, używane przez Odmieńców, nosiły późniejsze daty. Mogło to oznaczać, że książki rzeczywiście pochodziły sprzed Wybuchu i właściwie były bezwartościowe, gdyż żadna z nich nie mó wiła o istniejącym świecie. Należały one, podobnie jak telewizja, do skompliko wanego, zbijającego z tropu świata mitów, w którego prawdziwość jednego dnia wierzył, by następnego jej zaprzeczyć. Góra mogła być częścią owego świata.

Cóż, skoro nie sposób zbadać tego umysłem, pozostaje doświadczenie. Wej dzie na Górę i sam znajdzie odpowiedź. Śmierci nie można poznać z drugiej ręki.

Głupi fruwał wokoło w poszukiwaniu latających owadów, wydawało się jed nak, że nie ma ich tu

wiele.

— Wracaj na dół, ptasi mózdzku — poradził mu Sos. — To nie miejsce dla ciebie.

Ptak jakby go usłuchał, gdyż zniknął z pola widzenia. Sos pograżył się w nie spokojnych majakach: telewizja i żelazne belki, przygnębiona twarz Soli i mgli sta niepewność natury zagłady, jaka go czekała. Chłodnym rankiem jednak Głupi wrócił, tak jak Sos oczekiwał.

Drugi dzień wspinaczki był łatwiejszy niż pierwszy i wędrowcowi udało się pokonać trzykrotnie dłuższą drogę. Płatnina metalu ustąpiła miejsca stosom gru zu porośniętym zielskiem, olbrzymim okrągłym kawałom rozpadającej się gumy, podłużnym metalowym płytom o długości kilku cali, strzępom starych butów, odłamkom wypalanej gliny, plastikowym kubkom oraz setkom monet ze srebra i brązu. Zgodnie z tym, co twierdziły książki, były to wytwory przedwybuchowej cywilizacji. Nie mógł sobie wyobrazić, do czego służyły wielkie gumowe obwa rzanki, reszta jednak wyglądała na przybory podobne do tych, które składowano w gospodach. Monety były ponoć symbolem znaczenia. Posiadanie wielkiej ich ilości odpowiadało zwycięstwu w Kręgu.

O ile można wierzyć książkom.

Późnym popołudniem padał deszcz. Sos wykopał z ziemi jeden z kubków, wytrząsnął przylepioną ziemię i podniósł go w górę, by nałapać wody. Był spragniony, a śnieg leżał dalej, niż się spodziewał. Głupi przycupnął na jego ramieniu. Nienawidził ulewy. Sos podniósł wreszcie klapę plecaka, by osłonic ptaszka.

Wieczorem jednak pojawiło się więcej owadów, jak gdyby deszcz wygnał je z ukrycia. Mężczyzna wysmarował się środkiem odstraszającym komary, podczas gdy Głupi wzbil się w górę z wigorem, by powetować sobie chude czasy.

Sos do tej pory skupiał się na swym zadaniu, teraz jednak, gdy już oswoił się z Górą, powrócił myślami do najbardziej wzruszających chwil swego życia. Wspominał pierwsze spotkanie z Solem, gdy obaj byli właściwie jeszcze nowi cjuszami w Kręgu, odkrywającymi świat i zapoznającymi się ostrożnie z Kodek sem Honorowym i walką. Oczywiście Sol wypróbował każdą swoją broń w to warzyskich spotkaniach, zanim zdobył pewność siebie, dopiero jednak podczas ich wieczornej rozmowy, tej pierwszej nocy, pojął, co może go doprowadzić do sukcesu. Tego dnia i tej nocy dla nich obu skończyła się zabawa. Wkroczyli na drogę przeznaczenia, wiodącą jednego z nich do władzy, drugiego zaś na Górę.

Przypomniał sobie Solę, która wtedy była niewinną, śliczną dziewczyną, pra gnącą dowieść swej wartości. Dokonała tego, ale nie dzięki bransolecie, którą nosiła. To właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, zaprowadziło go tutaj.

Dziwne, że zetknęli się wówczas wszyscy troje. Gdyby spotkało się tylko dwóch mężczyzn, Imperium mogłoby ich łączyć ze sobą po dziś dzień. Gdyby dziewczyna pojawiła się wcześniej lub później, pewnie spędziłby z nią noc i ru szył w dalszą drogę, nie tęskniąc za nią. Jednakże od samego początku było ich troje i przyszłe Imperium nosiło w sobie ziarno zniszczenia, jeszcze zanim zdąży ło zapuścić korzenie. Nieważne, kim była ta dziewczyna; liczył się tylko fakt jej obecności w chwili, gdy wszystko się zaczęło. Dlaczego musiała się zjawić akurat wtedy?

Zacisnął powieki i ujrzał drąg, migający z osłepiającą szybkością, powstrzy mujący jego ataki, wymierzający ciosy, podążający wszędzie, gdziekolwiek się zwrócił — narzędzie nie obrony, lecz zacieklego ataku. Ustawiony w poprzek w stosunku do jego ciała, uderzał go końcem w twarz, plątał sznur, wyprowadzał w pole, udaremniając atak i obronę...

Pozostało mu tylko jedno honorowe wyjście — Góra. Przegrał z lepszym od siebie.

Zasnął wiedząc, że nawet zwycięstwo nie przyniosłoby rozwiązania. No, mo że nie pod każdym względem, ale ogólnie biorąc...

Trzeciego dnia zaczął padać śnieg. Sos opatulił się i ruszył w dalszą drogę. Głupi pozostał przy nim. Wydawało się, że źle znosi zbyt wielką niewygodę. Męż czyzna podnosił całe garście białego puchu i pakował sobie do ust, by się napić, mimo że policzki i język mu drętwiały, a gdy śnieg

wreszcie się topił, nie pozo stawało z niego prawie nic. O zmierzchu brnął już przez głębokie zaspy. Musiał stąpać ostrożnie, by uniknąć zdradliwych rozpadlin, niewidocznych na gładkiej powierzchni.

Nie było się gdzie skryć, położył się więc na boku, zasłaniając twarz od wia tru. Grube warstwy ubrania zapewniały mu wystarczającą ochronę. Głupi usiadł, drżąc, przy jego twarzy. Sos nagle zdał sobie sprawę, że ptak nie może tu znaleźć pożywienia, kiedy pada śnieg. Nie było tu żadnych owadów.

Wygrzebał z plecaka kawałek chleba i podsunął okruszynę Głupiemu pod dziób, ten jednak nie zareagował.

— Zginiesz z głodu — powiedział Sos zatroskany. Ale co jeszcze mógł zrobić?

Widział, jak pióra ptaka drżą. Wreszcie zdjął lewą rękawicę, objął ptaka ciepłą nagą dłonią i przykrył ją drugą, schowaną w rękawicy. Będzie musiał uważać, by podczas snu nie przetoczyć się na drugi bok ani nie poruszyć rękami, gdyż w przeciwnym razie zmiażdży krucho ciało.

W nocy budził się kilka razy, gdy gwałtowne podmuchy wiatru sypały mu zimnym śniegiem w twarz i za kołnierz, lecz jego lewa dłoń nie poruszyła się ani razu. Od czasu do czasu czuł, jak ptak drży z zimna, i przyciskał go mocniej do piersi, mając nadzieję, że zapewni mu nie tylko ciepło, ale i bezpieczeństwo. Był zbyt silny, a ptak za mały. Lepiej niech się trochę potrzęsie niż...

Rano Głupi wydawał się zdrowy. Sos jednak wiedział, że to nie potrwa długo. Ptak nie był przystosowany do życia na śniegu. Nawet kolory miał nieodpowiednie.

— Wracaj na dół — nalegał. — Na dół. Tam jest ciepło. Owady.

Wypuścił małe ciało, lecz nic to nie dało. Głupi rozpostarł skrzydła, wal cząc dzielnie z zimnym, ostrym powietrzem, wzbil się w górę i nie chciał odlecieć.

Gdy Sos ponownie wziął przyjaciela w rękę i wrócił do wspinaczki, zadał sobie pytanie, czy bezsensowne przywiązanie ptaka było rzeczywiście mniej rozsądne niż zdecydowanie, z jakim Sol pragnął zatrzymać córkę, której nie spłodził. Córkę? Albo niż sposób, w jaki on sam obstawał przy przestrzeganiu Kodeksu Honorowego, który uprzednio pogwałcił? Ludzie nie byli rozsądni, czemu więc ptaki miałyby być inne? Skoro rozstanie jest tak trudne, mogą umrzeć razem.

Czwartego dnia nadeszła burza. Sos brnął naprzód. Twarz odrętwiała mu, chłostana wiatrem. Założył ciemne gogle, by ochraniać oczy, lecz nos i usta pozo stawały odsłonięte. Gdy dotknął ręką twarzy, odkrył, że na jego brodzie uformowała się druga, z lodu. Starał się ją strącić, wiedział jednak, że pojawi się znowu.

Głupi zerwał się do lotu, gdy Sos potknął się i zamachał rękami. Posadził sobie ptaka na ramieniu, gdzie przynajmniej będzie mógł utrzymać równowagę. Gdyby nadal niósł go w ręku, przy następnym podobnym potknięciu z pewnością by go zmiażdżył.

Wiatr przenikał mu pod ubranie. Przedtem zalewał go pot, a ciężki strój wy dawał się niewygodny. Teraz wilgoć niemal zmieniała się w lód na jego ciele. Popenił błąd. Powinien tak się ubrać i ustalić takie tempo marszu, by nigdy się nie spocić. Pot nie miał gdzie wyparować, więc w końcu, rzecz jasna, zamarznął. Sos zrozumiał to zbyt późno.

Taka więc była śmierć na Górze. Ludzie zamarzali u jej szczytu, gdzie szalały śnieżyce, lub wpadali w ukrytą rozpadlinę... Sos obserwował teren uważnie, lecz i tak już kilka razy potknął się i przewrócił. Szczęście, że te upadki nie wyrządziły mu żadnej szkody. Zimno przenikało jego strój, odbierając zdolność widzenia. Skutki łatwo było przewidzieć. O ile opowieści nie kłamały, nikt nigdy nie wrócił z Góry, nie odnaleziono też żadnych zwłok. Nic dziwnego!

To jednak nie była taka Góra jak te, o których słyszał. Po metalowej płata ninie u podnóża — ile to już dni temu? — nie napotkał żadnych raptownych nieregularności, wyszczerbionych grani, stromych urwisk czy dziwacznych mo stów lodowych. Gdy niebo było czyste, nie dostrzegał innych łańcuchów górskich czy większych przełęczy. Stoki Góry wznosiły się w miarę równo i bezpiecznie. Przypominała czarę odwróconą do góry dnem. Jedyne poważnym niebezpieczeństwem było zimno.

Z pewnością nic nie mogłoby zatrzymać tych, którzy zdecydowali się zejść na dół. Może nie wszyscy, a nawet nie większość, lecz z pewnością niektórzy musieli rezygnować i wracać do podnóża, decydując się albo poszukać mniej męczącej śmierci, albo ostatecznie pozostać przy życiu. On sam wciąż mógł zawrócić...

Zdjął z ramienia milczącego ptaka, odrywając z wysiłkiem jego pazurki.

— No i co, Głupi? Czy mamy już dość?

Nie otrzymał odpowiedzi. Małe ciało zdążyło już zeszywnieć.

Podniósł je do twarzy, nie chcąc w to uwierzyć. Potarł delikatnie jedno skrzydło palcami. Było skostniałe. Głupi wolał umrzeć niż porzucić swego towarzysza, a Sos nawet nie wiedział, kiedy to się stało.

Prawdziwa przyjaźń...

Położył pierzastego trupka na śniegu i zasypał go ze ściśniętym gardłem.

— Przykro mi, mały przyjacielu — powiedział. — Myślę, że człowiek umiera dłużej niż ptak.

Tylko takie słowa przyszły mu do głowy.

Zwrócił się twarzą w stronę szczytu i powłókł w dalszą drogę.

Świat stał się nagle pośpny. Zwykle Sos nie poświęcał ptakowi wiele uwagi, lecz to nagłe, ciche odejście wstrząsnęło nim. Teraz mógł już tylko zakończyć sprawę. Zabił wiernego przyjaciela i w jego piersi pozostała otwarta rana, której nic nie uleczy.

Nie pierwszy już raz jego szaleństwo wyrządziło komuś krzywdę. Sol chciał od niego tylko przyjaźni, lecz on, zamiast mu ją dać, zmusił go do walki w Kręgu. Dlaczego tak zdecydowanie odrzucił ostatnią propozycję Soła? Czy dlatego, że ograniczone pojęcie honoru służyło mu tylko do bezwzględnego dążenia do własnych celów, bez oglądania się na to, kogo będzie musiał poświęcić? A gdy mu się nie powiodło, spowodował jeszcze więcej cierpień, niszcząc to, co jeszcze można by uratować.

Ponownie pomyślał o Głupim, który przed chwilą zakończył życie na jego ramieniu, i znalazł odpowiedź na te pytania.

Góra stawała się coraz bardziej stroma. Burza nasilała się. Niech to już na dejdzie! — pomyślał. Po to tu przyszedł. Nie mógł już poznać, czy jest dzień, czy noc. Lód pokrył jego gogle, o ile wciąż je miał na twarzy. Nie był tego pewien i nie obchodziło go to. Wokół wirowała biel. Dyszał ciężko. Płuca wypełniał mu ogień. Nie mógł zaczerpnąć wystarczającej ilości powietrza. Stroma śnieżna powierzchnia ciągnęła się przed nim bez końca.

Nie zdawał sobie sprawy, że upadł, dopóki nie zakrztusił się śniegiem. Spróbował się podnieść, lecz jego kończyny nie zareagowały.

— Chodź! — usłyszał przed sobą głos Soli i posłuchał go, choć wiedział, że to złudzenie. Ruszył naprzód, tym razem ostrożniej — na rękach i kolanach.

Potem czołgał się na brzuchu. Nie czuł nic oprócz bólu serca.

W końcu przyjemne znużenie pochłonęło nawet to.

Rozdział 15

— Spróbuj napiąć mięśnie. Lepiej będzie, jak się trochę przejdiesz. Organizm zacznie działać. Sos z trudem odzyskiwał przytomność. Spróbował otworzyć oczy, lecz ciemność nie ustąpiła.

— No, no! Zostaw ten bandaż w spokoju! Jeśli nawet nie masz ślepoty śnieżnej, to odmrożenia na pewno. No, weź mnie za rękę.

Mocna męska dłoń dotknęła jego ramienia.

— Czy umarłem? — zapytał Sos i wstał, opierając się na wyciągniętej dłoni tamtego.

— Tak. W pewnym sensie. Nigdy już nie zobaczą cię na powierzchni.

— A... Głupi?

— Co?

— Mój ptak, Głupi. Czy on też tu trafił?

Mężczyzna zawahał się.

— Albo zaszło nieporozumienie, albo jesteś bezczelny jak diabli.

Sos zacisnął palce na ramieniu nieznajomego. Złapał wolną ręką bandaż i ze rwał go sobie z głowy. Poczul ostry ból, gdy odsłonił oczy, mógł jednak znowu widzieć.

Znajdował się w gospodzie. Stał przed typowym łóżem, otoczony niezwykły mi sprzętami. Miał na sobie tylko pantalon. Chudy mężczyzna w białym kobie cym kitlu krzywił się z powodu nieustającego nacisku dłoni Sosa. Ten w końcu puścił go i zaczął szukać wzrokiem wyjścia.

Nie była to jednak gospoda, gdyż pokój okazał się kwadratowy. Nigdy nie widział gospody o podobnym kształcie.

— Muszę przyznać, że wróciłeś do zdrowia zadziwiająco szybko! — zauważył mężczyzna masując sobie ramię. Był w średnim wieku, miał mocno przerzedzone włosy i wyjątkowo bladą twarz. Najwyraźniej dawno nie widział słońca ani Kręgu.

— Czy jesteś Odmieńcem?

— Większość ludzi w twojej sytuacji zadowala się pytaniem: „Gdzie jestem?” lub czymś równie prozaicznym. Naprawdę jesteś oryginalny.

— Nie przyszedłem na Górę, by wysłuchiwać drwin! — zawołał Sos zbliżając się do niego.

Mężczyzna nacisnął guzik w ścianie.

— Mamy tu jednego żywego — powiedział.

— Widzę — odparł kobiecy głos.

Interkom — zdał sobie sprawę Sos. A więc to byli Odmieńcy.

— Skieruj go do pokoju rekreacyjnego. Ja się tym zajmę.

Nieznajomy nacisnął drugi guzik. Obok niego w ścianie otworzyły się drzwi.

— Prosto aż do końca. Tam odpowiedzą na wszystkie twoje pytania.

Sos minął go i pognął naprzód. Bardziej mu zależało na znalezieniu wyjścia niż na wypytywaniu niechętnie nastawionego mężczyzny. Korytarz jednak nie prowadził na zewnątrz, lecz ciągnął się bez końca. Po obu jego stronach znajdowały się pozamykane drzwi. To z pewnością nie była gospoda ani budynek przypominający szkołę prowadzoną przez Odmieńców, lecz coś znacznie większego.

Spróbował otworzyć jedne drzwi. Okazały się zamknięte. Zastanowił się, czy-by ich nie wyważyć, lecz obawiał się, że zajęłoby mu to zbyt wiele czasu. Bolała go głowa. Mięśnie miał zeszywniałe i jednocześnie zwiotczałe. Zbierało mu się na mdłości. Czuł się chory i pragnął się tylko stąd wydostać, zanim pojawią się kolejni irytujący nieznajomi.

Ostatnie drzwi były otwarte. Wszedł do wielkiego pokoju, pełnego kancia stych przedmiotów: poziomych i pionowych prętów oraz olbrzymich pudełek, najwyraźniej zrobionych z drągów powiązanych razem pod kątem prostym. Nie miał pojęcia, co to wszystko miało znaczyć. Kręciło mu się w głowie. Czuł się zbyt chory, by się nad czymkolwiek zastanawiać.

Czyjaś ręka opadła lekko na jego ramię. Sos podskoczył, odruchowo sięgnął po sznur i odwrócił się błyskawicznie w stronę nieprzyjaciela.

Sznura oczywiście nie znalazł, a ten, kto go dotknął, okazał się dziewczyną nie sięgającą mu nawet do ramienia. Ubrana była w luźny kombinezon, włosy zaś miała związane w ciasny kok, co nadawało jej chłopięcy wygląd. Jej maleńkie stopy były bose.

Sos odetchnął zawstydzony, choć głowa nadal go bolała, a zamknięte pomieszczenie budziło niepokój. Nigdy przedtem nie odczuwał takiego napięcia, nie czuł się tak nieswojo. Gdyby tylko mógł się znaleźć w otwartym lesie...

— Daj mi to — zażądała małeńka dziewczyna. Jej delikatne jak piórka dłonie ześliznęły się po jego przedramieniu i zamknęły na bransolecie. Po chwili zdjęła mu ją.

Rozgniewany Sos wyciągnął po nią rękę, lecz dziewczyna wymknęła mu się.

— Co ty wyprawiasz? — zapytał.

Dopasowała złotą bransoletę do własnego nadgarstka i zacisnęła ją.

— Bardzo ładna. Zawsze chciałam taką mieć — oznajmiła beczelnie. Spojrzała w jego stronę, unosząc chochlikowate brwi.

— Jak masz na imię?

— Sos Szn... Sos — odparł, przypomniawszy sobie swą porażkę w Kręgu, która kazała mu się uważać za pozbawionego broni.

Sięgnął ponownie w stronę dziewczyny, lecz wywinęła mu się zwinnie.

— Nie dałem ci j ej!

— Więc mi ją zabierz — odparła wyciągając nadgarstek. Jej ramię było szczu płe, lecz ładnie zaokrąglone. Zastanawiał się, ile może ona mieć lat. Z pewnością była zbyt młoda na takie zabawy z dorosłym mężczyzną.

Ponownie sięgnął ku niej... i złapał jedynie powietrze.

— Dziewczyno, gniewasz mnie!

— Jeśli jesteś równie powolny w gniewie jak w ruchach, nie mam się czego bać, potworze.

Tym razem skoczył ku niej, lecz ponownie chybił.

— Chodź tu, malutki — zaszczebiotała, wyginając uniesiony nadgarstek tak, że metalowa taśma załśniła kusząco. — Mówiłeś, że nie lubisz, jak z ciebie drwią, więc nie pozwól, żeby kobieta ci coś zabrała. Złap mnie.

Widział, że dziewczyna chce, by zaczął ją ścigać, i rozumiał, że nie powinien dąć się sprowokować, lecz ból w głowie i ciele pozbawił go ostrożności i zastąpił ją nagłą furią. Pognał za prześladowczynią.

Zaczęła uciekać wzdłuż ściany, oglądając się na niego i chichocząc. Była drobna i lekka, zwinna z natury. Jej ciało nie mogło ważyć więcej niż sto funtów, z bezkształtnym ubiorem włącznie. Gdy zbliżył się do niej, odskoczyła w bok i zakreśliła się wokół pionowego pręta. Sos potknął się niezgrabnie.

— Masz szczęście, że nie jesteś w Kręgu! — zawołała. — Nie potrafisz nawet ustać na nogach!

Gdy ponownie zdołał się do niej zbliżyć, znalazł się już między tyczkami. Poruszała się wśród nich z łatwością, niewątpliwie płynącą z długich ćwiczeń.

Sos podążył za nią, chwytając się pionowych prętów i prześlizgując się wśród nich z rosnącą zręcznością. Pod wpływem wysiłku poczuł się lepiej, jak gdyby zrzucił z siebie letarg pozostały po pobycie w mroźnych górach. Ponownie się do niej zbliżył i ponownie spotkała go niespodzianka.

Dziewczyna skoczyła w górę i złapała za najniższy szczebel drabinki zwisającej z wysokiego sufitu. Zgięła się wpół, oparła o szczebel stopami i wspięła się w górę, jak gdyby nic nie ważyła. Po chwili znalazła się daleko od niego.

Sos chwycił za najniższy szczebel, znajdujący się akurat w zasięgu jego ręki, i stwierdził, że jest on zrobiony z giętkiego plastiku, podobnie jak dwie pionowe kolumny. Szarpnął na próbę. Po

sznurach przebiegła fala, która potrzęsła dziewczyną. Po sznurach? Uśmiechnął się i szarpnął mocniej, co zmusiło ją do złapania się drabinki z całej siły, w przeciwnym bowiem razie na pewno by z niej spadła. Wtedy, pewien, że zagnał dziewczynę w pułapkę, uwiesił się stopniowo na drabince całym ciężarem.

Mogła to utrzymać. Podciągnął się na szczebel. Nie był przyzwyczajony do podobnych ćwiczeń, lecz dawał sobie radę. Potrafił się obchodzić ze sznurem.

Zaniepokojona dziewczyna spojrzała w dół, lecz Sos dalej się wspinał, obser wując ją. Za kilka sekund będzie mógł złapać ją za stopę i ściągnąć w dół.

Zaczepliła się nogami o szczyt drabiny i zawisała głową w dół, wyginając ciało. Oswobodzonymi rękami zdjęła z ramion kombinezon i przesunęła go na biodra — w górę lub w dół, zależnie od punktu widzenia — po czym uchwyciła się jedną ręką drabinki i ściągnęła okrycie. Pod spodem miała skąpy, obcisły dwuczęściowy kostium, który okrywał zaledwie jej piersi i pośladki. Sos pomyślał, że zbyt nisko ocenił jej wiek. Miała bowiem kształty dojrzałej kobiety.

Przyjrzała mu się figlarnie, rozpostarła kombinezon i upuściła go prosto na jego uniesioną w górę głowę.

Zaklął, usiłując zrzucić to z siebie. Omal nie wypuścił z rąk drabinki. Dziewczyna poruszała nią teraz, być może w przekonaniu, że zdoła go strząsnąć, gdy będzie oślepiiony. Poczuł, jak uderzyła go w dłoń, którą się trzymał.

Gdy w końcu odzyskał bezpieczną pozycję i zrzucił przywierający do ciała, pachnący lekko materiał, dziewczyna stała już na podłodze, chichocząc wesoło. Przeszła po prostu po nim!

— Czy nie chcesz odzyskać bransolety, niezguło? — zawołała.

Zsunął się na dół i zeskoczył na podłogę, lecz dziewczyny już tam nie by ło. Tym razem wdrapała się na przypominającą pudełko konstrukcję, wijąc się między prętami niczym latający wąż. Zanim zdołał podbiec, dziewczyna była już w środku i nie mógł jej dosięgnąć z żadnej strony, nie podążając tam za nią. Wie dział już, że w ten sposób nigdy jej nie złapie. Była wygimnastykowana, a wzrost i waga dawały jej całkowitą swobodę.

— No dobrze — powiedział niezadowolony, lecz już nie rozgniewany. Popatrzył z podziwem na jej gibkie, zdrowe ciało. Któż by się spodziewał takich krągłości po tak drobnej sylwetce? — Zatrzymaj ją sobie.

Po chwili, wykonawszy kilka obrotów, stanęła przed nim.

— Poddaj się!

Objął jej ramię palcami, stosując chwyt, który opanował, gdy rzucał sznurem. Ruch był zbyt szybki, by się przed nich uchylić.

— Nie.

Nawet się nie skrzywiła w mocarnym uścisku. Uderzyła Sosa kantem wolnej dłoni w żołądek, tuż pod linią żeber, kierując cios ku górze. Palce miała sztywne i wyprostowane.

Zdumiała go siła uderzenia, zadanego zupełnie niespodziewanie. Sparaliżowa ło go na chwilę, nie zwolnił jednak uścisku, lecz wzmocnił go jeszcze, miażdżąc jej młode, jędrne ciało.

Nawet wtedy nie cofnęła się ani nie krzyknęła. Ponownie zadała mu swój oso bliwy cios kantem dłoni, tym razem w gardło. Ekspłodował tam niewiarygodny ból. Zawartość żołądka podeszła mu do przelyku. Nie mógł nawet zaczerpnąć od dechu czy krzyczeć. Stracił przytomność, dławiąc się i krztusząc.

Gdy ponownie wrócił do siebie, siedział na podłodze. Dziewczyna klęczała przed nim, opierając mu dłonie na ramionach.

— Przepraszam, że to zrobiłam, Sos. Jesteś bardzo silny.

Spojrzał na nią apatycznie. Zdał sobie sprawę, że jej nie docenił. Mimo iż była kobietą, jej ciosy trafiały pewnie.

— Naprawdę chciałabym zatrzymać twoją bransoletę, Sos. Wiem, co to ozna cza.

Pomyślał o tym, jak Sol oddał bransoletę Soli. Niedbałość tego gestu wcale nie oznaczała, że ich związek był słaby, mimo że opierał się na osobliwych warunkach. Czy miał teraz oddać swoją bransoletę jeszcze bardziej lekkomyślnie, tylko dlatego, że kobieta o nią poprosiła? Spróbował coś powiedzieć, lecz wciąż ściśnięta krtani nie pozwoliła mu na to.

Dziewczyna wyciągnęła rękę w jego stronę. Sięgnął po nią powoli i objął palcami. Przypomniał sobie, że walczył o Solę i przegrał, podczas gdy ta kobieta właściwie wyzwalała go do walki o bransoletę i wygrała.

Może trzeba ją było zabrać mu siłą? Gdyby miał oddać bransoletę z własnej woli, wręczyłby ją jasnowłosej pannie Smith, gdyż wiedział, że tego pragnęła. Sola również wymusiła na nim miłość. Płynące stąd wnioski dotyczące jego na tury nie podobały mu się, lepiej jednak było się z nimi pogodzić niż starać się zaprzeczyć faktom.

Ścisnął delikatnie bransoletę i opuścił rękę.

— Dziękuję ci, Sos — szepnęła i nachyliła się nad nim, by pocałować go w szyję.

Rozdział 16

Gdy się obudził, podejrzewał, że wszystko to było wytworem wyobraźni, po dobnym do dziwadeł oglądanych w niemej telewizji. Nie miał jednak bransolety. Na jego lewej ręce pozostało tylko pasmo jasnej skóry. Tym razem, gdy był nie przytomny, trafił do kolejnej prostokątnej kabiny. Czuł się dobrze. W jakiś sposób zabrano go z Góry, przywrócono do życia i pozostawiono tutaj, podczas gdy jego mały przyjaciel, Głupi, zginął. Nie potrafił odgadnąć, dlaczego tak się stało.

Wstał i ubrał się. Jego strój, kompletny i czysty, leżał obok łóżka. Jeśli to była śmierć — pomyślał — to nie różniła się zbyt od życia. Bzdura, to nie była śmierć.

W kabinie nie ujrzał zapasów jedzenia ani broni na półce. W gruncie rzeczy nie było nawet samej półki. Sos otworzył drzwi w nadziei, że zobaczy las czy inny znajomy krajobraz — choćby nawet podnóże góry. Napotkał jednak tylko pustą ścianę, podobną do tej, wzdłuż której wędrował w swej wizji. A więc nie była to wizja, lecz rzeczywistość.

— Zaraz do ciebie przyjdę, Sos. — To był głos dziewczyny... nie, maleńkiej kobiety, która wyzwała go, wyprowadziła w pole, a w końcu powaliła. Gdy o tym pomyślał, poczuł, że szyja nadal go boli, choć już mniej dokuczliwie. Ponownie spojrzał na swój nagi nadgarstek.

Cóż, twierdziła, że wie, co oznacza bransoleta.

Nadbiegła korytarzem, równie drobna jak wtedy. Tym razem miała na sobie zgrabniejszy kitel. Uśmiechała się. Jej włosy, teraz widoczne, były brązowe i falujące. W znacznym stopniu dodawały jej kobiecości. Bransoleta na ramieniu lśniła. Najwyraźniej wypolerowała ją, aby przywrócić złotu blask. Ujrzał, że pokrywa ona cały jej nadgarstek, a końce nawet zachodzą lekko na siebie, podczas gdy jaśny ślad pozostawiony na jego przedramieniu zajmował co najwyżej trzy czwarte jego obwodu. Czy to maleńkie stworzenie naprawdę go pokonało?

— Czujesz się lepiej, Sos? — zapytała zatroskanym głosem. — Wiem, że wczoraj daliśmy ci w kość, ale doktor mówi, że nie ma jak ćwiczenia, kiedy trzeba ożywić organizm, dopilnowałam więc, byś je odbył.

Spojrzał na nią nie rozumiejąc.

— Och, prawda, nie znasz jeszcze naszego świata. — Uśmiechnęła się ujmu jąco i złapała go za ramię. — Rozumiesz, niemalże zamarłeś w śniegu. Musieliśmy cię tu sprowadzić, zanim doszłoby do nieodwracalnych uszkodzeń. Czasem pełny powrót do zdrowia trwa całe tygodnie, ty jednak byłeś tak silny, że od razu daliśmy ci stymulant. To jest rodzaj lekarstwa — nie znam się na tych sprawach zbyt dobrze. Przepłukuje cały organizm, usuwając zniszczone tkanki. Musi jed nak dotrzeć wszędzie — do palców rąk i nóg, i tak dalej... cóż, właściwie tego nie rozumiem, ale porządna, wyczerpująca gimnastyka rozprowadza go bardzo dobrze. Potem zasypiasz, a kiedy się budzisz, czujesz się lepiej.

— Nie pamiętam...

— Ja cię uśpiłam, Sos. Po tym, jak cię pocałowałam. Trzeba tylko dotknąć odpowiednich punktów na ciele. Mogę ci je pokazać, jeśli...

Odmówił pospiesznie. Musiała też zanieść go do kabiny... lub, co bardziej prawdopodobne, kazała to zrobić jakiemuś mężczyźnie. Czy to ona również go rozebrała i wyczyściła mu ubranie, tak jak to zrobiła Sola dawno temu? Te podobieństwa były niepokojące.

— Wszystko w porządku, Sos. Mam twoją bransoletę, pamiętasz? Nie zostałam z tobą na noc, bo wiedziałam, że przez jakiś czas będziesz nieprzytomny, ale od tej chwili będę z tobą — zawahała się. — Chyba że zmieniłeś zdanie?

Była tak mała, że przypominała raczej lalkę niż kobietę. Wzruszała go jej tro ska, nie potrafił jednak odgadnąć, co powinien odrzec. Ważyła najwyżej połowę tego co on. Co mogła wiedzieć o sprawach łączących ze sobą mężczyzn i kobiety?

— Och, doprawdy! — zawołała rumieniąc się, choć nic nie powiedział. — No więc, wracajmy

natychmiast do twojego pokoju, a pokażę ci, że umiem nie tylko wspinać się po drabinkach!

Uśmiechnął się widząc jej zapał.

— Nie, zatrzymaj ją sobie. Myślę, że wiesz, co robisz. Pomyślał, że lubi, jak kobiety się za nim uganiają.

Poprowadziła go przez prostokątne korytarze, oświetlone umieszczonymi nad głowami żarzącymi się rurkami, do następnego wielkiego pomieszczenia. Ten dziwny, zamknięty świat wydawał się nie mieć końca. Odkąd się tu znalazł, ani razu nie ujrzał światła dziennego.

— To nasza jadalnia. Akurat czas na posiłek.

Na długiej ladzie ustawiono talerze zjedzeniem — cienkimi plasterkami boczku, dymiącą owsianką, jajkami w koszulkach, kielbasą, grzankami i innymi po prawej, których nie znał. Dalej ujrzał kubki z sokiem owocowym, mlekiem oraz gorącymi napojami, a także rozmaite galaretki i kremy. Wyglądało to tak, jakby ktoś opróżnił całą spiżarnię gospody na pojedynczy posiłek. Było tego więcej, niż ktokolwiek mógłby zjeść.

— Bierzesz sobie, na co tylko masz ochotę, i nakładasz na tackę — powie działa. — Popatrz.

Zdjęła z ustawionego na brzegu lady stosu plastikową tackę i podała mu ją. Następną wzięła dla siebie i ruszyła pierwsza, wybierając potrawy. Podążał za nią, biorąc sobie po jednym talerzu z każdym daniem.

Daleko było jeszcze do końca lady, gdy zabrakło mu miejsca na tacce.

— Proszę — powiedziała całkiem naturalnie. — Połóż część na mojej.

Przeszli do długiej sali jadalnej, gdzie stały kwadratowe stoły nakryte zachodzącymi na siebie kawałkami białego materiału. Przy niektórych siedzieli ludzie, kończąc swe posiłki. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety mieli na sobie kombinezony i kitle, podobne do tych, które już widział. Czuł się przez to nieswojo, choć to on był ubrany normalnie. Sosa zaprowadziła go do wolnego stołu i rozstawiła na nim jedzenie oraz napoje.

— Mogłabym przedstawić cię wszystkim, ale na ogół wolimy, żeby przy pościłkach zostawiano nas w spokoju. Jeśli pragniesz towarzystwa, odsuń krzesła, a jeśli chcesz być sam, przechyl je, o tak.

Oparła oba wolne krzesła o boki stołu.

— Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Spojrzała na jego zestaw.

— Jeszcze jedno, Sos. My nic nie marnujemy. Musisz zjeść wszystko, co sobie wzięłeś.

Skinął głową. Był głodny jak wilk.

— Nazywamy to miejsce Podziemiem — powiedziała, gdy jadł — ale nie uważamy się za przestępców. — Przerwała, bo Sos nie zrozumiał aluzji. — Tak czy inaczej, wszyscy tu jesteśmy martwi. To znaczy byłibyśmy, gdyby nie... no więc, gdybyśmy nie przyszli tą samą drogą co ty. Wchodząc na Górę. Ja przybyłam w zeszłym roku. Mniej więcej raz na tydzień trafia się ktoś... ktoś, komu się udaje. Kto nie zawraca. W ten sposób nasza populacja jest w miarę stała.

Sos spojrzał na nią, z ustami pełnymi jedzenia.

— Niektórzy zawracają?

— Większość. Czują się zmęczeni albo zmieniają zdanie i zaczynają schodzić.

— Ale nikt nigdy nie wrócił z Góry!

— To prawda — odparła z niepokojem w głosie.

Nie dopytywał się więcej, choć zapamiętał sobie tę sprawę, by wyjaśnić ją później.

— Jesteśmy więc naprawdę martwi, ponieważ nikogo z nas nie zobaczą już na świecie. Nie jesteśmy jednak beczynni. Wszyscy pracujemy bardzo ciężko. Pokażę ci to, jak tylko skończysz jeść.

Tak też zrobiła. Zaprowadziła go najpierw do kuchni, gdzie spoceni kucharze bezustannie przygotowywali talerze z jedzeniem, pomocnicy zaś przepuszczali brudne talerze i tacki przez

buchającą parą zmywarce. Pokazała mu biura, w których prowadzono rachunki. Nie zrozumiał celu tych obliczeń, choć powiedziano mu, że są one z jakichś względów potrzebne, by utrzymać równowagę między wydobywaniem, produkcją i eksportem. To miało sens. Przypomniawszy sobie obliczenia, jakie musiał prowadzić, gdy ćwiczył wojowników Sola. To Podziemie było znacznie bardziej skomplikowaną społecznością.

Zabrała go na stanowisko obserwacyjne, gdzie ludzie patrzyli na ekrany telewizyjne i słuchali dziwnych dźwięków. Obrazy na monitorach nie przypominały jednak oglądanych w gospodach. Natychmiast przykuły jego uwagę.

— To jest Sos — przedstawiła go mężczyźnie, który był tu szefem. — Przybył czterdzieści osiem godzin temu. Jest... pod moją opieką.

— Jasne... Sosa — odrzekł tamten, dojrząwszy bransoletę na jej ręce. Uścisnął dłoń Sosa. — Jestem Tom. Cieszę się, że cię poznałem. W gruncie rzeczy znałem cię już wcześniej. Ja cię tu sprowadziłem. Naprawdę byłeś dobry!

— Sprowadziłeś mnie?

Mimo swobodnej uprzejmości było w tym mężczyźnie o niezwyklej imieniu coś dziwnego i niezbyt sympatycznego.

— Pokażę ci to.

Tom podszedł do jednego z ekranów.

— To jest nasza telewizja użytkowa, pokrywająca wschodnie zbocze Helikonu poniżej granicy śniegu.

Włączył urządzenie i Sos rozpoznał wyboisty teren, który uprzednio pokonywał z pomocą sznura. Nigdy przedtem nie widział w telewizji prawdziwego obrazu, to znaczy — poprawił się — takiego, który odnosiłby się do współczesnego świata. Był zafascynowany.

— Helikon... to Góra? — zapytał wytyżając umysł, by przypomnieć sobie, gdzie słyszał o czymś, co się tak nazywało. — Dom... muz?

Tom spojrział na niego. W jego jasnych oczach ponownie pojawiło się coś dziwnego.

— Skąd to wiesz? Tak, ponieważ pamiętamy tu rzeczy pochodzące ze starego świata, nazwaliśmy naszą Górę...

Usłyszał sygnał docierający z jednego z pozostałych urządzeń. Odwrócił się szybko w tamtą stronę.

— Właśnie teraz jeden schodzi w dół. Popatrz, przełączę na niego. To przypomniało coś Sosowi.

— Ci, którzy schodzą... co się z nimi dzieje?

Zauważył, że Sosa ich opuściła, chwaliła się teraz swą bransoletą przed pozostałymi pracownikami.

— Obawiam się, że zaraz się dowiesz, choć może ci się to zbyt nie spodobać — odpowiedział Tom, obserwując go z osobliwym zainteresowaniem.

Sos uważał, by nic po sobie nie pokazać. Ci ludzie najwyraźniej nie walczyli w Kręgu, mieli jednak swoje metody na poddawanie innych próbom. Wkrótce miało go spotkać coś nieprzyjemnego.

Tom odnalazł na ekranie odpowiednie miejsce i poprawił ostrość obrazu. Ujrzał mężczyznę w średnim wieku o nieco zwiotczałych mięśniach, niosącego drąg.

— Prawdopodobnie utracił kobietę na rzecz młodszego wojownika i postanowił urządzać pokaz — zauważył Tom złośliwie. — Jest takich mnóstwo. Nie szczęśliwy romans ma w sobie coś takiego, co wysyła ludzi na Górę.

Sos poczuł ucisk w żołądku, lecz tamten nie patrzył w jego stronę.

— Ten facet doszedł do granicy śniegu i gdy zmarzły mu nóżki, zawrócił. Jeśli szybko nie zmieni zdania...

— To się zdarza?

— Tak, tak. Niektórzy robią to pół tuzina razy. Rzecz w tym, że Góra jest rzeczywista. Z daleka śmierć wydaje się czymś honorowym, ale wysokość i śnieg wymagają zdecydowania. Jeśli ktoś nie jest naprawdę gotowy umrzeć, to wspi naczka sprawi, że zmieni zdanie. Zacznie się zastanawiać, czy sprawy wyglądają naprawdę tak źle, jak mu się zdawało, czy nie mógłby wrócić i spróbować jeszcze raz. Jeśli jest słaby, będzie się wahał, a my tu — rzecz jasna — nie potrzebujemy ludzi, na których nie można polegać. To jest w istocie rzeczy dobór naturalny, choć ty oczywiście nie rozumiesz, co to znaczy.

Sos nie dał się wyprowadzić z równowagi pogardliwym tonem Toma, który uważał go za nieuka. Przyszło mu do głowy, że wiedza, którą posiada, może się okazać ukrytym atutem, w razie gdyby sytuacja tutaj stała się kłopotliwa.

— Warto ratować człowieka, który dotrzymuje postanowienia do końca —ciągnął Tom.

Obraz, najwyraźniej kierowany ruchami palców na gałkach, podążał bezbłądnie za wojownikiem.

— Chcemy się upewnić, że naprawdę zrezygnował z życia i nie zacznie uciekać przy pierwszej okazji. Próba na Górze dostarcza jednoznacznej odpowiedzi. Ty byłeś dobrym przykładem. Gnałeś prosto pod górę i nie zawahałeś się ani na chwilę. Ty i ten ptak. Szkoda, że nie mogliśmy go uratować, ale i tak nie byłby tu szczęśliwy. Widzieliśmy, jak próbowałeś go odstraszyć, a potem zamarznął. Przez chwilę myślałem wtedy, że zawrócisz, ale nie. Całe szczęście. Spodobałeś mi się.

Więc cała udręka, którą przeżywał zmierzając do kresu, była obserwowana przez tego podglądacza?

Sos celowo zachowywał lekko głupi wyraz twarzy, który przybrał, gdy tylko stał się podejrzliwy. Obserwował, jak wojownik na ekranie toruje sobie drogę przez górny skraj sterczących metalowych belek. Może znajdzie się kiedyś okazja, by odplacić za te drwiny.

— Jak mnie tu... sprowadziliście?

— Założyliśmy kombinezony śnieżne i przywlekliśmy cię do najbliższego wjazdu. Trzech mężczyzn musiało ciągnąć za uprząż. Jesteś wielki jak byk, roku miesz. Potem... cóż, chyba już znasz procedurę przywracania do życia. Musieliśmy czekać, aż na dobre stracisz przytomność. Czasami ludzie próbują zawrócić w ostatniej minucie. Nie przynosimy ich tutaj, jeśli mają twarz skierowaną w niewłaściwym kierunku, choćby nawet zamarznąli na śmierć. Liczy się intencja. Wiesz, wszedłeś prawie na sam szczyt. To spory wyczyn jak na niedoświadczonego wspi nacza.

— Skąd wiedzieliście, że nie popełnię samobójstwa, gdy się obudzę?

— Cóż, nigdy nie możemy być tego pewni. Na ogół jednak, jeśli ktoś ma skłonności samobójcze, nie wybiera Góry. Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale taka jest prawda. Każdy może się zabić, ale tylko Góra przynosi całkowite, oficjalne unicestwienie. Kiedy wchodzisz na Helikon, nigdy nie wracasz. Nie ma żadnych wieści ani zwłok. Jakbyś przeszedł do innego świata — być może lepszego. Nie poddajesz się, lecz odchodzisz z honorem. Tak przynajmniej ja to widzę. Tchórz popełnia samobójstwo, człowiek odważny i zdecydowany wchodzi na górę.

Sos odnalazł w tych słowach wiele słuszności, nie chciał jednak jeszcze tego przyznać.

— Ale mówiłeś, że niektórzy wracają.

— Większość to robi. To ci, którzy poszli na Górę, aby się popisać czy wzbudzić litość lub też po prostu ze zwykłej głupoty. Nie potrzebujemy tu takich.

— Co się stanie z tym wojownikiem na zewnątrz? Jeśli go nie wpuszczą do środka, dokąd pójdzie?

Tom zmarszczył brwi.

— Tak, obawiam się, że naprawdę ma zamiar zrezygnować — podniósł głos. — Bili, zgadzasz się ze mną?

— Chyba tak — odparł mężczyzna, do którego się zwrócił. — Lepiej z tym skończyć. U

podnóża jest następny. Nie ma sensu, żeby to zobaczyć.

— To nieprzyjemna sprawa — powiedział Tom, oblizując niecierpliwie wargi, jakby ze skrywaną przyjemnością. — Nie da się jednak podtrzymywać legendy nie ponosząc kosztów. Tak więc...

Uruchomił kolejną tablicę rozdzielczą. Na ekranie pojawiły się dwie krzyżujące się linie. Nastawił urządzenie tak, że punkt ich przecięcia pokrył sylwetkę wojownika, i pociągnął za czerwony uchwyt.

Skądś zza ekranu wytrysnęła smuga ognia, która pochłonęła mężczyznę. Sos poderwał się, zdał sobie jednak sprawę, że nie może nic zrobić. Przez całą minutę na ekranie szalały straszliwe płomienie, po czym Tom przełożył uchwyt i ogień zniknął.

Pozostały tylko poczerwiałe szczątki.

— Miotacz ognia — wyjaśnił niefrasobliwie Tom.

Sos widywał już przedtem śmierć, ta jednak go przerażała. Takie zabójstwo stało w sprzeczności ze wszystkimi jego pojęciami o honorze: bez ostrzeżenia, bez Kręgu, bez żałoby.

— To znaczy... że gdybym ja... ?

Tom spojrział na niego. Światło ekranu odbijało się w białkach jego oczu, two rzęć miniaturowe trupie główki. Widać było, że czekał na to pytanie.

— Tak.

Sosa pociągnęła go za rękę.

— Starczy tego — powiedziała. — Chodź, Sos. Musieliśmy ci to pokazać. Nie wszystko tu jest takie złe.

— A jeśli postanowię opuścić to miejsce? — zapytał. Dokonane z zimną krwią morderstwo nappełniło go obrzydzeniem.

Pociągnęła go naprzód.

— Proszę cię, nie mów takich rzeczy.

A więc tak to wygląda — pomyślał. Nie żartowali, gdy nazwali to miejsce Kra iną Zmarłych. Niektórzy umarli w przenośni, inni zaś byli martwi od wewnątrz. Czego jednak się spodziewał wchodząc na Górę? Życia wśród przyjemności?

— Gdzie są kobiety? — zapytał, gdy wędrowali długimi korytarzami.

— Nie ma ich wiele. Kobiety rzadko wybierają Górę. Te nieliczne, które ma my, są... wspólne.

— Dlaczego więc przyjechałaś moją bransoletę?

Przyspieszyła kroku.

— Powiem ci, Sos, naprawdę... ale nie w tej chwili, dobrze?

Weszli do ogromnego warsztatu. „Magazyn” Odmieńców zaimponował Sosowi, lecz wobec tego pomieszczenia był jak pojedyncza gospoda wobec całego Podziemia. Przy stojących w długich szeregach maszynach pracowali ludzie. Tło czyli i kształtowali metalowe przedmioty.

— Ależ to bron! — zawołał Sos.

— Cóż, ktoś musi ją produkować. A ty sądziłeś, że skąd się bierze?

— Odmieńcy zawsze...

— Prawda jest taka, że trochę metali wydobywamy i trochę odzyskujemy, a następnie produkujemy z nich te narzędzia. Odmieńcy rozprawdzają je i w za mian dostarczają nam większość żywności. Myślałam, że to rozumiesz, kiedy po kazywałam ci sekcję rachunkowości. Wymieniamy też z nimi informacje. Oni są tym, co w gospodarce nazywa się sektorem usług, a my jesteśmy sektorem przemysłowym. Koczownicy są konsumentami. Rozumiesz, to wszystko jest bardzo dobrze zbilansowane.

— Ale po co?

Takie samo pytanie zadał w szkole.

— Na to każdy musi sam sobie odpowiedzieć.

Odpowiedź była również taka sama.

— Mówisz jak Jones.

— Jones?

— Odmieniec, mój nauczyciel. Nauczył mnie czytać.

Zatrzymała się zaskoczona.

— Sos! Umiesz czytać?

— Zawsze interesowały mnie różne rzeczy.

Nie miał zamiaru ujawniać swej umiejętności. Z drugiej strony jednak nie mógł jej przecież utrzymywać w tajemnicy bez końca.

— Czy mógłbyś mnie nauczyć? Mamy tu tyle książek...

— To nie takie proste. Nauka trwa lata.

— Mamy na to lata, Sos. Chodź, chcę zacząć już teraz.

Pociągnęła go w drugą stronę, mimo że była znacznie drobniejsza. Tyle miała w sobie niezwyklej energii.

Łatwo rozpoznał bibliotekę. Pod wieloma względami podziemie przypomina ło szkołę Odmieńców.

— Jim, to jest Sos. On umie czytać!

Mężczyzna w okularach zerwał się z miejsca z uśmiechem na ustach.

— Świetnie!

Obejrzał Sosa od stóp do głów z lekkim powątpiewaniem.

— Wyglądasz raczej jak wojownik niż uczoney. Bez obrazy.

— Czy wojownik nie może umieć czytać?

Jim wydobyl jedną z książek.

— To tylko formalność, Sos. Czy zechciałbyś przeczytać coś z tego? Tylko kawałek na próbę.

Proszę cię.

Sos wziął tom do ręki i otworzył na przypadkowej stronie.

— BRUTUS: Nasze uczynki, Kajusie Kasjuszu, zbyt krwawe mogą okazać się, jeśli głowę udawszy posiekamy członki, po śmierci pastwiąc się wściekle nad zmarłym. Bo jest Antoniusz przecież tylko jednym z członków Cezara. My ofiarnikami, nie rzeźnikami mamy być, Kasjuszu. Stajemy przeciw duchowi Ce zara, a nie ma wcale krwi w duchu człowieczym. O, gdyby można...¹

— Starczy! Starczy! — krzyknął Jim. — Umiesz czytać, umiesz, z pewnością umiesz. Czy otrzymałeś już przydział? Musisz przyjść do nas, do biblioteki. Jest tyle...

— Mógłbyś udzielać lekcji czytania — dodała podniecona Sosa. — Wszyscy chcemy nauczyć się czytać, a tak niewielu umie...

— Natychmiast zawiadomię Boba. Co za odkrycie!

Bibliotekarz sięgnął ręką po interkom stojący na biurku.

— Chodźmy stąd — powiedział Sos, zawstydzony całym tym zamieszaniem. Odkąd skończył szkołę, zawsze uważał czytanie za swoją własną przyjemność. Ten zapal irytował go.

Zmęczony sztucznością otoczenia, pod koniec dnia z radością udał się na spo czynek. Choć w podziemnym świecie nie brakowało niezwykłości, Sos nie był bynajmniej pewien, czy pragnie tu spędzić resztę życia.

— Tu naprawdę nie jest źle, Sos — powiedziała mu. — Przyzwyczaisz się. Poza tym to, co robimy, jest naprawdę ważne. Kierujemy produkcją przemysłową na potrzeby całego kontynentu. Wytwarzamy bron, wszystkie podstawowe urzą dzenia dla gospod, prefabrykowane ściany i podłogi, aparaturę i sprzęt elektro niczny. ..

— Dlaczego wzięłaś moją bransoletę?

Niespodziewane pytanie przerwało jej opowieść.

— Cóż, jak już powiedziałam, nie ma tu wielu kobiet. Ułożyli grafik; zgodnie z nim każdy mężczyzna... spędza z którąś noc raz na tydzień. To nie to samo co trwały związek, ale z drugiej strony jest urozmaicenie. Ten system nieźle się sprawdza.

Zabawa w wędrujące bransolety. Tak, mógł sobie wyobrazić, że pewnym lu dziom sprawia to przyjemność. Co prawda zauważył, że większość mężczyzn tu taj nie używa złotych ozdób.

— Dlaczego ja jestem z tego wyłączony?

— Cóż, jeśli chcesz, to możesz. Myślałam...

— Nie skarzę się, dziewczyno. Chciałem tylko wiedzieć dlaczego. Czemu za służę na własną kobietę, podczas gdy nie starczą ich dla wszystkich?

Jej wargi zadrżały. Dotknęła bransolety.

— Czy... czy chcesz ją z powrotem?

Pochwyił Sosę i przycisnął do łóżka. Nie opierała się. Ochoczo odwzajemniła jego pocałunek.

— Nie, nie chcę niczego z powrotem. Ja tylko... ech, ściągaj ten kitel!

Nie ma sensu pytać kobiety o przyczyny jej postępowania.

Żywo zrzuciła wszystkie szaty, po czym najwyraźniej, jak to kobieta, zmieniła zdanie.

— Sos...

Spodziewał się czegoś w tym rodzaju.

— Słucham.

— Jestem bezpłodna.

Przyglądał się jej w milczeniu.

— Próbowałam... wielu bransolet. Wreszcie kazałam się zbadać Odmieńcom. Nigdy nie będę mogła mieć dziecka, Sos. Dlatego poszłam na Górę... ale tutaj dzieci są jeszcze ważniejsze. Tak więc...

— Tak więc rzuciłaś się na pierwszego mężczyznę, którego przywleczono z Góry.

— O nie, Sos. Wpisali mnie na listę, ale kiedy nie ma w tym miłości ani żadnej szansy na... Cóż, niektórzy skarżyli się, że nie reaguję jak należy, wydawało się więc, że nie ma w tym zbyt wiele sensu. Dlatego Bob przeniósł mnie do działu reanimacji, gdzie mogłam poznawać nowych ludzi. Na

¹ William Szekspir: „Żywot i śmierć Juliusza Cezara”, przekł. Maciej Słomczyński

tym, kto pełni dyżur, gdy sprowadzają kogoś nowego, spoczywa spora odpowiedzialność. Trzeba przyby szowi wszystko wyjaśnić, sprawić, by poczuł się jak w domu, i znaleźć dla niego odpowiednie miejsce. Sam wiesz. Jesteś dziewiętnastą osobą, którą się zajmowałam — siedemnastym mężczyzną. Niektórzy z nich byli starzy albo zgorzkniali. Jesteś pierwszym, który naprawdę... to brzmi jeszcze gorzej, prawda?

Młody, silny i chętny: odpowiedź na marzenia samotnej kobiety — pomyślał. Właściwie dlaczego nie? Nie miał ochoty korzystać raz na tydzień z objęć wyznaczonych kobiet. Lepiej trzymać się jednej, która może go zrozumieć, choćby nawet sercem był gdzie indziej.

— A jeśli zapragnę mieć dziecko?

— Wtedy... odbierzesz mi bransoletę.

Przyjrzał się jej. Siedziała przy nim na wpół ukryta za zmiętym kitem, jak gdyby bała mu się pokazać, dopóki ich związek nie został przesądzony. Była maleńka, lecz kształty miała bardzo kobiece. Zastanowił się, co to znaczy nie móc mieć dziecka. Zaczął rozumieć motywy postępowania Sola, których uprzednio nie mógł pojąć.

— Przyszedłem na Górę, ponieważ nie mogłem mieć kobiety, którą kochałem — powiedział. — Wiem, że to już wszystko przeszłość, ale moje serce tego nie wie. Mogę ci ofiarować tylko przyjaźń.

— Więc daj mi choć to — powiedziała upuszczając kitel.

Zabrał ją do łóżka, obejmując tak ostrożnie jak Głupiego, w obawie, by jej nie zmiażdżyć. Z początku trzymał ją tylko, sądząc, że na tym się skończy. Był w błędzie. W myślach jednak

obejmował Solę.

Rozdział 17

Bob był wysokim, pewnym siebie mężczyzną, niewątpliwym przywódcą Helikonu.

— Słyszałem, że umiesz czytać — oznajmił natychmiast. — Jak do tego do szło?

Sos opowiedział mu, w jaki sposób zdobył wykształcenie.

— Fatalnie.

Sos czekał, aż tamten wyjaśni, co ma na myśli.

— Fatalnie, że nie trafiłeś tu wcześniej. Twój talent mógłby się nam przydać.

Nadal czekał. To było jak walka w Kręgu przeciw nieznanej broni. Bob nie roztaczał tak specyficznej aury, jak zadający śmierć Tom, nosił jednak równie niezwykle imię i Sos ujrzał w nim człowieka zupełnie pozbawionego litości. Za stanawiał się, czy była to częsta cecha wśród tych, którzy wyrzekli się życia. Przypuszczał, że tak. Sam widział, jak sposób bycia przywódcy i jego osobowość odciskają się na grupie. Sos ukształtował Imperium Sola za pomocą znakomitej organizacji połączonej z odrobiną zabawy. Pozwalał ludziom cieszyć się walką o punkty, podczas gdy doskonalili umiejętności. Gdy odszedł, władzę przejął Tyl, który pozostawił czystą dyscyplinę. W obozach zapanował ponury nastrój. Dziwne, że dostrzegł to dopiero teraz!

— Mamy dla ciebie szczególne i niezwykle zadanie — mówił Bob. — Coś zupełnie wyjątkowego.

Widząc, że Sos nie zamierza się odezwać, przeszedł do szczegółów.

— Nie jesteśmy tu całkowicie nieświadomi tego, co się dzieje na powierzchni. Nie możemy sobie na to pozwolić. Oczywiście wiadomości pochodzą głównie z drugiej ręki, gdyż nasze czujniki telewizyjne nie sięgają daleko poza okolice Helikonu, niemniej jednak mamy znacznie lepsze rozeznanie w sytuacji niż wy, barbarzyńcy. Tam powstaje Imperium. Musimy je czym prędzej rozbić.

Najwyraźniej to znakomite rozeznanie w sytuacji nie objęło roli, jaką w Imperium pełnił Sos. Coraz mocniej zresztą podejrzewał, że lepiej, aby nikt się tego nie dowiedział. W stronę Imperium niewątpliwie wycelowany był miotacz ognia, a tymczasem ciemny, choć piśmienny dzikus czuł się bezpieczny.

— Skąd o tym wiecie?

— Nie słyszałeś o nim?

Pogarda ukryta w głosie Boba była, być może, nieświadoma. Nie przyszło mu do głowy, że nowo przybyły może wiedzieć więcej od niego. To pytanie uspiło jego podejrzenia, o ile je żywił, i umocniło opinię, jaką miał o Sosie.

— Rządzi nim niejaki Sol. W zeszłym roku rozrosło się bardzo. Kilku z ostatnio przybyłych przyniosło o nim wieści. Nawet w południowoamerykańskiej jed nostce o nim słyszano. Bardzo duży rozgłos.

— Południowoamerykańskiej?

Sos czytał o tym przedwybuchowym kontynencie, podobnie jak o Afryce i Azji, nie miał jednak dowodów na to, że on wciąż istnieje.

— Czy myślałeś, że jesteśmy jedyną taką jednostką na świecie? Na każdą kontynencję jest przynajmniej jeden Helikon. Utrzymujemy łączność z nimi wszystkimi i od czasu do czasu wymieniamy personel, choć utrudnia to nam bariera językowa. Ameryka Południowa jest bardziej zaawansowana niż my. Wojna nie dotknęła jej w takim stopniu. Mamy tu operatora, który mówi po hiszpańsku, a u nich sporo ludzi zna angielski więc nie ma trudności z porozumieniem. To jednak bardzo daleko stąd. Jeśli oni już słyszeli o tutejszym Imperium, to znaczy, że najwyższy czas

cos z nim zrobić.

— Dlaczego?

— A jak myślisz? Co się stanie, jeśli barbarzyńcy na prawdę zaczną się organizować? Na przykład produkować broń i żywność? Nie będzie żadnego sposobu, by nad nimi zapanować!

Sos uznał, że dalsze dopytywanie się może być niebezpieczne.

— Dlaczego ja?

— Dlatego, że jesteś największym i najtwardszym dzikusiem, jaki pojawił się u nas od dłuższego czasu. W rekordowym tempie wróciłeś do siebie po zamarnię ciu na Górze. Jeśli ktoś może podołać temu zadaniu, to właśnie ty. Potrzebujemy wojownika o silnym ciele, takim jak twoje.

Sosowi przyszło do głowy, że jeśli ten człowiek kiedykolwiek potrafił zachować powściągliwość, to już dawno musiał o tym zapomnieć.

— Potrzebujecie do czego?

— Do tego, by wrócił do życia i zdobył Imperium.

Jeśli Bob chciał nim wstrząsnąć, udało mu się to. Wrócić do życia. Znowu znaleźć się...

— Nie jestem człowiekiem, jakiego poszukujecie. Złożyłem przysięgę, że ni gdy więcej nie wezmę do ręki broni.

Nie była to, ściśle mówiąc, prawda. Jeśli jednak chcieli, by ponownie walczył z Solem, sytuacja niewątpliwie wyglądała właśnie tak. Obiecał nigdy więcej nie użyć broni przeciwko niemu i cokolwiek by się wydarzyło, zamierzał dotrzymać warunków, jakie ustalili przed ostatnią walką. To była sprawa honoru, dla żywych i dla umarłych.

— Traktujesz taką przysięgę poważnie? — Szyderczy uśmiech zniknął z ust Boba, gdy spojrzął on na Sosa. — No dobrze, a jeśli nauczymy cię walczyć bez broni?

— Bez broni... w Kręgu?

— Gołymi rękami, tak jak robi to twoja dziewczynka. W ten sposób chyba nie pogwałcisz żadnej ze swych cennych przysiąg, co? Czemu się tak opierasz? Czy nie zdajesz sobie sprawy, co to dla ciebie oznacza? Zdobędziesz Imperium!

Ton Boba doprowadzał Sosa do wściekłości, podobnie jak to, co podsuwały jego słowa. Zrozumiał jednak, że nie może się dłużej przeciwstawiać, nie zdra dzając się przed nim. Sprawa była poważna. W chwili gdy Bob by się połapał...

— A jeśli odmówię? Przyszedłem na Górę, aby umrzeć.

— Chyba już wiesz, że tutaj odmowa nie wchodzi w grę. Jeśli groźby ani ból nie mogą zawrócić cię z raz obranej drogi, a mam nadzieję, że tak jest, znajdą się inne sposoby, abys zmienił zdanie. W tej chwili może to nie znaczyć dla ciebie wiele, podejrzewam jednak, że jeśli zastanowisz się przez chwilę, zrozumiesz, o co chodzi.

To, co mówił Bob, przekonało Sosa, że właściwie go osądził. Nie miał wyjścia, choć z innych powodów, niż wydawało się władcy Podzie mia.

— Wrócić do życia? — zapytała z niedowierzaniem Sosa, gdy jej o tym później opowiedział. — Ale nikt nigdy nie wraca!

— Ja będę pierwszy. Zrobię to jednak bezimiennie.

— Ale skoro chcesz wracać, to po co poszedłeś na Górę? To znaczy...

— Nie chcę wracać. Muszę.

— Ale... — przez chwilę zabrakło jej słów. — Czy Bob ci groził? Nie powinieneś był mu pozwolić...

— Nie mogłem ryzykować.

Spojrziała na niego zatroskana.

— Czy... powiedział, że ją skrzywdzi? Tę kobietę, którą...

— Cos w tym rodzaju.

— Jeśli wrócisz, będziesz mógł ją odzyskać.

Po tym, co zobaczył na stanowisku obserwacyjnym, Sos zdał sobie sprawę, że wszystko, co w tym miejscu powie lub zrobi, może być rejestrowane. Nie wolno mu zdradzić jej więcej, niż — zdaniem Boba — mógł wiedzieć.

— Na zewnątrz tworzy się Imperium. Muszę zniszczyć jego przywódcę. Nie wcześniej jednak niż za rok, Sosa. Tyle mi zajmą przygotowania. Muszę się nauczyć mnóstwa rzeczy.

Bob sądził, iż przekonała go — między innymi — wizja władzy nad Imperium. Nie może się nigdy dowiedzieć, komu naprawdę jest wierny. Jeśli ktoś ma wyruszyć mu naprzeciw, lepiej, żeby to był przyjaciel...

— Czy mogę zatrzymać twoją bransoletę przez ten rok?

— Zatrzymaj ją na zawsze, Sosa. Ty będziesz mnie uczyć.

Spojrzała na niego ze smutkiem.

— To znaczy, że nasze spotkanie wcale nie było przypadkowe. Bob zaplanował twoją przyszłość, zanim cię tu sprowadziliśmy. On to wszystko zaaranżował.

— Tak.

— Niech go diabli! — krzyknęła. — Postąpił okrutnie!

— Zgodnie z jego rozumowaniem to była konieczność. Wybrał najpraktyczniejszą drogę do celu. Ty i ja spełniliśmy tylko rolę narzędzi, które znalazły się pod ręką. Przykro mi.

— Przykro ci! — mruknęła. — Po chwili uśmiechnęła się jednak, robiąc dobrą minę do złej gry. — Przynajmniej wiemy, na czym stoimy.

Zaczęła go uczyć. Pokazywała mu ciosy i chwyt, które opanowała z mozołem w dzieciństwie. Żyła w plemieniu, które wpajało kobietom sztukę samoobrony — a także wypędzało te bezpłodne. Mężczyźni, rzecz jasna, gardzili walką bez broni, lecz podobnie pogardzali każdą kobietą, która była łatwą ofiarą, tak więc tajemna wiedza o tym, jak pokonać mężczyznę, przechodziła z matki na córkę.

Sos nie wiedział, jakich argumentów użył Bob, by ją skłonić do przekazania swych umiejętności mężczyźnie. Wolał o to nie pytać.

Nauczyła go, jak uderzać rękami, aby łamać drewniane belki, i jak rozbijać je nagimi stopami, łokciem albo głową. Pokazała mu wrażliwe punkty ludzkiego ciała — miejsca, w które wystarczyło wymierzyć jeden cios, by ogłuszyć, okaleczyć lub zabić. Kazała mu biec w jej stronę, jak gdyby był rozwścieczony, i obalała go raz po raz, z rękami i nogami spletanymi tak, że nie mógł ich użyć. Pozwalała, by próbował ją dusić, i uwalniała się z jego uścisku na pół tuzina bolesnych i upokarzających sposobów, choć miał więcej siły w kciukach niż ona w rękach. Pokazała mu punkty wrażliwe na ból, sploty nerwowe, których uciskanie powodowało paraliż lub utratę przytomności. Nauczyła chwytów wymuszających uległość, które mogła mu założyć jednym szczupłym ramieniem, zadając przy tym taki ból, że nie mógł się wyrwać ani opierać. Posługiwała się naturalną, podstawową bronią człowieka, o jakiej niemal zapomniano: zębami, paznokciami, wyprostowanymi palcami, głową a nawet głosem.

Gdy już opanował to wszystko — nauczył się, jak unikać ciosów lub je blokować, uwalniać się z chwytów lub je unieszkodliwiać, a także jak przeciwstawiać się innym podstępным metodom walki bez broni — pokazała mu, jak walczyć, gdy różne części jego ciała zostaną obezwładnione. Skradał się do niej z zawiązanymi oczyma, skrępowanymi nogami, z ciężarkami przywiązanymi do kończyn, a także po zażyciu środka oszłamiającego. Wspinał się na wiszącą drabinkę z rękami unieruchomionymi kaftanem bezpieczeństwa. Huśtał się na wysoko zawieszonych drążkach, z jedną ręką przykutą kajdankami do nogi. Gdy zadawała mu takie ciosy jak te, które powaliły go podczas ich pierwszego spotkania, stał spokojnie, poruszając niemal niedostrzegalnie ciałem, by uczynić je nieszkodliwymi.

Następnie udał się do sali operacyjnej, gdzie czekali nań chirurdzy ze środka mi znieczulającymi i

skalpelami. Pod skórą jego brzucha i dolnej części pleców umieścili giętkie stalowe płyty, dostatecznie mocne, by zatrzymać ostrze noża czy miecza. Założyli mu na szyję zamykany kołnierz, wzmocnili kości jego rąk i nóg metalowymi prętami i osadzili mu w pachwinie stalową siatkę. Zniekształcili mu twarz, przebudowując nos przy użyciu mocniejszego materiału i wypełniając po liczki nylonową tkaniną. Naostrzyli zęby i ściągnęli mu skórę z czoła, umieszczając pod nią odpowiednio ukształtowany metal.

Podczas kolejnych operacji wprowadzono jeszcze rozmaite inne zmiany. Kie dy wreszcie zabiegi zakończono, żadną częścią swego ciała nie przypominał czło wieka znanego niegdyś jako Sos. Kroczył powoli jak straszliwy moloch, walcząc z bólem tych odrażających powtórnych narodzin.

Wrócił do ćwiczeń. Pracował w pokoju rekreacyjnym na urządzeniach, które znał teraz lepiej niż swe nowe ciało. Wspinał się na drabinkę, zwiślał z drążków, dźwigał ciężary. Chodził po korytarzach, balansując tułowiem, który nagle stał się cięższy. Stopniowo zwiększał tempo, aż był w stanie biec bez bólu. Rozwalał deski gojącymi się dłońmi i stopami, aby stwardniały. Z biegiem czasu rozwinęły mu się na nich straszliwe zgrubienia.

Stał sztywno, gdy Sosa uderzała go z całej siły drągiem w żołądek, szyję i głó wę. Śmiał się. Nagle błyskawicznym ruchem wyrwał jej broń, po czym wygiął ją w kształcie litery „S”. Objął oba nadgarstki kobiety palcami jednej dłoni i uśmiechając się uniósł ją delikatnie.

Sosa zgięła się wpół i uderzyła go obiema piętami w odsłoniętą brodeę.

— Aj! — krzyknęła. — Zupełnie jakbym wylądowała na kawałku kamienia!

Zachichotał i przerzucił ją sobie bezceremonialnie przez prawe ramię, na któ rym zwiślał z najniższego stopnia drabinki. Wykręciła ciało i wbiła sztywne palce w jego lewy bark tuż powyżej obojczyka.

— Ty cholerny gorylu — poskarżyła się — masz zgrubienia nad punktami uciskowymi!

— Są z nylonu — odparł rzeczowo. — A gorylowi mógłbym złamać kark.

Jego głos był chrapliwy. Kołnierz ściskający gardło udaremniał wszelkie pró by nadania mu łagodnej intonacji.

— I tak jesteś wielkim, brzydkim zwierzakiem! — powiedziała i ścisnęła moc no zębami płatek jego ucha.

— Brzydkim jak diabli — zgodził się odwracając głowę tak, że była zmuszona wypuścić ucho z zębów, gdyż w przeciwnym razie rozbolełaby ją szyja.

— Paskudnie smakowało — szepnęła. — Kocham cię.

Odwrócił głowę w drugą stronę. Wpiła wargi w jego twarz i pocałowała go jak szalona.

--Wróćmy do naszego pokoju, Sos — powiedziała. — Chcę się poczuć po trzeba.

Usłuchał jej, lecz okazało się, że nie mogą osiągnąć pełnej harmonii.

— Wciąż myślisz o niej — wypomniała mu. — Nawet kiedy...

— To się już skończyło — odparł, lecz jego słowom brak było przekonania.

— Nieprawda! Nawet się nie zaczęło. Nadal ją kochasz i wracasz do niej!

— To moje zadanie. Wiesz o tym.

— Ona nie jest zadaniem. Już lada moment odejdziesz i nigdy więcej cię nie zobaczę, a nie możesz mi nawet powiedzieć, że mnie kochasz.

— Kocham cię.

— Ale nie tak mocno jak ją.

— Sosa, ona nie zasługuje na to, by ją porównywać z tobą. Ty jesteś ciepłą, cudowną dziewczyną i z biegiem czasu pokochałbym cię znacznie bardziej niż ją. Wracam, ale chcę, byś zatrzymała moją bransoletę. Jak inaczej mogę cię przekonać?

Przytuliła się do niego uszczęśliwiona.

— Wiem o tym, Sos, Jestem szalonym, zazdrośnym babskiem. To dlatego, że tracę cię na zawsze i nie mogę tego znieść. Cała reszta życia bez ciebie...

— Może przyślę kogoś w zastępstwie.

Gdy jednak wypowiedział te słowa, przestały mu się wydawać zabawne. Po chwili jej nastrój poprawił się nieco.

— Zrobmy to jeszcze raz, Sos. Każda minuta jest cenna.

— Kobieto, spokojnie! Jeśli nawet jestem nadczłowiekiem, to nie aż takim!

— Owszem, właśnie takim.

Po raz kolejny udowodniła mu, że się mylił.

Rozdział 18

Wyruszył w drogę, jako Bezimienny i Nie Uzbrojony. Była wiosna. Minęły niemal dwa lata od chwili, gdy przygnębiony wędrował w stronę Góry. Sos roz płynął się w zapomnieniu. Ciało, w którym mieścił się dziś jego mózg, było inne. Twarz stanowiła dzieło laboratorium, głos zaś brzmiał jak krakanie. Plastikowe soczewki kontaktowe sprawiły, że oczy utkwione były w jeden punkt. Włosy wy rastały pozbawione pigmentu.

Sos zniknął, lecz Bezimienny zachował tajemne wspomnienia, które niepo wstrzymanie przywoływał znajomy krajobraz. Anonimowy mężczyzna nie był pozbawiony uczuć. Gdy podróżował samotnie, tęskniąc za ptaszkiem na ramieniu, mógł niemal zapomnieć, że przybywa jako maszyna niosąca zniszczenie, i napawać się leśnymi szlakami oraz przyjaznymi gospodarzami tak samo, jak młody wo jownik z mieczem cztery lata temu. Całe życie i śmierć upłynęły od tego czasu!

Zatrzymał się przed znajomym Kręgiem, w którym Sol Miecz walczył z Solem Mistrzem Wszystkich Broni o imię i oręż, a jak się okazało — również o ko bietę. Jakże inaczej wyglądałby świat, gdyby do tej walki nie doszło!

Wszedł do gospody, rozpoznając wytwory Podziemia, dogłądane przez Odmieńców. To dziwne, jak odmiennie patrzył teraz na świat! Nigdy przedtem właściwie się nie zastanawiał, skąd się biorą te wszystkie produkty. Jak większość koczowników uważał je cos oczywistego. Jak to możliwe, że był tak naiwny?

Otworzył spiżarnię i przygotował sobie obfity posiłek. Musiał pochłaniać ol brzymie ilości pożywienia, by nasycić masywne ciało, jednakże jedzenie nie spra wiało mu przyjemności. Zmysł smaku także ucierpiał wskutek zwiększenia siły fizycznej. Zastanowił się, czy w przeszłości chirurdzy, dokonując swych cudów, nie unicestwiali wrażliwości. A może miejsce wojowników zajmowały wtedy ma szyny?

O zmierrchu pojawiła się dziewczyna. Była młoda i ładna, lecz ujrzawszy jego nagą rękę, trzymała się z daleka. Gospody zawsze były znakomitymi miejscami do polowania na bransolety. Zastanowił się, czy Odmieńcy o tym wiedzieli.

Dziewczyna zachowywała się bardzo uprzejmie. Położyła się spać na łóżku sąsiadującym z zajmowanym przez niego, choć mogła się odgradzić, układając się po drugiej stronie filaru. Gdy stwierdziła, że mimo wszystko jest sam, spojrza ła na niego z ukosa, nie sprawiała jednak wrażenia zaniepokojonej. Z przeczyta nych książek dowiedział się między innymi, że przed Wybuchem kobiety musiały się wystrzegać mężczyzn i rzadko odważały się spać w obecności nieznanego. Jeśli była to prawda — choć trudno sobie coś podobnego wyobrazić w rozwiniętej cywilizacji — z pewnością zmieniło się na lepsze. Było nie do pomyślenia, by mężczyzna żądał względów kobiety, która nie ofiarowała mu ich dobrowolnie, albo żeby ona kapryśnie ich odmawiała. Jednakże Sosa opowiadała mu o swym pełnym niebezpieczeństwie dzieciństwie w okolicy, gdzie plemiona patrzyły na ko biety inaczej. Nie całe zło zostało wypalone przez ogień.

Dziewczyna nie mogła już dłużej powstrzymać ciekawości.

— Przepraszam, czy mogę zapytać, gdzie jest twoja kobieta?

Pomyślał o Sosie, maleńkiej, zuchwałej Sosie, niemal zbyt małej, by nosić bransoletę, lecz za to wielkiej czynem i duchem. Tęsknił za nią.

— Jest w Krainie Umarłych — odparł.

— Przepraszam — odrzekła dziewczyna, która — zgodnie z jego zamiarami — źle go zrozumiała. Jeśli mężczyzna kochał swą żonę, mógł pochować branso letę razem z nią i nie wziąć sobie następnej, zanim żałoba się nie skończyła. Jak miał wytłumaczyć dziewczynie, że to nie śmierć Sosy, lecz jego powrót do życia rozdzielił ich na zawsze?

Usiadła na łóżku, dotykając okrytych nocną koszulą piersi. Widać było, że jest zawstydzona. Miała jasne włosy.

— Nie powinnam o to pytać — powiedziała.

— Powinienem był ci wyjaśnić — odparł uprzejmie. Wiedział, jak brzydki musi się wydawać tej niewinnej dziewczynie.

— Jeśli pragniesz...

— Bez obrazy — powiedział zdecydowanym tonem.

— Bez obrazy — odrzekła z ulgą.

Czy ta dziewczyna, która dzieliła z nim kabinę, lecz nie łóżko, stanie się kiedyś powodem gwałtownej namiętności oraz smutku, jakich zaznał? Czy jakiś naiwny krzepki wojownik wręczy jej jutro bransoletę, a gdy ją utraci, powędruje na Górę?

Możliwe, gdyż taki był współczesny sen o życiu i miłości. Nawet najmniejsi z ludzi potrafili budzić gwałtowne uczucia. Na tym polegała cudowność i chwała tego wszystkiego.

Rankiem przygotowała mu śniadanie. Był to kolejny uprzejmy gest, który wskazywał, że jest dobrze wychowana. Starła się nie gapić na niego, gdy wy szedł spod prysznic. Pobłogosławił ją i udali się każde w swoją stronę. Te usta lone obyczajne były dobre. Gdyby spotkał ją cztery lata temu i gdyby była wtedy w odpowiednim wieku...

Przebycie trasy, którą ongiś pokonało dwóch mężczyzn i kobieta, zajęło mu tylko tydzień. Trzymał się z dala od ludzi i oni również zostawili go w spokoju.

Zdziwiło go lekko, że obyczaje się nie zmieniły. Tej cechy społeczeństwa koczow ników nie doceniał należycie, dopóki się nie dowiedział, jak prostackie nawyki panują gdzie indziej.

Zaszły też jednak pewne zmiany. Zniknęło oznakowanie. Najwidoczniej Odmieńcy, być może pod wpływem tego, co powiedział Jonesowi, sprowadzili tu swoje liczniki Geigera (produkowane w podziemnym warsztacie elektronicznym) i wreszcie zbadali okolicę na nowo. To mogło oznaczać, że ćmy i ryjówki również zniknęły lub przynajmniej zostały przetrzebione przez inne gatunki. Gdy ujrzał ślady zwierząt kopytnych, był już tego pewien.

Stary, pełen wspomnień obóz przetrwał na dawnym miejscu... i ktoś w nim mieszkał! W kilku Kręgach ćwiczyli mężczyźni, a nad rzeką nadal stał wielki namiot, fosę jednak zasypano, a obwałowanie wyrównano. To był rozstrzygający dowód na to, że stada ryjówek zniknęły. Ustąpiły miejsca silniejszemu gatunkowi — człowiekowi.

Kto jednak władał bliżej granicy promieniowania, tam dokąd ludzie nie mogli się zapuszczać? Gdyby kiedykolwiek nastąpił kolejny Wybuch...

Dlaczego zdziwił się, że znalazł tu ludzi? Przecież tego właśnie oczekiwał. Dlatego udał się najpierw w to miejsce. Tu, gdzie narodziło się Imperium.

Gdy zbliżył się do obozu, został natychmiast zatrzymany.

— Stój! Z jakiego jesteś plemienia? — zapytał muskularny wojownik z drą giem, przyglądając się jego tunice, jak gdyby chciał ustalić, jaką przybysz nosi bron.

— Z żadnego. Zaprowadź mnie do waszego przywódcy.

— Jak masz na imię?

— Jestem Bezimienny. Zaprowadź mnie do waszego przywódcy.

Wojownik spojrział na niego wilkiem.

— Nieznajomy, należy ci się lekcja dobrych manier.

— Sos wyciągnął powoli dłoń, złapał drąg u dołu i uniósł.

— Hej, co ty...

Mężczyzna nie dał rady go powstrzymać. Po chwili obie ręce Bezimiennego powędrowały ku górze. Jedno ramię siłacza dźwignęło wartownika wraz z drągami i zakreśliło nim w powietrzu.

— Jeśli nie zaprowadzisz mnie do swojego wodza, sam cię tam zaniosę — oznajmił Sos.

Nagle puścił drąg i wciąż trzymający się go mężczyzna padł na ziemię.

Zdażyła się już zebrać grupa gapiów, gdy Sos złapał obiema dłońmi broń wartownika, której ten z głupim uporem ciągle się trzymał, i wygiął drąg w kształtny półokrąg, po czym pozostawił bezużyteczny w rękach właściciela.

Po krótkiej chwili zaprowadzono nieznanego przed oblicze wodza. Był nim Sav.

— Co mogę dla ciebie zrobić, siłacz? — zapytał, nie poznając mężczyzny o zniekształconych rysach i włosach albinosa. — Mamy teraz sporo roboty, ale jeśli przybyłeś, by się do nas przyłączyć...

— Możesz przedstawić siebie i swoje plemię, i oddać się wraz z nim pod moją władzę.

Choć raz był zadowolony z ochryplego brzmienia swego nowego głosu. Sav roześmiał się dobrodusznie.

— Jestem Sav Drąg. Sol, Wódz Imperium, powierzył mi szkolenie wojowni ków. Jeśli nie przybywasz od niego, niczego ci nie oddam.

— Nie przybywam od Sola. Przychodzę, by go pokonać i zająć jego miejsce.

— Tak po prostu, hę? No więc, Bezimienny, możesz zacząć tutaj. Wystawimy przeciwko tobie w Kręgu wojownika i albo go pokonasz, albo przyłączysz się do naszego plemienia. Jakiej używasz broni?

— Nie mam żadnej oprócz własnych rąk.

Sav przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

— Wyjaśnijmy to sobie. Nie masz imienia, plemienia ani broni, a zamierzasz zdobyć ten obóz.

— Tak.

— Może nie myśli mi się dzisiaj najlepiej, ale nie bardzo pojmuję, w jaki sposób chcesz to osiągnąć.

— Pokonam cię w Kręgu.

Sav wybuchnął śmiechem.

— Bez broni?

— Boisz się ze mną zmierzyć?

— Mój panie, nie walczyłbym z tobą, nawet gdybyś miał broń, chyba że posiadałabyś plemię równe wielkością temu, by je rzucić na szalę. Czy nie znasz zasad?

— Miałem nadzieję, że oszczędzę na czasie.

Sav przyjrzał mu się z większą uwagą.

— Wiesz, przypominasz mi kogoś. Nie twoja twarz czy głos, ale...

— Wybierz więc jakiegoś wojownika, by ze mną walczył. Pokonam go, a po tem następnych, aż całe plemię będzie moje.

Na twarzy Sava pojawił się teraz wyraz pobłażania.

— Naprawdę chcesz się zmierzyć w Kręgu z wyszkolonym wojownikiem? Gołymi rękami?

Sos skinął głową.

— Tego się nie robi, ale jeśli sobie życzysz...

Wezwał jednego ze swych ludzi i wskazał drogę do głównego Kręgu. Wybrany wojownik był zakłopotany.

— Ależ on nie ma broni! — wykrzyknął.

— Po prostu zbij go z nóg ze dwa razy — poradził Sav. — Upiera się, by walczyć.

Zaczęli się zbierać ludzie. Rozeszła się już wiadomość o wyczynie, jakiego Sos dokonał z

drażeniem strażnika.

Zdjął tunikę i stanął boso, w krótkich spodenkach.

Gapie wciągnęli powietrze. Tunika, sięgająca od brody do kolan i łokci, zakrywała prawie całe potężne ciało. Sądziło się, że jest on wielkim, otyłym mężczyzną, a ze względu na kolor włosów i zgrubiałą skórę na twarzy uznali go za starego. Siła, jaką się wykazał, zaintrygowała ich, nie mieli jednak pewności, czy nie był to aby przypadkowy wyczyn.

— Bicepsy jak maczugi! — krzyknął ktoś. — Spójrzcie na tę szyję!

Nie nosił już metalowego kołnierza. Jego szyja stała się teraz masywną kołnierzem pokrytą zrogowaciałymi zgrubieniami.

Wojownik wyznaczony do walki stanął z rozdziawionymi ustami. Sav odciągnął go na bok.

— Gom, ty wejdź do Kręgu — powiedział krótko.

Wystąpił mężczyzna znacznie potężniejszy, z ciałem pokrytym bliznami i odbarwieniami po wielu walkach. Weteran. Bron miał przygotowaną i wstąpił do Kręgu bez wahania.

Sos wszedł do środka i stanął z rękami opartymi na biodrach.

Gom nie miał żadnych skrupułów. Zamachnął się kilka razy, aby zobaczyć, co zrobi Bezimienny, po czym zadał mu straszliwy cios z boku w szyję.

Sos stał nieporuszony.

Gom spojrzał na swą broń, wzruszył ramionami i uderzył po raz drugi.

Sos stał tak przez minutę, po czym przystąpił do akcji. Ruszył w stronę Goma, złapał ręką za drąg niemal od niechcenia, wyrwał go przeciwnikowi szybkim ruchem nadgarstka i wyrzucił z Kręgu.

Choć ani razu nie dotknął Goma, ten był niezdolny do walki. A ponieważ starał się nie wypuścić draża z ręki, jego palce trzasnęły złamane.

— Mam już jednego człowieka — oznajmił Sos. — Ponieważ nie jest on w tej chwili zdolny do walki, sam będę walczył o dwóch.

Wstrząśnięty Sav wysłał do walki następnego wojownika, dodając do stawki trzeciego.

Sos złapał drąg za oba końce i trzymał, podczas gdy przeciwnik daremnie usiłował go wyrwać. W końcu siłacz zgiął drąg, który ustąpił pod naciskiem, po czym puścił broń i postąpił krok do tyłu.

Oszolomiony mężczyzna stał bez ruchu, trzymając w rękach zawijas w kształcie litery „S”. Wystarczyło, że Sos dotknął wojownika palcem, by ten wypadł z Kręgu.

— Mam teraz czterech ludzi, licząc mnie. Będę walczył o czterech.

Wokół Kręgu zebrał się już cały obóz.

— Dowiodłeś już, że należy cię traktować poważnie — rzekł Sav. — Zmierzę się z tobą.

— Ty i całe twoje plemię przeciwko temu, co mam tutaj? — zapytał Sos z drwiną w głosie.

— Moje umiejętności przeciwko twoim — odrzekł Sav, nie dając się wyprowadzić z równowagi. — Moja grupa przeciwko twoim usługom i wszystkim wiadomościom o tobie. Kim jesteś, skąd przybywasz, jak nauczyłeś się walczyć w ten sposób i kto cię tu przysłał.

— Moje usługi możesz mieć, jeśli je zdobędziesz, albo moje życie, ale co do reszty poprzysiągłem zachować tajemnicę. Określ inne warunki.

Sav podniósł swój drąg.

— Czy boisz się ze mną zmierzyć?

Mężczyźni zachichotali. Sav sprytnie obrócił słowa przeciwnika przeciwko niemu. Kto teraz drwił z kogo?

— Nie mogę postawić tajemnicy w walce w Kręgu. Nie mam do tego prawa.

— Pokazałeś nam swą siłę. Jesteśmy zaciekawieni. Chcesz, bym postawił cały mój obóz, a nie zgadzasz się nawet rzucić na szalę przeciw niemu własnej historii. Nie sądzę, byś naprawdę chciał walczyć, nieznajomy.

Zebrani krzykliwie potwierdzili te słowa. Ta wymiana zdań spodobała się im.

Sos dostrzegł w Savie zdolności przywódcze, których nigdy przedtem nie za uważał. Z pewnością wiedział on, że musi przegrać, jeśli stanie do walki, lub okryć się wstydem, jeśli tego nie zrobi. Wyglądało jednak na to, że nie zmusi Sosa, by to on się wycofał. Jeśli przeciwnik nie przyjąłby jego warunków, Sav mógł odmówić walki nie tracąc honoru. Wiadomość o tym szybko dotarłaby do pozostałych dowódców plemion Sola. To było wspaniałe posunięcie.

Sos musiał pójść na ugodę.

— Zgoda — rzekł. — Z tym że powiem tylko tobie, nikomu więcej.

— Aleja powiem, komu będę chciał! — odparł Sav.

Sos nie sprzeciwił się temu. Musiał mieć nadzieję, że jeśli na skutek jakiegoś nieszczęśliwego przypadku przegra, będzie mógł przekonać Sava na osobności, że konieczne jest dochowanie tajemnicy. Sav był rozsądnym, wesołym z natury człowiekiem. Z pewnością go wysłucha i zastanowi się, zanim cokolwiek uczyni.

Szkoda, że ten uśmiechnięty wojownik będzie musiał ucierpieć z rąk przyja ciela.

Sav wstąpił do Kręgu. Zrobił postępy. Jego drąg był niesłychanie szybki i nie zawodnie celny. Sos usiłował go złapać, lecz nie zdołał tego dokonać. Sav uważnie przyglądał się dwóm słabszym wojownikom i teraz starał się, by jego drąg pozo stawał cały czas w ruchu, tak by nie można było go dosięgnąć. Nie marnował też sił na uderzanie w podtrzymującą głowę kolumnę, lecz starał się zadawać ciosy w twarz, w nadziei że oślepi przeciwnika, lub w łokcie, nadgarstki i stopy. Przemieszczał się nieustannie, jak gdyby był pewien, że tak masywne ciało szybko się zmęczy.

Nic to nie dało. Sos walczył z Savem przez kilka minut, aby ten nie utracił twarzy wobec swych ludzi, po czym zablokował lecący w powietrzu drąg i złapał przeciwnika za przedramię. Pociągnął je ku sobie, przytrzymując drugą ręką.

Rozległ się trzask.

Sos puścił rękę Sava i wypchnął go z Kręgu. Wojownicy zobaczyli otwarte złamanie. Podtrzymując chwiejącego się na nogach Sava, pociągnęli go za rękę i nastavili odsłoniętą kość, po czym zabandażowali gazą straszliwą ranę. Sos przyglądał się temu obojętnie.

W gruncie rzeczy takie okrucieństwo nie było konieczne. Mógł zwyciężyć na sto innych, łagodniejszych sposobów, potrzebował jednak znaczącego i w pełni przekonującego triumfu. Sav musiał ponieść zdecydowaną klęskę, i to nie wsku tek jakiegoś podstępного ciosu, po którym wypadłby z Kręgu jak pijany, nie od nosząc obrażeń. Zebrani świadkowie mogliby wówczas zwątpić w umiejętności dowódcy lub jego ochotę do walki. Złamanie było czymś namacalnym. Ludzie Sava zrozumieli natychmiast, że nikt z nich nie poradziłby sobie lepiej niż ich wódz i że nie było w tym żadnej zmywy ani tchórzostwa.

Sos zadał swemu dawnemu przyjacielowi straszliwy ból, lecz wiedział, że mo że on go znieść. Uratował w ten sposób coś ważniejszego: dobre imię pokonanego.

— Zostaw dowództwo tego obozu swemu zastępcy — warknął Sos do Sava, nie okazując litości. — Ty i ja jutro rano wyruszamy.

Rozdział 19

Dwaj mężczyźni udali się w drogę, jeden z nich z ręką w gipsie i na tembla ku. Szli, aż złamane ramię i utrata krwi uniemożliwiły dalszy marsz. Wieczorem zatrzymali się w gospodzie. Nie mieli tam towarzystwa.

— Dlaczego? — zapytał Sav, gdy Sos przygotowywał kolację.

— Dlaczego zламаłem ci rękę?

— Nie, to rozumiem. Dlaczego ty?

— Wyznaczono mnie, bym odebrał Solowi Imperium. Wątpliwe, by spotkał się ze mną w Kręgu, dopóki nie pokonam jego głównych namiestników.

Sav odchylił się do tyłu ostrożnie, uważając na rękę.

— Pytałem, dlaczego ty... Sos?

Niedługo udało mu się zachować tajemnicę.

— Możesz mi zaufać — powiedział Sav. — Nigdy nie powiedziałem nikomu o twoich nocach z Sola, a nie wiązał mnie wtedy Kodeks Honorowy. Nie wobec ciebie. Teraz też nic nie powiem. Ta wiadomość byłaby moją własnością tylko wtedy, gdybym zdobył ją w walce, a to mi się nie udało.

— Jak mnie poznałeś?

— Cóż, pamiętaj, że mieszkałem z tobą dość długo. Znam cię bardzo dobrze, i to nie tylko z widzenia. Wiem, w jaki sposób myślisz i jak pachniesz. W nocy nie mogłem spać — ręka mnie trochę bolała — i przeszedłem się koło twojego namiotu.

— Jak mogłeś mnie poznać, gdy spałem, skoro nie udało ci się to za dnia?

Sav uśmiechnął się.

— Po twoim chrapaniu.

— Moim...

Sos nawet nie wiedział, że chrapie.

— Parę innych szczegółów też się zgadzało — ciągnął Sav. — Na przykład to, jak uważnie przyglądałeś się miejscu, w którym kiedyś stał nasz mały namiot. Wiem, że nie mnie wspominałeś! Albo jak dziś nuciłeś podczas marszu „Dolinę Red River”, tak samo jak Sola wciąż nuciła „Greensleeves”. Co prawda fałszujesz jeszcze gorzej niż kiedyś. No i to, w jaki sposób dopilnowałeś, bym się nie zhańbił w kręgu. Pozwoliłeś, bym przegrał jak mężczyzna. Nie musiałeś tego robić. Zadbaleś o mnie tak, jak ja przedtem o ciebie.

— Zadbaleś o mnie?

— No wiesz, całą zimę trzymałem wszystkie dziewczynki z dala od twojego namiotu, nawet jeśli sam musiałem je zaspokajać. Wysłałem też człowieka po Sola, gdy przyszedł już na to czas.

Sol nie wracał... dopóki Sola nie zaszła w ciążę!

— Wiedziałeś o Solu?

— Jestem chyba po prostu wścibski z natury. Potrafię jednak trzymać język za zębami.

— Jasne, że potrafisz!

Musiała upłynąć chwila, zanim Sos rozważył sytuację. Sav był o wiele bardziej zmyślny i dyskretny, niż mu się kiedykolwiek wydawało.

— Dobrze, Sav. Powiem ci wszystko, a ty mi poradzisz, w jaki sposób docho - wać tajemnicy, by nikt inny się nie połapał. Może być?

— Zgoda! Z wyjątkiem...

— Żadnych wyjątków. Nie mogę powiedzieć nikomu więcej.

— Z wyjątkiem dwojga, którzy i tak się dowiedzą. Nie ma sposobu, by temu zapobiec. Sol rozpozna cię, gdy tylko się zbliżysz na odległość stu stóp. On już taki jest. Nie zdołasz też przez dłuższy czas oszukiwać Soli. Co do reszty... cóż, jeśli uda się nam okłamać Tora, z pozostałymi nie będzie problemów.

Sav zapewne miał rację. Ta myśl jednak nie zaniepokoiła Sosa. Jeśli zrobi co w jego mocy, by się nie dać poznać, lecz jego najbliżsi i tak odkryją prawdę, trudno będzie cokolwiek mu zarzucić. Nikt bowiem nie puści pary z ust.

— Zapytałeś, dlaczego ja. Również zadawałem sobie to pytanie. Zmusili mnie, lecz nie poddałbym się, gdybym miał wątpliwości. Dlaczego ja? Otóż dlatego, że to ja stworzyłem Imperium, choć oni o tym nie wiedzą. Ja dałem mu początek, zorganizowałem je i wyszkoliłem. Zostawiłem po sobie ludzi, którzy mogli je dać lej rozwijać. Jeśli Imperium stało się złe, to moim obowiązkiem jest je unicestwić, a tylko ja mogę to uczynić unikając wielkiego rozlewu krwi. Tylko ja naprawdę rozumiem jego naturę i ludzi, którzy nim władają. A także mogę pokonać Sola w Kręgu.

— Może lepiej zacznij od początku — powiedział Sav. — Odszedłeś. Słyszałem, że potem

wróciłeś ze sznurem, Sol cię pokonał i udałeś się na Górę.

Była późna noc, gdy Sos skończył swą opowieść.

Obozowisko Tyla okazało się znacznie większe niż obóz Sava. Żyło w nim pięciuset doświadczonych wojowników-zdobywców. Tym razem nie utrudniano przybyszom wstępu. Sav był jednym z głównych namiestników Imperium i gdy rozmawiał ze strażnikami, w jego zwykle łagodnym głosie dawał się wyczuć rozkazujący ton. W dziesięć minut po wejściu do obozu stanęli przez obliczem Tyla.

--Co cię tu sprowadza bez eskorty, towarzyszu? — zapytał z namysłem Tyl, nie spytawszy Sava o jego gojącą się rękę. Postarzał się, ale nie utracił pewności siebie.

— Służę nowemu Wodzowi. Oto Bezimienny, który odnalazł mnie i pokonał w Kręgu. Teraz chce postawić mnie i moje plemię przeciw tobie i twojemu plemieniu.

Tyl przyjrzał się tunice Sosa, usiłując odgadnąć, jakie kryje się pod nią ciało.

— Z całym szacunkiem, były towarzyszu, moje plemię jest potężniejsze od twojego. Będzie musiał się najpierw zmierzyć z moimi zastępcami.

— Oczywiście. Postaw więc jedną trzecią swojego plemienia. Możesz się przyjrzeć dzisiaj swemu przeciwnikowi i zmierzyć się z nim jutro.

— Wydaje się, że pokładasz w nim duże zaufanie — zauważył Tyl.

Sav zwrócił się w stronę Sosa.

— Wodzu, gdybyś zechciał zdjąć ubranie...

Sos usłuchał. Dobrze uczynił pozwalając Savowi prowadzić rozmowę. Z pew nością miał on do tego talent. Ten wczesny nabytek okazał się bardzo szczęśliwy. Tyl spojrzał na ciało nieznanego.

— Rozumiem — powiedział. Widok wywarł na nim wrażenie. — Jakiej broni używa? Tak, rozumiem — po wtórzył po raz drugi.

Po południu Sos powalił jednego z zastępców Tyla, zadając uzbrojonemu w miecz wojownikowi potężny jak uderzenie młota cios pięścią w korpus. Broń przeciwnika złapał po prostu za klingę, powstrzymując pchnięcie, i nie wypuścił. W miejscu, gdzie ostrze zetknęło się ze zgrubiałą skórą pokrywającą metalową siatkę osadzoną w dłoni, pojawiła się cienka kreska. To było wszystko. Sos zacił się na mieczu ostrożnie, lecz świadkowie nie zdawali sobie z tego sprawy i sądzili, że naprawdę zatrzymał zadany z pełną siłą cios nie osłoniętą ręką.

Tyl, podobnie jak Sav, uczył się szybko. On również walczył mieczem. Szer mował z rękami Sosa, jakby były sztyletami, jego głowę zaś traktował jak maczu gę. Cały czas trzymał się na dystans. To była mądra metoda. Świszczący miecz zapewniał mu znakomitą obronę i Tyl nie podejmował żadnego ryzyka.

Ale zapomniał o jednym: Sos miał nie tylko ręce i głowę, lecz również stopy. Nagłe kopnięcie w rzepek sparaliżowało na chwilę nogę Tyla, osłabiając jego ru chliwość. Zrozumiał wtedy, że przegrał. Walczył jednak dalej. Nie był tchórzem. Zdecydował się na samobójczy atak dopiero wtedy, gdy oba kolana miał zmiął dżone.

Sos, nie zważając na wbity w ramię miecz, dotknął palcami nasady odsłoniętej szyi Tyla i walka się skończyła.

Następnie sam wyciągnął sobie miecz i zabandażował ranę. Było to pchnięcie, a nie cięcie, i metalowe wzmocnienie kości zatrzymało czubek klingi. Z czasem rana się zagoi.

Gdy Tyl mógł już chodzić, Sos dołączył go do swej świty i wyruszyli w kie runku następnego większego plemienia, zbliżając się stopniowo do obozu Sola. Ponieważ Sos nie mógł zapewnić Tyłowi szybkiego powrotu do plemienia, ten zabrał rodzinę ze sobą. Żona Tyla wzięła na siebie domowe obowiązki. Dzieci ga piły się na człowieka, który pokonał ich ojca, niemal niezdolne się z tym pogodzić. Były jeszcze za małe, by w pełni rozumieć, na czym polega walka, i nie zdawały sobie sprawy, że Tyl został pokonany w chwili, gdy przyłączył się do powstającej grupy Sola. Wędrowcy nie prowadzili szczerych rozmów. Tyl nie rozpoznał Bez imiennego, a jeśli tylko wydawał się

dostrzegać coś niepokojącego, Sav sprytnie odwracał jego uwagę.

Po trzech tygodniach dotarli do plemienia Tora. Sos zdecydował, że musi przyłączyć do swego orszaku jeszcze jednego dowódcę; dopiero wówczas będzie miał wystarczającą liczbę ludzi, by zmusić Sola do walki w Kręgu. Władzał teraz po nad sześciuset ludźmi, pozostało jednak osiem plemion, a niektóre z nich były bardzo liczne. Sol wciąż mógł ocalić swe Imperium, nie pozwalając tym plemiom przyjąć wyzwania i uchylając się od walki w Kręgu. Jednakże gdyby Sosowi udało się pozyskać trzecie plemię, opanowałby zbyt dużą część Imperium, by Sol mógł z niej zrezygnować....

Plemię Tora było mniejsze, lecz zajmowało imponujący obszar. W pobliżu ćwiczyło kilka par, jak gdyby rywalizacja z Pitami zakończyła się mniej więcej remisem. Sos spodziewał się, że dobrze się przygotują na jego przybycie, i nie spotkało go rozczarowanie. Tor pojawił się natychmiast i zaprowadził go na nara dę. Sav i Tyl nie zostali na nią zaproszeni.

— Widzę, że masz rodzinę — powiedział.

Sos spojrzął na swój nagi nadgarstek.

— Kiedyś miałem.

— Och, rozumiem.

Tor próbował odnaleźć jego słaby punkt, lecz bez powodzenia.

— Cóż, jak rozumiem, przybyłeś znikąd, pokonałeś Sava i Tyla, a teraz za mierzysz wyzwać Sola do walki o jego Imperium... i rzeczywiście wchodzisz do Kręgu bez broni.

— Tak.

— Wydaje się, że postąpiłbym głupio, gdybym zmierzył się z tobą, skoro Tyl jest lepszym wojownikiem ode mnie.

Sos powstrzymał się od odpowiedzi.

— Niemniej nie leży w mojej naturze uchylać się od wyzwania. Przypuść my, że zrobimy tak: postawię własne plemię przeciw twojemu, jeśli zgodzisz się walczyć z moim człowiekiem.

— Z jednym z twoich zastępców? Nie postawię sześciuset ludzi w walce z młodszym stopniem.

Naprawdę jednak Sos martwił się, czy aby Tor go nie rozpoznał.

--Tego nie powiedziałem. Mój człowiek, który nie należy do grupy, wystąpi przeciwko tobie. W pojedynkę. Jeśli cię pokona, zwolnisz wszystkich swoich ludzi i odejdziesz. Sol z czasem ich odzyska. Jeśli zaś zwyciężysz, oddam ci swoją grupę, lecz sam pozostanę na służbie u Sola. Nie chcę w tej chwili służyć żadnemu innemu wodzowi.

— To ciekawa propozycja.

Musiał w tym być jakiś haczyk. Tor zawsze był bystry.

— Przyjacielu, ty sam jesteś ciekawą propozycją.

Sos rozważył sprawę, nie dopatrywał się jednak żadnej ukrytej nieuczciwości. Jeśli zwycięży, zdobędzie plemię, jeśli przegra, nadal będzie mu wolno dążyć do walki z Solem. Nie miało znaczenia, z kim się będzie pojedynkował, gdyż prędzej czy później i tak musiał pokonać tego wojownika, aby nie dopuścić do zmartwychwstania Imperium pod władzą nowego wodza.

Wydawało się też, że Tor nie rozpoznał Sosa, co sprawiło mu osobistą satysfakcję. Być może zanadto się tym przejmował.

— Zgoda. Zmierzę się z tym człowiekiem.

— Przybędzie tu za parę dni. Wysłałem już gońca, aby go sprowadził. Tymczasem przyjmij naszą gościnność.

Sos wstał i skierował się ku wyjściu.

— Jeszcze jedno — przypomniał sobie. — Kim on jest?

— Nazywa się Gog. Gog Maczuga.

Można się było spodziewać, że sprytny Tor wpadnie na coś takiego. Jedyne wojowniki, którego

nawet Sol nie był w stanie pokonać!

Minęły trzy dni i pojawił się Gog, równie wielki i szczęśliwy jak zawsze. Przez dwa lata nie zmienił się ani trochę. Sos pragnął podbiec do niego, uścisnąć mu dłoń i jeszcze raz usłyszeć, jak olbrzym mówi: „Dobra!”, nie mógł jednak tego zrobić. Był Bezimiennym i będzie musiał walczyć z Gogiem i zwyciężyć go anonimowo.

Teraz było jasne, dlaczego Tor ustalił podobne warunki. Gogowi zupełnie nie zależało na władzy. Walczył dla czystej radości czynu i nie rościł sobie żadnych pretensji do pokonanych. Wystarczyło, że posłaniec szepnął: „Dobra walka!” — i Gog wyruszył w drogę.

Tor dobrze wybrał także z innego powodu. Gog był jedynym znanym Sosowi człowiekiem, równie niewrażliwym na ciosy jak on sam. Inni próbowali pokonać Bezimiennego za pomocą swych umiejętności i przyniosło im to tylko porażkę. Gog nie poległ na umiejętnościach, lecz na niewyczerpanej sile.

Zbliżał się zmierzch i Tor namówił Goga, by odłożyć walkę do jutra.

— Twardy wojownik, długa walka — wytłumaczył mu. — Potrzeba całego dnia.

Gog uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Dobra!

Sos obserwował, jak wielki mężczyzna pochłonął trzy kolacje i oblizwał z niecierpliwością wargi, gdy kilka uroczych, spragnionych dziewcząt zebrało się wokół, dotykając bransolety na jego nadgarstku. Oto człowiek, który poznał nie zawodną receptę na życie w nieustannej radości: olbrzymia siła, niewyczerpany apetyt i żadnej troski o przyszłość. Jakże przyjemnie byłoby znowu z nim wędrować i wygrzewać się w promieniach jego szczęścia. Inni mogli się martwić rzeczywistością, ale nigdy Gog.

Sos walczył jednak o zachowanie dobra tkwiącego w społeczności koczowniczej. Pokonując Goga zapewnił na zawsze istnienie wolnych wojowników, z którymi będą mogli walczyć tacy jak on. Imperium nigdy nie pochłonie ich wszystkich.

Rankiem, niedługo po wschodzie słońca, udali się do Kręgu. Ludzie z obozu tłoczyli się tak gęsto, że Tor musiał torować wśród nich drogę ku arenie. Wszyscy znali stawkę, z wyjątkiem być może samego Goga, którego to nie obchodziło. Największe zainteresowanie wzbudzała jednak sama walka. Jak głosiła legenda, tylko dwukrotnie Gog został powstrzymany: pierwszy raz przez zachód słońca, a drugi wskutek przypadkowej utraty broni. Nikt go nigdy naprawdę nie pokonał.

Mówiono też jednak, że nie wstępuje do Kręgu przeciwko sieci czy innej nieznanej broni.

Gog wpadł na arenę i natychmiast zaczął wymachiwać ochoczo maczugą, pod czas gdy Sos pozostał na zewnątrz i rozebrał się do spodenek. Zwinął starannie długą tunikę i stanął wyprostowany. Przeciwnicy popatrzyli na siebie nawzajem, publiczność zaś oceniła wzrokiem wojowników.

— Są sobie równi! — krzyknął ktoś z podziwem.

Sos nie mógł uwierzyć. On równy olbrzymowi? Niemożliwe!

A jednak! Gog był wyższy i szerszy w ramionach, lecz Sos miał teraz masywniejszą budowę. Lekarze w podziemnej klinice wstrzykiwali mu środki pobudzające rozwój mięśni. Również wszczepione materiały ochronne zwiększyły jego masę. Był teraz potężniejszy niż uprzednio, lecz nie miał w sobie ani odrobiny tłuszczu. Prawdopodobnie ważył prawie dwa razy więcej niż wtedy, gdy po raz pierwszy wyruszył w poszukiwaniu przygód.

Obaj mieli potężnie umięśnione barki i ramiona oraz szyje pokryte bliznami. Ale Gog był węższy w biodrach i miał dość chędlawe nogi, podczas gdy na brzuchu Sosa uwypuklały się chroniące go mięśnie, jego uda zaś osiągnęły taką grubość, że bieg przychodził mu z trudnością.

Nie nosił broni. Sam był bronią.

Wstąpił do Kręgu.

Gog zaatakował po swojemu, starając się trafić przeciwnika w głowę lub korpus. Sos uchylał się i

stosował inne uniki. Kiedy walczył przeciwko drągowi, stał nieruchomo i przyjmował na siebie ciosy, aby wywołać wrażenie, maczuga była jednak znacznie cięższa. Solidny cios w głowę, zadany przez kogoś takiego jak Gog, mógł pozbawić przytomności. Metal w czaszce Sosa nie zostanie wgnieciony, lecz skryty wewnątrz mózg dozna wstrząsu. Wzmocnione kości rąk i nóg nie pękają, lecz utwardzona chrząstka i mięśnie ucierpią, gdy znajdą się pomiędzy taką kością a uderzającą z całą siłą maczugą. Gog mógł mu zrobić krzywdę.

Uchylił się przed rozpędzoną maczugą i podniósł gwałtownie rękę, by zablokować jej powrót. Przyskoczył bliżej Goga i uderzył go drugą pięścią w żołądek tak mocno, że ów cofnął się do tyłu. Podobny cios mógłby zmiażdżyć skałę.

Gog przerzucił maczugę do drugiej dłoni i z całej siły uderzył nią w dół, by zdruzgotać biodro Sosa, po czym cofnął się dla odzyskania równowagi i ponownie przystąpił do ataku. Nawet nie zauważył uderzenia.

Sos znów okrążył przeciwnika, aby rozruszać stłuczone biodro. Zaczął się zastanawiać. Mięśnie brzucha Goga nie były jednak słabe. Od takiego ciosu wnętrzości zwyczajnego wojownika popękałyby. Sposób, w jaki Gog przerzucał ma czugę z ręki do ręki, wskazywał, że w jego ataku jest więcej sprytu, niż się lu dziom zdawało. W gruncie rzeczy wcale nie machał nią teraz chaotycznie. Zmienił raz po raz kąt uderzenia i nie zataczał zbyt szerokich łuków. Miecz czy drąg nie zdążyłyby się prześliznąć między kolejnymi uderzeniami, lżejsza broń zaś by łaby zupełnie bez szans. Pod spontanicznym atakiem Goga kryła się znakomita, pewna obrona.

Dziwne, że nigdy przedtem tego nie zauważył. Czyżby rzucająca się w oczy głupota Goga była jedynie pozorem? Czy Sos, który z pewnością powinien był się znać na rzeczy, założył, że mężczyzna tak wielki i silny jak Gog musi być niezbyt rozgarnięty? A może był on, podobnie jak Sol, urodzonym wojownikiem, który robił to wszystko nieświadomie i zwyciężał za pomocą instynktu?

Musiał jednak mieć słabe punkty. Sos spróbował kopnąć go w odsłonięte ko lano. Nie zdążył nawet wycelować ciosu. Na pozór przypadkowo opuszczona ma czuga uderzyła go w nogę. Ponownie odparował cios ramienia trzymającego ma czugę i skoczył naprzód, by objąć Goga wpół, łącząc dłonie za jego plecami. Gog wstrzymał oddech, uniósł maczugę wysoko w powietrze i opuścił. Sos zwolnił uścisk i odepchnął przeciwnika, unikając w ostatniej chwili ciosu w głowę, który zakończyłby walkę.

Tak, Gog umiał się bronić.

Następnym razem Sos zablokował ramię przeciwnika i złapał je obiema rękami, próbując złamać. Nic to nie dało. Gog naprężył potężne mięśnie, skutecznie przeciwdziałając zamiarowi rywala. Ponownie przerzucił maczugę do drugiej ręki i spróbował uderzyć Sosa w plecy, zmuszając go do kolejnego pośpiesznego od wrotu. Sos spróbował raz jeszcze. Wbił wzmocnione palce w ramię przeciwnika tuż nad łokciem w poszukiwaniu nerwów. Musiał go jednak puścić. Maczuga by ła zbyt groźna, by jej nie doceniać. Mógłby na jakiś czas osłabić ramiona Goga, czyniąc go niezdolnym do walki, tymczasem jednak otrzymałby serię ciosów ma czugą, przez co w najbliższym czasie nie byłby w stanie przystąpić do następnego pojedynku.

Jasne było, że proste środki nie wystarczą. Gog będzie walczył, dopóki nie straci przytomności, a człowieka o takiej budowie niełatwo ogłuszyć. Udusić go, zachodząc od tyłu? Mógł uderzyć maczugą ponad głową lub z boku. Powalił przeciwnika na długo przedtem, zanim sam straci przytomność. Poza tym jak przedra mię mogło osiągnąć to, czego nie zdołał dokonać sznur? Potężny cios w podstawę czaszki? Dla Goga pewnie zakończyłoby się to ogłuszeniem.

Skuteczny mógł być jedynie niespodziewany atak. Kopniak w krocze, cios sztywnym palcem w gałkę oczną... każde szybkie uderzenie w odsłonięty narząd z pewnością powaliłoby olbrzyma.

Sos ciągle uchylał się i odbijał ciosy, uderzając przedramieniem o przedramię. Czy powinien to zrobić? Czy jakakolwiek potrzeba usprawiedliwiła świadome i trwałe okaleczenie przyjaciela?

Nie zastanawiał się nad tym. Postanowił po prostu walczyć tak, jak musiał: uczciwie.

Maczuga pozbawiłaby go przytomności, gdyby trafiła celnie. Podobnie uczy niłby z Gogiem jeden z ciosów lub chwytów Sosa, gdyby został odpowiednio zadany. Ponieważ jednak Gog nie rozumiał, co to znaczy przegrać, i nigdy nie poddałby się pod wpływem silnych uderzeń czy zwykłego bólu, podobna taktyka nie miała sensu. Sos rozumiał, że będzie musiał zakończyć walkę szybko i zde cydowanie. A to oznaczało, że zajmując dogodną pozycję otrzyma przynajmniej jeden potężny cios maczugą. To było nieuniknione ryzyko.

Odczekał, aż maczuga zatoczy kolejny łuk, zrobił unik, pochylił głowę i pod skoczył, by zadać Gogowi kopniaka w brodę. Maczuga uderzyła go w nogę, miąż dżąc mięśnie. Sos poleciał w bok, lecz jego pięta dosięgła przeciwnika.

Za wysoko. Trafiła Goga w czoło i jego głowa odskoczyła do tyłu z impe tem zwiększonym jeszcze przez jednoczesne uderzenie maczugą. Cios okazał się znacznie bardziej niebezpieczny od planowanego.

Sos padł na ziemię, przetoczył się na zdrową nogę, po czym poderwał się, gotów zacisnąć palce na karku przeciwnika. Przyparty do podłoża Gog nie mógł się skutecznie zamachnąć maczugą, zresztą nawet on nie wytrzymałby dłużej niż kilka sekund...

Sos zamarł. Nagle zrozumiał, co się stało.

Lekkie odchylenie kąta, pod jakim kopniak uderzył w głowę, przesunięcie po tęznego ciała Goga ku przodowi w chwili zamachu, wzmagający siłę ciosu skutek uderzenia maczugi, sam ucisk mięśni szyi Goga — wszystko to złożyło się do kładnie na taki wynik, jakiego Sos pragnął uniknąć.

Gog miał złamany kark.

Nie padł martwy, lecz podobnego uszkodzenia nie sposób było wyleczyć. Jeśli przeżyje, zostanie sparaliżowany. Nigdy już nie będzie walczył.

Sos podniósł wzrok, zdając sobie sprawę z istnienia widowni, o której całko wicie zapomniał. Napotkał wzrok Tora. Ten skinął mu z powagą.

Sos podniósł z ziemi maczugę i z całej siły uderzył nią w głowę Goga.

Rozdział 20

—Chodź ze mną — powiedział Sav.

Sos udał się za nim do lasu. Było mu obojętne, dokąd zmierza. Czuł się po dobnie jak wtedy, gdy Głupi zamarzył w śniegu. Wielki, być może nie za bystry, lecz szczęśliwy mężczyzna zginął nagle, choć nikt tego nie chciał ani nie oczeki wał — a najmniej ze wszystkich sam Sos. Zawsze lubił krzepkiego wojownika. Walczył nawet u jego boku. Zgodnie z zasadami obowiązującymi w Kręgu Gog był jego przyjacielem.

Gdyby zamierzał go zabić lub okaleczyć, mógłby to zrobić na wiele sposo bów, mimo mocy tamtego. Wysiłki, jakie czynił Sos, by nie zadać poważnych ran, w znacznej mierze zadecydowały o przedłużeniu pojedynku, niczego jednak nie rozstrzygnęły. Może nie sposób było pokonać Goga nie zabijając go? Może z czasem sam siebie o tym przekona.

Przynajmniej Gog zginął tak, jak by zapewne tego pragnął — od szybkiego ciosu maczugą. Słaba pocięcha.

Sav zatrzymał się, wskazując przed siebie ręką. Znajdowali się na leśnej pola nie z okrągłym pagórkiem, na którego szczycie wznosiła się prymitywna pirami da z kamieni. Było to jedno ze świętych miejsc pochówku, otoczone opieką tych, którzy nie chcieli oddawać ciał swych przyjaciół Odmieńcom w celu spalania.

— Czy w Podziemiu mogliby go uratować? — zapytał Sav.

— Myślę, że tak.

— Ale gdybyś spróbował go tam zabrać...

— Spaliliby nas obu miotaczem ognia, zanim zdążylibyśmy się zbliżyć. Za bronili mi wracać.

— W takim razie to było najlepsze wyjście.

Stali patrząc na pagórek. Wiedzieli, że wkrótce Gog tu spocznie.

— Sol odwiedza te świątynie co kilka dni, sam — powiedział Sav. — Pomyślałem sobie, że chciałbyś się o tym dowiedzieć.

Wydawało się, że nie upłynęła nawet chwila, minął jednak cały miesiąc wę drówki i powracania do zdrowia, zanim Sos ujrzał Sola, który przybył się pomodlić pod jednym ze wzgórz.

Klęknął u stóp piramidy i podniósł na nią wzrok. Sos opadł na kolana u jego boku. Przez dłuższą chwilę klęczeli w milczeniu.

— Miałem kiedyś przyjaciela — odezwał się wreszcie Sos. — Musiałem spotkać się z nim w Kręgu, choć wolałbym tego nie robić. Teraz tu spoczywa.

— Ja też — odrzekł Sol. — Mój przyjaciel poszedł na Górę.

— Teraz muszę rzucić wyzwanie do walki o Imperium, którego nie chcę, i być może znowu zabić, choć pragnę tylko przyjaźni.

— Modliłem się tu o przyjaźń cały dzień — rzekł Sol, mówiąc o wszystkich wzgórzach na świecie i wszystkich chwilach modlitwy, jak gdyby były jednym wzgórzem i jedną chwilą. — Gdy wróciłem do obozu, myślałem, że moja prośba została wysłuchana, lecz on zażądał tego, czego nie mogłem dać — przerwał. — Oddałbym swoje Imperium, aby odzyskać tego przyjaciela.

— Dlaczego nie możemy odejść stąd razem i nigdy więcej nie wstąpić do Kręgu?

— Zabrałbym ze sobą tylko córkę. — Sol spojrział na Sosa po raz pierwszy od chwili zakończenia pamiętnego pojedynku. Nie powiedział, czy rozpoznał w nim kogoś więcej niż tylko zapowie-dzianego Bezimiennego, ani czy zaskoczyła go ta nieoczekiwana więź. — Oddałbym ci jednak matkę, skoro twoja bransoleta jest martwa.

— Przyjąłbym ją w imię przyjaźni.

— W imię przyjaźni.

Wstali i uścisnęli sobie dłonie. W żaden inny sposób nie dali do zrozumienia, czy się poznali.

Obóz był ogromny. Pięć pozostałych plemion przeniosło się do niego, by połączyć się z Wodzem w oczekiwaniu na przybycie przeciwnika. Dwa tysiące mężczyzn z rodzinami obozowało na równinie i w lesie, śpiąc we wspólnych namiotach i korzystając ze wspólnych kuchni. Ci, którzy umieli czytać, doglądali rozdziału zapasów i udzielali codziennych lekcji czytania i rachunków grupom uczniów. W góry wyprawiali się poszukiwacze rudy, którą zgodnie z tym, co mówiły książki, można było tam odnaleźć. Inni uprawiali ziemię, by hodować jadalne rośliny zgodnie ze wskazaniami innych książek. Kobiety uczyły się tkąć i robić na drutach. Jeden z zespołów miał nawet prymitywny warsztat tkacki własnej roboty. Imperium było teraz zbyt wielkie, by wykarmiły je gospody, i zbyt niezależne, by polegać na dostawach ubrań czy broni z zewnątrz.

— To jest Sola — powiedział Sol, przedstawiając bogato odzianą, piękną dziewczynę. — Mam zamiar oddać cię Bezimiennemu — powiedział do niej. — Jest po tężnym wojownikiem, choć nie nosi broni.

— Jak sobie życzysz — odparła obojętnie. Spojrzała na Sosa nie widzącym wzrokiem.

— Gdzie jest jego bransoleta? Jakie imię mam nosić?

— Zachowaj tę, którą ci dałem. Znajdę sobie drugą.

— Zachowaj swoje imię. Nie mogę ci dać lepszego.

— Jesteście nienormalni — powiedziała.

— To jest Soli — rzekł Sol, gdy do przedziału weszła mała dziewczynka.

Podniósł ją na wysokość swojej głowy. Miała w ręku mały drąg i wywijiała nim groźnie.

— Jestem amazonką! — krzyknęła dźgając kijkiem Sosa. — Walczę w Kręgu.

Udali się na miejsce, w którym zebrali się ich namiestnicy: z jednej strony Sav i Tyl, z drugiej Tor, Tun, Neq i trzech innych, których Sos nie znał. Gdy Sol i Sos nadeszli, wszyscy oni utworzyli Krąg.

— Ustaliliśmy wstępne warunki — oznajmił Sav. — Rzecz jasna, wodzowie muszą je

zatwierdzić.

— Warunki są takie — odezwał się Soi głosem, wykluczającym wszelką dyskusję. — Imperium zostanie rozwiązane. Każdy z was nadal będzie dowódcą ple mienia, którym teraz rządzi w naszym imieniu, a Tor odzyska swe dawne plemię, z tym że nigdy nie staniecie przeciwko sobie w Kręgu.

Spojrzeni na niego, nic nie rozumiejąc.

— Czy już ze sobą walczyliście? — zapytał Tun.

— Wycofałem się z Kręgu.

— W takim razie musimy służyć Bezimiennemu.

— Ja również wycofałem się z Kręgu — oznajmił Sos.

— Ale Imperium rozpadnie się, jeśli któryś z was nie będzie wodzem. Nikt inny nie jest tak silny!

Sol odwrócił się do nich plecami.

— To już postanowione — powiedział. — Zabierajmy swoje rzeczy i chodź my.

— Zaczekajcie! — krzyknął Tyl, biegnąc za nimi na sztywnych nogach. — Jesteście nam winni wyjaśnienie.

Sol tylko wzruszył ramionami. Sos odwrócił się w ich stronę i przemówił:

— Cztery lata temu wszyscy służyliście małym plemionom lub wędrowaliście samotnie. Spaliście w gospodach lub prywatnych namiotach i nie potrzebowaliście niczego, czego wam nie dostarczono. Mogliście chodzić, dokąd zechcieliście, i robić to, na co mieliście ochotę. Teraz wędrujecie w wielkich plemionach i walczycie dla innych, kiedy wam każą. Uprawiacie ziemię i pracujecie jak Odmieńcy, ponieważ jest was zbyt wielu, by wystarczyły wam zasoby okolicy, w której żyjecie. Wydobywacie metale, ponieważ nie dowierzacie już Odmieńcom, że zrobią to dla was, choć nigdy dotąd nie zawiedli zaufania. Studiujecie książki, ponieważ pragniecie rzeczy, jakie może wam dać cywilizacja. To nie powinno mieć miejsca. Wiemy, do czego prowadzi cywilizacja. Niszczy ona wszystkie wartości Kręgu. Powoduje rywalizację o rzeczy, które nie są wam potrzebne. Nie upłynie wiele czasu, a wypełnicie całą ziemię, stając się plagą podobną do ryjówek, które spustoszyły własne żerowiska. Zapiski wykazują, że rozwój Imperium prowadzi do Wybuchu.

Jego słowa nie przekonały jednak słuchaczy.

Wszyscy oprócz Sava spoglądali na niego z niedowierzaniem.

— Twierdzisz — powiedział powoli Tor — że jeśli nie pozostaniemy prymi tywnymi koczownikami uzależnionymi od Odmieńców, nie znającymi lepszego życia, nastąpi kolejny Wybuch?

— Tak, z biegiem czasu. To właśnie wydarzyło się przedtem. Naszym obo wiązkiem jest dopilnowanie, aby się nigdy nie powtórzyło.

— I wierzysz, że rozwiązaniem jest utrzymanie obecnego chaosu?

— Tak.

— Aby więcej ludzi mogło ginąć w Kręgu? Jak Gog?

Sos stał jak rażony gromem. Czy na pewno był po właściwej stronie?

— Lepsze to, niż gdyby zginęli w Wybuchu — wtrącił się nieoczekiwanie Sol.

— Jest nas za mało, byśmy mogli potem odbudować naszą społeczność.

Mimo woli podważył słowa Sosa, że Imperium jest przeludnione.

— Chcesz ocalić Krąg porzucając go? — zaatakował Sola Neq.

— Czasem trzeba zrezygnować z czegoś, co się kocha i ceni, aby tego nie zniszczyć — odezwał się wreszcie Sav, który rozumiał obie strony. — Uważam to za rozsądne.

— Uważam to za tchórzostwo! — odrzekł Tyl.

Zarówno Sol, jak i Sos odwrócili się w jego stronę rozgniewani. Tyl nie ustąpił.

— Obaj pokonaliście mnie w Kręgu. Jestem gotów służyć każdemu z was. Jeśli jednak boicie się zmierzyć ze sobą o władzę, muszę to nazwać po imieniu.

— Nikt nie ma prawa budować Imperium, by potem je porzucić — dodał Tor.
— Przywództwo oznacza odpowiedzialność.
— Gdzie się nauczyłeś całej tej „historii”? — zapytał Neq. — Nie wierzę w to wszystko.
— Dopiero zaczynamy współdziałać ze sobą jak mężczyźni, zamiast się bawić jak dzieci — dorzucił Tun.

Sol spojrział na Sosa.

— Nie mają nad nami żadnej władzy. Niech sobie gadają.

Sos zawahał się. Słowa tych ludzi, którzy tak nagle stali się stanowczy, miały niepokojący sens. Skąd mógł być pewien, że to, co powiedział mu władca Podzie mia, było prawdą? Cywilizacja miała tyle oczywistych zalet. Upłynęły tysiąclecia, zanim nastąpił Wybuch. Czy rzeczywiście była to wina cywilizacji, czy też wcho dziły tu w grę inne powody, których nie znał, i które być może już nie istniały... Pojawiła się mała Soli i podbiegła do Sola.

— Tato, czy będziesz teraz walczył?

Tyl zastąpił dziewczynce drogę. Przyklęknął na obolałych kolanach.

-Soli, co byś zrobiła, gdyby twój tata zdecydował, że nie będzie walczyć?

Spojrziała na niego szeroko otwartymi oczami.

— Nie będzie walczyć?

Nikt się nie odezwał.

— Gdyby powiedział, że nigdy już nie wejdzie do Kręgu — podjudzał ją Tyl.— Gdyby odszedł i nigdy już nie walczył.

Soli wybuchnęła płaczem.

Gdy Tyl ją puścił, podbiegła do Sola.

— Wejdz do Kręgu, tato! — krzyknęła. — Pokaż mu!

Sytuacja się powtórzyła. Sol, pokonany, spojrział na Bezmiennego.

— Muszę walczyć dla mojej córki.

Sos zmagął się ze sobą, wiedział jednak, że szansa na uniknięcie rozlewu krwi została zniweczona. Zrozumiał nagle w straszliwym olśnieniu, że to nie imię, ko bieta czy Imperium było zasadniczym powodem ich walki, ale właśnie dziecko. Zawsze dziecko zwane Soli. Krąg rozstrzygnął, który z mężczyzn miał się szczyścić ojcostwem.

Sol nie mógł się wycofać. Sos również nie. Bob, władca Podziemia, powie dział mu jasno, co się stanie, jeśli pozwoli Imperium przetrwać.

— A więc jutro — powiedział, również pokonany.

— Jutro, przyjacielu.

—I zwycięzca będzie rządził całym Imperium — krzyknął Tyl.

Pozostali zgodzili się.

Dlaczego uśmiechając się przywodzili na myśl wilki? Zasiedli razem przy ko lacji — dwaj wodzowie oraz Sola i Soli.

— Zaopiekujesz się moją córką — powiedział Sol. Nie musiał mu wyjaśniać, co ma na myśli.

Sos skinął tylko głową.

Sola była bardziej bezpośrednia.

— Czy chcesz mnie na noc?

Czy to była kobieta, której pragnął? Sos przyjrzał się jej. Dostrzegł zgrabną figurę i piękne rysy. Nie rozpoznała go, był tego pewien — a jednak ze spokojem ducha zgodziła się na poniżający związek.

— Kochała innego — wyjaśnił Sol. — Teraz nie liczy się dla niej nic oprócz władzy. To nie jej wina.

— Wciąż go kocham — dodała. — Jego ciało może być martwe, ale nie wspo mnienia o nim. Moje ciało się nie liczy.

Sos nadal się jej przyglądał, widział jednak małą Sosę z Podziemia — dziewczynę, która nosiła jego bransoletę. Bob zagroził, że jeśli Sos odmówi przyjęcia misji, wyśle ją... aby wśliznęła się do obozu Sola jako kobieta do wzięcia i ugodziła jego, a potem siebie zatrutą strzałką. W ten sposób Wódz Imperium zostałby zabity i skompromitowany. Jeśli Sosowi się nie powiedzie, wtedy Sosa również zostanie wysłana.

Z początku obchodził go los Sola, choć Bob nigdy tego nie podejrzewał. Tylko podejmując się misji mógł uchronić przyjaciela przed zdradzieckimi planami władcy Podziemia. Gdy jednak zakończyło się szkolenie, niebezpieczeństwo grożące Sosie stało się również ważne. Gdyby teraz zdradził Podziemie, ona by za to zapłaciła.

Sol i Sosa. Tych dwoje nigdy się nie spotkało, jednak to oni określili jego przeznaczenie. Musiał działać tak, by uratować oboje, choć nie odważył się po wiedzieć żadnemu z nich, dlaczego to robi.

— W imię przyjaźni, przyjmij ją! — zawołał Sol. — Nie pozostało mi nic innego, co mógłbym ci dać.

— W imię przyjaźni — szepnął Sos.

Dość już miał tego wszystkiego. Wciąż w grę wchodziło poświęcenie lub hańba. Wiedział, że Sola będzie w myślach obejmował mężczyznę, który poszedł na Górę. Może nigdy nie poznać prawdy.

Natomiast on będzie obejmował tylko Sosę. Ona również nigdy się o tym nie dowie. Dopóki jej nie opuścił, nie zdawał sobie sprawy, że to ją kocha bardziej.

Nazajutrz w południe spotkali się przy Kręgu. Sos pragnął przegrać, wiedział jednak, że nie jest to rozstrzygnięcie. Zwycięstwo Sola oznaczałoby jego śmierć. Tak zapowiedziało Podziemie.

Dwukrotnie stanął do walki z Solem, starając się wygrać, i przegrał. Tym razem w głębi serca pragnął przegrać, musiał jednak wygrać. Lepsze poniżenie jednego niż śmierć dwojga.

Sol wybrał sztylety. Jego piękne ciało lśniło w słońcu. Lecz Sos ze smutkiem wyobraził sobie, jak będzie ono wyglądało po straszliwym uścisku rąk Bezimienego. Szukał jakiegoś pretekstu, by odwlec początek walki, ale bezskutecznie. Zgromadził się już tłum gapiów. Klamka zapadła. Wodzowie musieli się ze sobą zmierzyć. W Kręgu nie było miejsca na przyjaźń. Sos oszczędził przyjaciela, jeśli zdoła, musi jednak zwyciężyć.

Weszli razem do Kręgu i przez chwilę spoglądali na siebie nawzajem. Każdy z nich doceniał możliwości drugiego. Może wciąż jeszcze — nawet w tej chwili — liczyli, że znajdzie się jakiś sposób na powstrzymanie walki. Może naiwnie wyobrażali sobie, że uda się uniknąć tego ostatecznego starcia. Choć byli wodzami, nie mieli władzy nad własnym losem.

Sos rozpoczął atak. Dostąpił do Sola i spróbował wałnąć go potężną jak młot kowalski pięścią w żołądek. Cios chybił. Sos usunął się na bok — jak zawsze, z niewyobrażalną wprost szybkością — i wzdłuż przedramienia Sosa przebiegło płytkie ciecie. Pięść nie trafiła celu, nóż zaś zadał tylko lekką ranę. Pierwsza próba sił zakończyła się. Sos nie był tak naiwny, by usiłować zadać następny cios w chwili, gdy wydało się, że Sol stracił równowagę. Ten zaś nie uderzył drugim nożem, nie dając się zwieść pozornej ociężałości rąk Sosa. Zresztą w walce tak doświadczonych wojowników większość podstawowych forteli byłaby nieskuteczna bądź samo bójcza. Mogłyby one zaskoczyć tylko żółtodzioba.

Okrażali się wzajemnie, obserwując raczej ustawienie stóp i ruchy tułowia niż oczy czy ręce. Wyraz twarzy mógł wprowadzić w błąd, ale nie postawa ciała. Ręka mogła zmienić nagle kierunek, ale nie stopa. Nie sposób było dokonać poważnego ataku, nie przewidziawszy obrony. Dlatego Sol sprawiał wrażenie, jakby trzymał sztylety od niechcenia, a Sos niemal na niego nie patrzył.

Sol ruszył naprzód, uderzając jednym nożem wysoko, a drugim nisko. Ręce Sosa były w pogotowiu. Zamknęły się na nadgarstkach przeciwnika, podczas gdy ochronne tarcze na ramieniu i brzuchu powstrzymały ciosy. Sol został unieruchomiony. Jego rywal zaciskał powoli dłoń. Wiedział jednak, że właściwy zamysł Sola nie został jeszcze wprowadzony w życie.

Sol był silny, nie mógł się jednak mierzyć mocą z przeciwnikiem. Gdy przy pominający imadło uścisk nasilał się, ramiona wodza stopniowo opadły, a palce trzymające noże osłabły. Nagle Sol zgął nadgarstki i obrócił je w zaciskających się dłoniach Sosa! Nic dziwnego, że jego ciało lśniło. Wysmarował je tłuszczem.

Wydawało się, że sztylety ożyły. Uderzyły razem w krępujące Sola okowy. Ostre jak igły wbiły się w zaciśnięte dłonie, poszukując wrażliwych ścięgien.

Sos musiał zwolnić uścisk. Jego wzmocniona skóra mogła wytrzymać szybkie cięcia, lecz nie przedłużający się nacisk. Zwolnił jednak tylko jeden nadgarstek i szarpnął z całej siły za drugi, chcąc go złamać. Równocześnie jego stopa śmignęła w kierunku wewnętrznej powierzchni uda przeciwnika. Jednakże swoim bodnym nożem Soła uderzył bezbłędnie, zatapiając się w drugim przedramieniu Sosa, a ponadto rozpędzona stopa napotkała nie udo, lecz twardą kość biodrową.

Rozłączyli się. Jeden miał na ciele białe ślady po miażdżącym nacisku, drugi zaś rany klute, a z ramienia tryskała mu krew. Zakończyła się druga próba sił. Okazało się, że Bezimienny, choć potrafi złapać sztylety w dłoń, nie może ich utrzymać. Doświadczeni świadkowie skinęli z powagą głowami. Jeden z przeciwników był silniejszy, a drugi słabszy. W tej chwili przewagę miał Sol.

Pojedynek trwał. Na ciele Sola wykwitły siniaki, na skórze Sosa zaś pojawiły się niezliczone okaleczenia, żaden jednak nie zadał decydującego ciosu. Zaczęła się walka na wyczerpanie.

Mogła ona trwać długo, a tego nikt nie chciał. Potrzebne było zdecydowane rozstrzygnięcie, nie podejrzany remis. Jeden z dwóch wodzów musiał zwyciężyć. Rozumieli się bez słów. Przeszali grac na zwłokę i przystąpili do ostatecznej rozgrywki.

Sol rzucił się w podobny sposób, jak uczynił to Sos podczas ich pierwszej walki, atakując nie tułów, niemal niewrażliwy na ciosy, lecz mięśnie i ścięgna nóg. Gdyby mu się udało okaleczyć Sosa, postawiłby go w bardzo niekorzystnej sytuacji. Ten uskoczył w bok, lecz Sol podążył za nim ze swymi nożami, wijąc się jak wąż. Przewrócił się teraz na plecy i uniósł stopy, gotowy uderzyć nimi przez ciwnika. Tak zręcznie bronił się przed poprzednimi atakami, że Sos był pewien, iż walka bez bronii musi mu być przynajmniej częściowo znana. Mogło to też tłumaczyć jego niezwykle dokonania jako wojownika. Jediną przewagą, jaką naprawdę miał Sos, była brutalna siła.

Zrobił z niej użytek. Zgarbił się i runął na Soła, przyciskając go do ziemi ciężarem swego ciała. Zaciśnął mu ręce na gardle. Dwa sztylety Soła uniosły się. Posługiwanie się nimi było utrudnione, lecz możliwe. Wbiły się w chrząstkę z obu stron szyi Sosa. Siła uderzeń była niewielka, ze względu na niewygodną pozycję atakującego, lecz ostrza wbijały się raz po raz w poszerzające się rany. Szyja była najodporniejszą częścią ciała Sosa, nie mogła jednak wytrzymać podobnego ataku przez dłuższy czas.

Sos podźwignął trochę ciała i zaczął miotać lżejszym przeciwnikiem w obie strony, ani na chwilę nie zwalnając okrutnego uścisku. Jednakże jego pozycja również uniemożliwiała mu uzyskanie zamierzonego skutku. Nagle głowę ogarnęły mu płomienie. Czułe nerwy zostały odsłonięte. Wiedział, że przegrywa tę fazę walki. Sztylety powalą go, zanim Sol utraci przytomność, której tak uparcie się trzyma.

Nie zdoła zakończyć walki nie robiąc mu krzywdy.

Zwolnił uścisk, złapał Soła za włosy, by nie dać mu unieść głowy, i z całej siły wbił pokryte zrogowaciałą skórą palce w jego odsłoniętą tchawicę.

Sol nie mógł oddychać. Przeszywał go straszliwy ból. Gardło zostało zmiażdżone. Nadal jednak okrutne sztylety poszukiwały twarzy Sosa, walcząc jeśli nie o zwycięstwo, to przynajmniej o obustronną porażkę. Sol nie rozumiał, co to zna czy przegrana w Kręgu.

Sos raz jeszcze zrobił użytek ze swej siły. Złapał jeden sztylet w rękę, wiedząc, że ostrze się nie wyślizgnie. Drugą ręką ponownie chwycił przeciwnika za włosy. Wstał podnosząc go z ziemi, zakręcił się w koło i wyrzucił przyjaciela z Kręgu.

Następnie sam wyszedł i runął na leżącego na ziemi przeciwnika. Sol wybałuszał oczy.

Bezradnie przyciskał ręce do gardła. Sos odciągnął mu je i wbił palce w szyję, masując ją brutalnie. Jego krew kapiała na pierś Sola, gdy przykucnął nad nim.

— Walka skończona! — krzyknął ktoś. — Wyszedłeś z Kręgu. Stój!

Sos nie zatrzymał się. Podniósł z ziemi jeden ze sztyletów Sola i wbił mu ostrze w podstawę szyi, tak jak go uczono na kursach.

Ktoś runął na niego, lecz Sos był na to przygotowany. Uniósł tylko jedną po tęzną rękę i odrzucił intruza na bok, nawet na niego nie spojrzawszy. Powiększył nacięcie, aż w tchawicy Sola pojawił się niewielki otwór. Następnie przystawił usta do rany. Rzuciło się na niego więcej mężczyzn. Ciągnęli go za ręce i nogi, trzymał się jednak mocno. Gdy Sos odetchnął, powietrze dostało się do płuc nieprzytomnego. Przyjaciel zaczął znowu niepewnie oddychać.

— Sav! To ja, Sav! — ryknął mu do ucha jakiś głos. — Red River! Puść go! Ja się nim zajmę!

Dopiero wtedy Sos uniósł powalane krwią usta i pograżył się w nieświadomości.

Gdy się obudził, ból przeszywał mu szyję. Jego dłoń wyczuła tam bandaż. Sola pochyliła się nad nim z łagodnym uśmiechem i wytarła zimną gąbką pot spływający mu strumieniem po twarzy.

— Poznając cię — szepnęła, gdy ujrzała, że otworzył oczy. — Nigdy cię nie opuszczę... Bezimienny.

Sos starał się coś powiedzieć, lecz nie zdołał wykrztusić z siebie nawet kraka nia.

— Tak jest, uratowałeś go — powiedziała. — Znowu. Nie będzie mógł mówić, ale jest w lepszym stanie niż ty, mimo że to ty zwyciężyłeś.

Nachyliła się, by pocałować go w czoło.

-Postąpiłeś bardzo odważnie, ratując go w ten sposób, ale to nic nie zmieniło.

Sos usiadł. Ból w szyi eksplodował, gdy jej dotknął. Nie mógł odwrócić głowę, zawzięcie jednak próbował to uczynić. Był w głównym namiocie, niewątpliwie w przedziale Soli. Rozejrzał się obracając całe ciało. Nie było tam nikogo oprócz nich.

Sola ujęła go delikatnie za ramię.

— Obudzę cię, zanim odejdziesz. Obiecuję. Połóż się teraz, bo się zabijesz... po raz drugi.

Wydawało się, że wszystko się powtarza. Opiekowała się nim już tak kiedyś, dawno temu, i zakończyła się w niej wtedy. Gdy potrzebował pomocy, ona... Nagle był już następnego dnia.

— Już czas — powiedziała budząc go pocałunkiem.

Założyła swój najelegantszy strój i była równie piękna, jak zawsze. Przedwcześnie spisał miłość do niej na straty. Uczucie nie umarło.

Sol stał na zewnątrz razem z córką. Miał bandaż na gardle i siniaki na całym ciele, lecz poza tym był w pełni sił. Uśmiechnął się, gdy ujrzał Sosa, i podszedł do niego, by ucisnąć mu rękę. Słowa nie były konieczne. Włożył małą dłoń Soli w rękę Sosa i odwrócił się.

Ludzie z obozu stali w milczeniu, gdy Sol ich mijał, oddalając się od namiotu. Dźwigał plecak, lecz nie miał broni.

— Tato! — krzyknęła Soli. Wyrwała się Sosowi i pobiegła za nim.

Sav skoczył za dziewczynką i złapał ją.

— On idzie na Górę — wytłumaczył jej łagodnym tonem. — Musisz zostać z matką i swoim nowym ojcem.

Soli znowu się wyrwała i dogoniła Sola.

— Tato!

Sol odwrócił się, uklęknął, pocałował ją i obrócił twarzą w kierunku, skąd przyszła. Wstał szybko i ruszył w dalszą drogę. Sos przypomniał sobie, jak próbował odesłać Głupiego na dół.

— Tato! — krzyknęła raz jeszcze, nie chcąc go opuścić. — Idę z tobą! Umrę z tobą! — dodała, aby wiedział, że rozumie.

Sol ponownie się odwrócił i spojrzał błagalnie na zebranych mężczyzn.

Żaden się nie poruszył.

Wreszcie wziął Soli na ręce i opuścił obóz.

Sola wtuliła twarz w ramię Sosa i łkała cicho. Nie chciała pójść po córkę.

— Ona należy do niego — powiedziała przez łzy. — Zawsze tak było.

Obserwując oddalające się postacie, Sos widział ich przyszłość. Sol wejdzie na Górę niosąc dziewczynkę. Nie przestraszy go śnieg ani czekająca nań śmierć. Będzie szedł naprzód, aż zimno go pokona i upadnie w śnieg z twarzą zwróconą ku szczytowi, do końca osłaniając ciało córki swoim własnym.

Wiedział też, co się stanie później, kto ich powita, by przygarnąć dzielnego męża i ukochaną córkę. Być może oczekiwała ich zabawa w pokoju rekreacyjnym i specjalne ćwiczenia dla Soli. Na pewno tak będzie, gdyż Sosa rozpozna dziecko. Dziecko, które sama pragnęła urodzić....

Przyjmij ją! — pomyślał. — Przyjmij ją w imię miłości.

Sos pozostał, by dopilnować rozpadu Imperium. Nigdy nie miał zyskać pewności, czy postępuje właściwie. Stworzył je w imieniu innego człowieka, a teraz miał je zniszczyć na rozkaz grupy, której celem było nie dopuścić do odrodzenia cywilizacji. Do odrodzenia ośrodka władzy...

Najważniejsze decyzje zawsze podejmowali za Sosa inni ludzie, podobnie jak jego uczuciami kierowały kobiety, które pragnęły go zdobyć. Sol dał mu imię i po wierzył pierwszą misję. Doktor Jones dał mu bron. Sol wysłał go na Górę, a Bob odesłał z powrotem. Namiestnicy Sola zmusili go do przyjęcia przywództwa, nie zdając sobie sprawy, że był wrogiem Imperium.

Czy kiedykolwiek nadejdzie czas, gdy sam będzie podejmował decyzje? Groź ba, która była skierowana do Sola, zawisła teraz nad nim. Jeśli nie zniszczy Imperium, ktoś przyjdzie po niego. Ktoś, kogo nie będzie mógł w żaden sposób rozpoznać ani przed kim nie będzie się mógł ochronić. Zginą też zakładnicy. Troje zakładników, w tym jedno dziecko...

Spojrzał na Solę, piękną w swym smutku, wiedząc, że kobieta, którą kochał bardziej, będzie należała do Sola. Nic się nie zmieniło. Droga, mała Sosa...

Zwrócił twarz w stronę ludzi tworzących Imperium. Były ich tysiące. Uważali go teraz za Wodza. Czy jednak odegrał w tej historii rolę bohatera, czy może łajdaka?